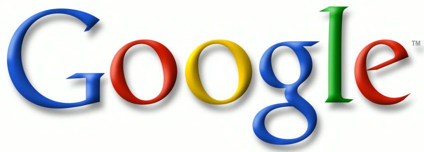
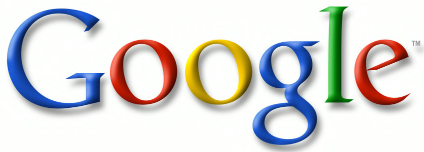
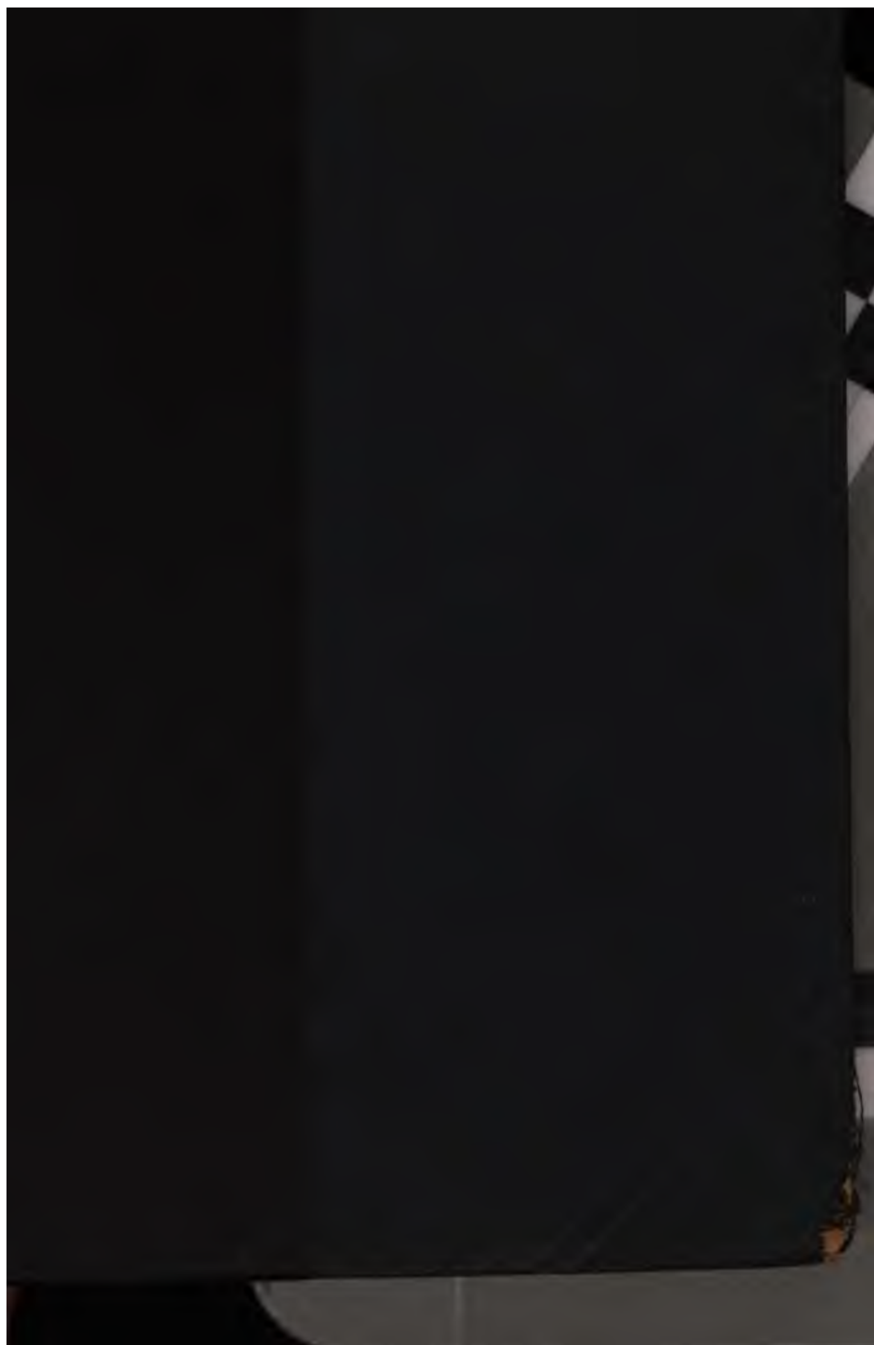






BIBLIOTEKA DZIEŁ WY[redacted]

WYCHODZI CO TYDZIEŃ[redacted]

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY:

w WARSZAWIE:	Z przesyłką pocztową:
Rocznie . (52 tomy) rs. 10	Rocznie. . . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5	Półrocznie . (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50	Kwartalnie . (13 tomów) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

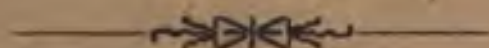
Rocznie . . (za 52 tomy) . . .	rs. 6	kop.	—
Półrocznie . (za 26 tomów)	„ 3	„	—
Kwartalnie . (za 13 tomów) .	„ 1	„	50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop



REDAKTOR I WYDAWCA

Jan Gadomski.



Redakcya i Administracya: Warszawa, Warec[redacted]
we Lwowie Plac Maryacki 1.[redacted]

A. T. Jezierskiego, Now[redacted]



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 438

Prof. Mikołaj Berg

ZAPISKI
polskich spiskach i powstaniach

Cena 40 kop.
W prenum. 30½ k.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya
14. Warecka 14.

1906.

ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH.

Prof. Mikołaj Berg.



Zapiski o polskich spiskach i powstaniach

PRZEKŁAD Z ROSYJSKIEGO.



WARSZAWA
DRUK A. T. JEZIERSKIEGO NOWY-ŚWIAT 47.
1906

PRZEDMOWA AUTORA.

Każdy czytelnik, a tembardziej historyk z zupełną słusznością zapytać może, co to za utwór ma przed sobą? co znaczą *Zapiski o wypadkach dziejowych?* na czem się opierają, zkąd się wzięły i jakie są dowody ich wiarogodności? Na te kilka pytań winien jestem dać odpowiedź.

Przybyłem do Warszawy w samym początku 1863 roku, z zamiarem śledzenia rewolucyjnego ruchu w jego rozwoju nietylko w Królestwie Polskiem lecz i w sąsiednich miejscowościach ziem zabranych, dokąd częste robiłem wycieczki. — W połowie 1864 roku, zupełnie niespodzianie, otrzymałem ze strony ówczesnego namiestnika hrabiego Berga, wezwanie, bym wypracował dla niego „historyczny memoryał o spiskach i powstaniach, jakie miały miejsce w Polsce od 1830 roku, aż po najnowsze czasy“, ku czemu dostarczy mi wszelkich materyałów źródłowych, którymi rozporządza.

Propozycyę taką skwapliwie przyjąłem, zastrze-

gając tylko, by mi hrabia wystawił list ochronny, że za wypowiedziane w tym memoryale przekonania i poglądy, czy to o osobach, czy o samym rządzie, nigdy i przez nikogo nie będę pociągany do odpowiedzialności, a także, że nikt nie będzie mieć praw zażądania odemnie wyjaśnień, zkąd zaczerpnąłem wiadomości o tym lub owym fakcie, nie podanym w źródłach urzędowych.

Hrabia się zgodził; zażądał, abym sam sobie ułożył wzór takiego listu chronnego, a gdym to uczynił, zatwierdził go bez zmiany.—Zgadzam się—data.—Hrabia Berg.

Zabrałem się więc do pracy. Ze względu na niebezpieczeństwo i nadzór dostarczanych mi bardzo ważnych materyałów, wyznaczono mi lokal na zamku, zaopatrzony we wszelkie przybory do pracy i odpowiednio umeblowany. Później mogłem pracować we własnem mieszkaniu, w hotelu europejskim. Na żądanie przynoszono mi tam akta z rozmaitych dykasteryi: sprawy śledcze z polowego audytoryatu; z kancelaryi generał-policmajstra sprawozdania agentów policyjnych, różne sprawy sekretne, przejęte depesze rządu narodowego i jego wydziałów, plakaty, ryciny, fotografie, różne podziemne wydawnictwa; wreszcie z dyplomatycznej kancelaryi namiestnika zagraniczne polskie dzienniki. Nadto z listem otwartym namiestnika jeździłem po całem Królestwie, zbierając ustne opowiadania od dowódzców wojskowych i innych osób o bitwach i różnych wydarzeniach, w których brali czynny udział, lub tylko byli świadkami; miałem przytem prawo żądania, by mi były przedkładane wszelkie papiery i pisma, znalezione u powstańców.

Dla lepszego obeznania się z przeszłością, badałem archiwa warszawskiego wojennego okręgu i warszawskiej Aleksandrowskiej cytadeli, w których znalazłem nietylko miejscowe materyały, utrzymane w nadzwyczajnym porządku, skatalogowane i opatrzone indeksami, lecz także odpisy spraw politycznych i z innych zaborów, sporządzone z rozkazu Paskiewicza. Ma się rozumieć, że starałem się przeczytać wszystko, co o tych czasach wyszło z druku: oświadczenia członków centralizacyi, broszury, pamiętniki osób wybitniejszych, czego część znalazłem w wojennem archiwum, resztę zaś sprowadziłem z zagranicy.

Następnie udzielił mi namiestnik zapiski różnych ważniejszych działaczy powstania 1863 roku, członków rządu narodowego, dowódzców oddziałów, które były spisywane po uwięzieniu ich dla komisyi śledczych. Najważniejsze z nich i najczęściej rzucające światło na całą organizacyę rewolucyjną są zeznania Oskara Aweydy i Karola Majewskiego, którzy wchodzili w skład kilku po sobie następujących rządów, wiedzieli bardzo wiele i wiele wyjawiali. Wiarogodność tych zeznań stwierdza i ta okoliczność, że autorowie ich, osadzeni w różnych kazamatach, nic o sobie nie wiedzieli, a nawet nigdy nie byli z sobą konfrontowani, a mimo to w opowiadaniu wypadków, istotnie ważnych, są z sobą zupełnie zgodni i przytaczają wszędzie też same nazwiska osób, udział w sprawach tych biorących.

Te zeznania, jako stanowiące ważny historyczny materyał do ostatniego powstania, namiestnik kazał przetłómaczyć na język rosyjski i wydrukować w trzydziestu egzemplarzach, które rozesłano naj-

wyższym dostojnikom! Drukowano je w drukarni generał-policmajstra w Warszawie.

Zeznania Aweydy w druku sformowały cztery tomy. Zapiski Majewskiego bardzo skrócone, stanowią one broszurę grubości małego palca. Na obydwa te wydania bardzo często powołuję się w mej pracy, przytaczając tom i stronicę.

W 1868 roku przedstawiłem mą pracę namiestnikowi, spisaną w czterech grubych tomach *in folio.* Wyjątki z pewnemi zmianami były drukowane w *Ruskim archiwie* i *Ruskiej starinie.*

Potem dzieło uzupełnione zostało dalszemi badaniami nowych źródeł i materyałów, ogłoszonych w najnowszych czasach. Najpoważniejsze z nich to *Historya powstania narodu polskiego 1861 — 1864 roku* przez Agatona Gillera, wydana w czterech tomach; dzieło Lisickiego o Wielopolskim, po polsku w czterech, a po francusku w dwóch tomach dużego druku; oraz anonyma *Porozbiorowe aspiracye polityczne narodu polskiego.* — Mniej ważne materyały polskie i rosyjskie, drukowane lub w rękopismach, wymienione są w tekście, o ile się na nie powołuję.

Rozumie się, że niejedna rzecz mogłaby być opisaną szczegółowiej i dokładniej, lecz to, również jak i napisanie właściwej historyi tej epoki należy pozostawić przyszłym czasom.

Mikołaj Berg.

WSTĘP.

Od czasu gdy Rosya zajęła i rządzi pewną częścią ziem polskich, przeważnie w tak zwanem Królestwie kongresowem miało miejsce kilka spisków i powstań, co można po części wytłomaczyć i tą okolicznością, że spiskowcom zawsze chodziło o owładnięcie najważniejszego punktu, głównego ogniska polskiego politycznego życia z ostatnich czasów. Poruszyć Warszawę i Królestwo, znaczyło już prawie dokonać połowy dzieła.

Z drugiej jednak strony i rząd rosyjski, jakby umyślnie dopomagał, aby głównie w tym zaborze powstały spiski i wybuchały powstania; otwierał im po prostu drogę przez bezładny zarząd kraju, przez to ciągłe przerzucanie się od skrajnej surowości i represyi do pobłażania bez granic; przez zupełny brak jakiegoś prawidłowego systemu administracyjnego a głównie przez tę niezwykłą umiejętność drażnienia wszystkich wogóle i każdego z osobna, bez żadnej potrzeby lub przyczyny, ni ztąd ni zowąd, jedynie chyba *par l'art du métier*. Wskutek tego wyrobiło

się we wszystkich trzech zaborach to przekonanie, że największymi wrogami Polaków są Moskale.

Któryż z innych monarchów, władających częściami dawnej Polski, doprowadził do tego, że musiał przysłuchiwać się na ulicach Paryża okrzykom *Vive la Pologne!*

W innych państwach, gdy wybierają rządzcę dla kraju tak ważnego jak Polska, opatrzą go przedtem dokładnie w instrukcye; zbadają pod każdym względem jego przeszłość i wykształcenie: czy ma wyobrażenie o geografii, historyi, języku, literaturze i innych właściwościach kraju, którym ma zarządzać. On otrzymuje od rządu ścisłe i dokładne instrukcye, wynik długoletnich badań i doświadczeń, sam się też stara uzupełnić swe wiadomości o kraju, do którego jest przeznaczony; otacza się ludźmi, którzy tam służyli i zamieszkali od dawna. A jeśli taki rządzca rozmyślnie lub mimowolnie, zejdzie ze wskazanej mu drogi, zaraz się znajdzie ostrzeżenie, które mu wskaże błąd popełniony, wytknie zboczenie od przyjętego systemu. Gdy to nie pomaga, rządzcę zmieniają.

W Rosyi nic podobnego się nie dzieje! Na rządcę jakiejkolwiek prowincyi biorą bez ścisłego wyboru, pierwszego z brzegu starszego w służbie generała lub też kogoś, cieszącego się protekcyą tej lub owej wpływowej osobistości. W Rosyi według starej rutyny wielkorządcą, chociażby najobszerniejszej prowincyi, może być tylko człowiek wysokiej rangi, długoletniej służbowej karyery, posiadający liczne ordery, gwiazdy i wstęgi. Czy zaś człowiek ten posiada odpowiednie zdolności i wiadomości, o to nikt *nie pyta.* I bez nich można być wielkorządcą, mo-

żna mówić kilkoma językami i zgrabnie się znaleźć w salonie. Znajomość praw i obyczajów kraju, którym się ma zarządzać, zastąpi przyboczna kancelarya—a co się tyczy tej ręki opiekuńczej, wskazującej omyłki i zboczenia od systemu—o takim zbytku, o takich dziwnych rzeczach rosyjscy wielkorządzcy nawet nie słyszeli i nie mają pojęcia, że to może być gdziekolwiek. Zresztą, jakież mogą być zboczenia od systemu, gdy takowego w rządzie nie bywało i niema...

To też biedną Polską pod rosyjskim zaborem, trzęsie chroniczna febra powstań: nakształt nieuleczalnej choroby.—Hrabia Fryderyk Skarbek w dziele swojem *Dzieje Polski* część III, str. 183 powiada: „że febra powstańcza powtarza się w Polsce co lat szesnaście mniej więcej, to jest, gdy podrośnie pokolenie, które nie zaznało na sobie wszystkich nieszczęść powstania". Rosyanie patrzą na ten wiekowy przebieg dziejów porozbiorowych, jako na złe nieuniknione i nawet nie szukają środka skutecznego ku zapobieżeniu złemu. Owszem, częstokroć jakby dopomagali działaniom niszczącym. Wywołują powstania do spółki z Polakami i do tego stopnia nieraz serdecznie i gorliwie, że gdyby Polacy nie byli Polakami, t. j. gdyby byli zgodniejsi i nierozpadali się na tyle różnorodnych stronnictw, gdyby w swych działaniach politycznych okazywali więcej ładu organicznego i wytrwałości, jużby się Polska dawno wyzwoliła. Nieraz Polakom kładziono do ust wolność, chodziło tylko o to, by rozgryźć i przełknąć dawkę. Słabe, chorowite dzieci i tego uczynić nie były w stanie i nic umiały!...

Wszystkie polskie powstania układają się po-

dług jednego, stereotypowego szematu. Partya czerwona, gotowa zawsze do ruchu, wymyśli jakąś mniejszą lub większą manifestacyę, korzysta z każdej sposobności, by wykazać swe niezadowolenie z nienawistnych jej rządów; po największej części płomień wybucha nie w porę, przygotowania idą niedbale, niezdarnie, lecz za to prawie jawnie, tak że każdy rewolucyonista widny jak na dłoni. Byle dmuchnąć a mrzonka się jak mgła rozwieje. Tego wszakże bynajmniej nie robią, owszem zapomocą różnych bezmyślnych zarządzeń dolewają oliwy do ognia i jakby rozmyślnie podsycają płomień. Biali zarzucają młodzieży, co robi? że teraz nie czas na powstanie! Młodzież odpowiada starszym, „że są głupcy, przeżyci; w swoim czasie nie potrafili przeprowadzić rewolucyi jak należało, więc niech teraz milczą i nie przeszkadzają, niech się nie mieszają w nieswoje sprawy... obecnie wszystko jest doskonale obmyślane i odpowiednie środki po temu, by uniknąć dawniejszych błędów“. .

Nareszcie w braku poważnej opozycyi ze strony starszych, a także wskutek ślamazarności władzy, następuje wybuch i wówczas ci sami starsi, płacząc nad dziećmi, przypasują pałasze i niosą siebie i wszystko co mają, „na ołtarz ojczyzny“.

Es ist eine alte Geschichte, doch bleibt sie immer neu!

Najbardziej chaotyczny i niedbały był zarząd Polską za czasów wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza. Na każdym kroku same przeciwieństwa. Z jednej strony liberalna konstytucya, własny rząd i własne wojsko, sejm i do pewnego stopnia *habeas corpus*, z drugiej zaś strony najdziksza, despotyczna

i brutalna samowola; codzienne obrażenie oficerów, łajanie ich od ostatnich słów na Saskim placu, wobec wojska i publiczności, legiony niezdarnych szpiegów, umiejących tylko drażnić i dokuczać spokojnym mieszkańcom a niedostrzegających tego, co właśnie należało przedewszystkiem widzieć.

W archiwum warszawskiego wojennego okręgu są przechowane codzienne raporta ówczesnej tajnej policyi, jedne pisane po francusku, drugie zaś po rosyjsku. Rosyjskie doniesienia przepisane są bardzo porządnie i oprawne w karton, latami, w piętnastu tomach *in folio*. Francuskie są pisane na ćwiartkach; pochodzą od różnych osób i nie zgadzają się z rosyjskiemi. Autor przejrzał te raporta za lata 1829 i 1830, jako poprzedzające wybuch rewolucyi. Szpiegowano przeważnie ludzi nieszkodliwych i obojętnych, spiskowców zaś, a przynajmniej główniejszych przywódców nie dostrzegano wcale, albo też bardzo powierzchownie. Ani o Zaliwskim, ani o Wysockim niema wzmianki w tej *Księdze żywota*, jako o ludziach choćby cokolwiek niebezpiecznych.

W czasie, gdy Piotr Wysocki stał na czele szeroko rozgałęzionego spisku i przygotowywał wybuch listopadowy, raz się tylko dostał do księgi szpiegowskich raportów i to z powodu, że któregoś dnia nie przybył na przegląd na Saskim placu!

Zato jakiegeś Westermajera śledzono na każdym kroku, podsłuchiwano jego najbłahsze *rozmowy*. Zapisywano także, kto bywał u księ-

żny Zajączkowej, jak długo bawił; również śledzono i księcia Lubeckiego.

O kimś donoszono, że gdy wjeżdżał do Warszawy, czekający nań u rogatki człowiek, podał mu czapkę.

W ten sposób postępują i dotychczas. Na szpiegostwo w Królestwie wydają się bajeczne sumy, śledzą zaś Bóg wie za kim: „za muchą goniono z maczugą“, ale nie uprzedzono jeszcze ani jednego powstania.

Czasem starsi agenci nasadzają podwładnych do śledzenia swych kochanek, pieniądze zaś, przeznaczone na śledzenie osób podejrzanych, tracą na hulankach ze swymi przyjaciółmi i kochankami... A jednak ten system trwa bez przerwy...

Po wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja, bezład ten wzmógł się jeszcze bardziej i doszedł do ostatecznych granic.

Wreszcie wielki książę Konstanty do tego stopnia był znudzony i zbity z tropu wręcz sprzecznemi i różnorodnemi doniesieniami tajnej policyi, że niczemu już nie chciał wierzyć i pomimo ostrzeżeń o grożącem mu bliskiem niebezpieczeństwie, nie zarządził żadnych środków ostrożności i jak wiadomo, omal, że nie zginął.

Wybuch musiał nastąpić, rewolucyi wszakże nikt nie przewidywał i zaskoczyła ona rząd i wszystkich zupełnie znienacka. Mimo to pożar w samym zarodku mógłby być z łatwością stłumionym, gdyby nie bezprzykładny i niczem nieuzasadniony popłoch wielkiego księcia. Gdyby nie to, z rana 30 listopada *1830 roku* znaczna część mieszkańców Warszawy

mogłaby nawet nie wiedzieć, że w nocy zanosiło się na coś wcale poważnego.

Wiadomo, w jaki sposób ostatecznie został ugaszony ów pożar i jakie narzędzia musiano ku temu sprowadzać naprędce z Rosyi. Wiadomo także, że wkrótce po wzięciu Warszawy, tłumy zbrojnych Polaków przeszły granice i rozproszyły się po Europie, unosząc w swych piersiach wątek przyszłych spisków i te rewolucyjne zarodki, które przez długi czas potem, podsycane warunkami życia emigracyjnego, niezdrowy swój owoc wydawały.

Po uśmierzeniu powstania 1830 i 1831 roku zarząd Królestwa spoczął na długie lata w ręku Paskiewicza, zawdzięczającego swą niezwykłą karyerę nietylko szczęśliwym okolicznościom, lecz także rozumowi, zręczności i śmiałości, graniczącej z zuchwalstwem, w korzystaniu z każdej okoliczności dla swojego wyniesienia się.

Iwan Fiodorowicz Paskiewicz, herbu Radwan, pochodził z zamożnej białoruskiej szlachty, osiadłej w gubernii mohylewskiej. W jego formularzu służbowym wykazano, że wspólnie z ojcem posiadał w guberniach: połtawskiej, mohylewskiej i jarosławskiej 1160 dusz męskich dziedzicznych, zaś w petersburskiej 770 dokupionych. W dzieciństwie był to śmiały, ładny i bardzo żywy chłopak, o dużej kędzierzawej głowie, z ogromnem czołem, z pod którego błyszczała para nadzwyczaj przenikliwych, szarych ócz. Między tysiącem swych rówieśników on się odrazu wyróżniał. Po wyjściu z dzieciństwa z wcale nie osobliwem początkowem wychowaniem, został oddany do korpusu kadetów w Szkłowie, założonym przez faworyta Katarzyny, Zorycza, który

otrzymał Szkłów z przyległemi dobrami na własność.

W formularzu Paskiewicza niema wzmianki o tem, gdzie się wychowywał, tylko w rubryce, jakie posiada wiadomości, powiedziano: „umie czytać po rusku, francusku i niemiecku".

W roku 1798 cesarz Paweł w przejeździe zwiedził korpus kadetów w Szkłowie. Przechodząc między ustawionymi w rząd malcami zatrzymał się przed Paskiewiczem i zapytał go: „A tyś kto"? Paskiewicz—odpowiedział zwięźle i śmiało, patrząc przenikliwie wprost w oczy cesarzowi. „Przenieść go do korpusu paziów"—zakonkludował cesarz.

W korpusie paziów młody chłopak potrafił zwrócić na siebie uwagę cesarzowej Maryi Fiedorówny, która go wzięła na pazia pokojowego, a dnia 6 października 1800 roku awansował na porucznika gwardyi z równoczesnem naznaczeniem na skrzydłowego adjutanta przy cesarzu.

Miał wówczas lat 17; była to już karyera.

W roku 1806, jako sztabs-kapitan, Paskiewicz znalazł się w armii, działającej na Wschodzie. Brał udział w zdobyciu Braiły, przyczem został ranny kulą karabinową w głowę, następnie był w bitwach pod Kiustendżą, Razowatem, Sylistryą, Bazardżykiem, Warną, Szumlą i Bediną. Za odznaczenie się w bitwach otrzymał w 1809 roku stopień pułkownika, zaś 1810 roku został generałem.

Już jako generał był w bitwach pod Smoleńskiem i Borodiną, zaś po bitwie pod Lipskiem awansował na generała-porucznika.

Po ukończeniu wojny francuskiej, towarzyszył *najmłodszemu* bratu cesarza, wielkiemu księciu Mi-

chałowi Pawłowiczowi w jego podróżach po Rosyi i zagranicą, zaś w 1823 r. został mianowany generał-adjutantem cesarza Aleksandra.

We trzy lata potem odznaczył się w wojnie z Persyą i awansował na generała broni. Było to w rok po wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja.

Rozgłaszane dziwaczne wieści, jakoby naczelny wódz na Kaukazie, generał Jermołow, nosił się z zamiarem detronizacyi szacha perskiego i zajęcia jego miejsca, bardziej zaś nadzwyczaj szorstkie zachowanie się tegoż wobec cesarza Mikołaja, sprawiły, że Paskiewicz zajął miejsce tego generała.

Tak jak Jermołow przemawiał i pisał do cesarzy, nikt przedtem i potem nie odważał się do nich odzywać.

Od tej chwili koło fortuny naszego bohatera potoczyło się chyżej, śpieszniej niż wszelkie inne koła ulubieńców, szybciej nawet niż koła kibitek, rozwożących carskich kuryerów z rozkazami między Petersburgiem a Kaukazem.

Cesarz Mikołaj, uważający wszędzie i we wszystkiem siebie za pierwszego: jak był Mikołajem pierwszym, pierwszym mężczyzną co do urody i klasycznej budowy ciała z profilem rzymskich imperatorów; pierwszym władcą na ziemi, niejako imperatorem imperatorów, dla którego stanowczo było wszystko możliwe i który przedewszystkiem zważał na wspaniałe otoczenie—tak zdawało się, że się uwziął wytworzyć drugiego Suworowa, któryby tak wsławił jego panowanie, jak zwycięstwa Suworowa pierwszego wsławiły panowanie Katarzyny.

Na takiego Suworowa nadawał się najbardziej Jermołow, obdarzony bez porównania wyższemi, tak

wojskowemi, jak i administracyjnemi zdolnościami — lecz... sam nie chciał tego — zapomniał się! W Rosyi zaś potrzebni są Suworowowie nigdy się nie zapominający, pokorni, z umiejętnością niskiego kłaniania się; Suworowowie chłopy, niewolniczo tłumiący w sobie wszelkie zuchwałe porywy dumy, miłości własnej, żądzy sławy, a nawet ludzkiej godności wobec tych, którzy mogą jednem skinieniem w proch ich zetrzeć. Na takiego Suworowa Jermołow nie nadawał się wcale, lecz zupełnie był odpowiedni generał, który po nim objął dowództwo na Kaukazie. I dlatego ostrożny despota, całą siłą swych potężnych ramion, popchnął rydwan, wiozący nowego Suworowa Mikołajewskich czasów do świątyni sławy.

W rok po objęciu dowództwa na Kaukazie, Paskiewicz otrzymał naczelne dowództwo armii, wysłanej do Persyi. Tam pobił na głowę wojska perskie pod wodzą Abbassa Mirzy i zdobył Erywań. Za to zwycięstwo otrzymał milion rubli i tytuł hrabiego Erywańskiego.

W następnym 1829 roku za zwycięstwa nad Turkami otrzymał wielki krzyż orderu świętego Jerzego i stopień feldmarszałka. Gdy w 1831 roku kampania w Polsce zaczęła przyjmować obrót niepomyślny, cesarz wysłał tam swego ulubieńca, „by jaknajprędzej bieg rzeczy poprawił". Lecz Polacy, to nie Persowie ani Turcy, wojna się przeciągnęła i Paskiewicz nie bardzo umiał dawać sobie rady. Przy szturmie zaś Warszawy we wrześniu 1831 roku doniósł, że jest chory, natychmiast jednak wyzdrowiał, gdy Warszawa została wzięta przez hrabiego Tolla, szefa jego sztabu, człowieka wielkiej

energii i znakomitych zdolności, a który go na ten czas zastępował.

Cesarz nadzwyczaj niemile był dotknięty tym wybiegiem swego gagatka, którego obsypywał tyloma łaskami, tytułami, orderami i pieniędzmi; a że lubił zawsze okazywać niebacznym, że w Rosyi i z najwyższego stanowiska można odrazu spaść w błoto i zapomnienie, napisał więc do Paskiewicza, ubolewając z powodu jego nadwerężonego zdrowia i radząc mu usunąć się na jakiś czas do Homla [1]) dla wypoczynku.

Nie było rady, Paskiewicz wyjechał, a na pełniącego obowiązki namiestnika w Królestwie Polskiem został naznaczony generał-adjutant hr. Rüdiger, dowódca trzeciego korpusu czynnej armii, człowiek zdolny i z charakterem.

Siedząc w Homlu, Paskiewicz nie spuszczał z oka biegu spraw w Królestwie. Tam wypadki rozwijały się zwykłym urzędowym porządkiem, jak wogóle i w innych rosyjskich prowincyach, zarządzanych przeważnie przez generałów. Wydawano wiele i ważnych rozporządzeń, Rüdiger coraz bardziej uważał się za rzeczywistego namiestnika, zaś o pustelniku Homelskim zdawano się coraz bardziej zapominać, nawet nikt się nie dowiadywał o stanie jego zdrowia. Paskiewicz oceniając bardzo dobrze całe niebezpieczeństwo takiego zapomnienia, zdecydował się na krok ryzykowny; powiadają, że „tonący brzytwy się chwyta". Napisał do cesarza, że, „czując się już zupełnie zdrowym, wraca do swych

---

[1]) *Homel*, w bieleckim powiecie mohylewskiej gubernii, znaczne bardzo dobra, nadane Paskiewiczowi.

do swych obowiązków i obejmuje napowrót dowództwo pierwszej armii".

Cesarz jakoś to strawił i przywrócił swego Suworowa do dawnych łask i znaczenia, nadał mu tytuł Księcia Warszawskiego i zrobił namiestnikiem Królestwa. Paskiewicz zaczął rządzić Polską jak jaki królik.

Wschodnie właściwości, utarte w sferach otaczających feldmarszałka, niesłychana uniżoność i niewolnicza pokora jego podwładnych, wytworzyły z tego człowieka jakiegoś dzikiego, nieprawdopodobnego i prawie niemożliwego w wieku XIX satrapę. Brak słów na opisanie trwogi, jakiej wobec niego doświadczali jego podwładni. Pewien generał, który z obowiązku służbowego potrzebował codziennie stykać się z Paskiewiczem, opowiadał naiwnie autorowi, że „Boga tak się nie obawiał jak feldmarszałka. Spojrzy, bywało, na ciebie swojemi strasznemi, szaremi oczami, to dusza w człowieku zamiera, cały zdrętwiejesz, albo takie gorąco do głowy uderzy, że pot kroplisty na czoło wystąpi".

Książe Golicyn, członek rady państwa, kawaler orderu św. Andrzeja i mohilewsko-witebski generał-gubernator, przybył pewnego razu do miasta powiatowego Rohaczewa, na spotkanie przejeżdżającego tamtędy Paskiewicza. Gdy na stacyi pocztowej, w pełnym galowym mundurze, przy gwiazdach i wstęgach oczekiwał na przybycie feldmarszałka, spostrzegł zdala, że ten dojeżdża czegoś mocno rozdrażniony, krzycząc i łając. Nie namyślając się długo, usunął się na stronę i schował się za stojący w dziedzińcu chlewek. Szukano go wszędzie, lecz *napróżno*. Paskiewicz odjechał nie widząc go i do-

piero później dowiedział się o tem zdarzeniu i był z tego bardzo zadowolony.—(Opowiadanie generała A. S. Uszakowa).

I zapomocą tego strachu Paskiewicz potrafił prawie przez ćwierć wieku utrzymać we względnym spokoju kraj, „znajdujący się, według słów Mochnackiego [1]), w stanie ciągłego powstania".

Obawiano się go, wprost jego osoby; gdyż policya i żandarmerya były niezdarne za Paskiewicza tak samo, jak są nieodpowiednie obecnie i jak były do niczego i przedtem. On wiedział o tem i dlatego starał się o ile mógł nadrabiać sobą i wzbudzać strach przed swą własną osobą.

Ogólny kierunek spraw w Europie i Rosyi, ugniatanie niższych przez możniejszych, popieranie arystokracyi bez wyjątku i wszędzie, stawiało i Paskiewicza w położeniu, że potakiwał i zbliżał do siebie polskich panów. Wszakże ani jednemu nie pozwolił nawet na jedną chwilę się zapomnieć. Straszny wzrok feldmarszałka osadzał na miejscu każdego śmiałka, któreby poważył się przekroczyć granicę przez niego nakreśloną.

Zdarzało się to wszakże nader a nader rzadko; wszyscy chodzili na palcach, obawiali się, a nawet do pewnego stopnia poważali swojego satrapę; gdyż nie dostrzegali w nim żadnych zamiarów tłumienia w Polsce wszystkiego, co jest polskie. Za Paskiewicza Polska tak dobrze była Polską, jak za jego poprzednika, wielkiego księcia Konstantego. Paskiewicz miał dar rządzenia i był wrogiem wszel-

---

[1]) *Tom II*, str. 119, wydanie poznańskie z 1863 r.

kiej bezmyślnej represyi, wieszań setkami, zsyłania na Sybir tysiącami. Wszakże nie był to człowiek wielkich zdolności, a tem mniej genialny. Najlepiej charakteryzował go jego własny ojciec, do końca życia typowy małoruski obywatel. Gdy ktoś przy nim mówiąc o synu, nazwał go geniuszem, ojciec odparł żywo:—*Szczo henii, to ne henii; a szczo weze, to weze!* (Geniusz, nie geniusz; ale ma szalone szczęście).—Od pierwszej chwili swoich rządów troszczył się o zachowanie sił kraju, o poprawienie komunikacyi, o poprawienie rolnictwa, przemysłu, fabryk i rękodzieł.

Za jego rządów Warszawa z brudnego polsko-żydowskiego miasta, bez bruków i latarni na przedmieściach, przeistoczyła się na pokaźne europejskie miasto, z wodociągami i brukami. W 1846 r. zbudowano wspaniały i wygodny zjazd nad Wisłę. Drogi wszędzie były stanowczo lepsze, niż w Rosyi; dobra i folwarki obywatelskie porządnie zagospodarowane i zbudowane; uprawa pól zbliżała się do zagranicznej i Rosyanin, wjeżdżając w granice Królestwa, w jednej chwi'i uczuwał zmianę we wszystkich stosunkach, czuł się już jakby za granicą, w Europie. Za Paskiewicza Królestwo przybierało coraz bardziej pozór europejski, i każdemu Rosyaninowi życie tam było o wiele przyjemniejsze, niż we własnej ojczyźnie. Nieraz się zdarzało, że taki Rosyanin, szczególniej, jeżeli był nieżonaty, przybywszy do Polski w jakimkolwiek interesie na tydzień lub dwa, ugrzązł tam na stałe, zbliżył się do Polaków, odwykł od Rosyi, jej literatury, spraw i interesów i zaprzestawał zupełnie tęsknić do swoich.

Pozostali z owych czasów Rosyanie, przebywający w Polsce, zapewniają, że nawet ostatecznie zaczynało wyrabiać się pewne zbliżenie sprzecznych z sobą żywiołów, jakiego nigdy przedtem nie było, i którego nie prędko się znów doczeka ten kraj nieszczęśliwy. Znaczna część Polaków przyszła niejako do przekonania, że chyba inaczej być nie może; że my i oni — musimy się zlać w jedno, wytworzyć jakiś sposób wspólnego pożycia; że waśń do niczego nie doprowadzi, chyba tylko do coraz większego zniszczenia kraju; że jakkolwiek nie wiele otrzymują od rządu, pozostając z nim w zgodzie, to wszakże i to nie wiele jeszcze coś znaczy i żadne powstanie, chociażby nawet wywołane w tak pomyślnych warunkach jak 1830 roku, uzyskać tego nie zdoła.

Czy dobrze się działo Polakom za Paskiewicza? najłatwiej rozstrzygnąć, zapytując pierwszego lepszego miejscowego obywatela w Polsce „czy chciałby powrotu rządów strasznego Paskiewicza?"...

Bywały jednak i za Paskiewicza chwile, w których, czy to wskutek ogólnych ruchów europejskich, czy też skutkiem błędów rządu i niezręczności policyi, wulkan zaczynał dymić i uśmierzeni, że tak się powie, polacy-czerkiesi, w których już się zaczynało wyrabiać jakieś przychylne dla Rosyi usposobienie, naraz wychodzili z zawias, dowodzili i robili różne waryactwa, porywali się z dwoma tysiącami talarów na formowanie armii, mającej zwalczyć wszystkich i wszystko... Nie darmo, wszak Polska jest wulkanem, a Polacy Polakami.

Takie ruchy i porywy narodów ujarzmionych są *bardzo naturalne*, u namiętnych zaś i porywczych

czych Polaków naturalniejsze niż u kogobądź. Mickiewicz w przecudnym swym sonecie *Cisza morska*, doskonale oddał ten stan polskiej duszy:

„O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony.
O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony".

Paskiewicz wiedział jak postępować w podobnych chwilach. Dwóch, trzech najzapaleńszych usuwało się bez ceremonii z drogi; kilkudziesięciu pozbawiało się domu i rodziny; Warszawa na jakiś czas przybierała pozór oblężonego miasta; wojska, armaty, patrole... a potem wszystko wracało do zwykłego porządku. Moskale znów się całowali z miejscowymi mieszkańcami na wspólnych hulankach, wracały dawne, dobre czasy...

KSIĘGA I.

Śmierć Paskiewicza.—Książe Gorczakow mianowany namiestnikiem.—Charakterystyka i przeszłość tegoż. —Aleksander II w Warszawie.—*Point de reveries* —Niezadowolenie i pierwsze kółka patryotyczne.— Andrzej hrabia Zamoyski —Towarzystwo rolnicze.— Muchanow. — Żydzi i artykuł Königa. — Kółka czerwone.—Jurgens.—Jankowski.—Akademicy.—Początek manifestacyi.—Bytność w Warszawie trzech monarchów.— Zuchwalstwa czerwonych —Nowakowski.—Manifestacye na Lesznie i na Starem Mieście.—Zebranie Towarzystwa rolniczego.—Strzały.—Pięć ofiar. — Delegacya. — Pogrzeb ofiar. — Ustępstwa władzy.

(20 stycznia 1856 do 27 lutego 1861 roku).

Nadszedł rok 1856. Dnia 20 stycznia o godzinie 9-ej rano zakończył życie człowiek, który mimo swych strasznych wad był najlepszym i najpoważniejszym wielkorządcą, jakich Rosya aż do chwili obecnej Polsce dała.

Na razie zastąpił go generał Wincenty hrabia Krasiński, lecz gdy wskutek tego zaczęto powszechnie mówić o rądykalnej zmianie systemu rządowego w Polsce i gdy nadto sam generał zbyt gorączkowo zadarł na wstępie z kilku administracyjnymi tuzami, szczególnie zaś z Muchanowem, pełniącym *obowiązki kuratora* warszawskiego naukowego okrę-

gu, zaczęto szukać namiestnika w gronie starszych generałów, rodowitych Rosyan.

Bardzo naturalnie, że przedewszystkiem zwrócono w Petersburgu uwagę na wodza armii południowej w Krymie, księcia Michała Dymitrowicza Gorczakowa, który przez lat dwadzieścia zajmował przy Paskiewiczu różne wyższe stanowiska i powinien był znać dobrze stosunki miejscowe.

Mógł także i ten wzgląd zaważyć, że chciano grzecznie usunąć z dowództwa przestarzałego generała i wybrano dlań odpowiedniejsze, pokojowe stanowisko, ani przewidując, że wysyłają go do drugiego Sewastopola, gdzie się znajdą baterye niemniej niebezpieczne, jak francuskie i angielskie w Krymie.

Przedewszystkiem warto jest poznać przeszłość tego człowieka, który mimo braku wybitnych zdolności, wskutek zbiegu fatalnych okoliczności bywał stawiany na takie ważne i dziejowej doniosłości stanowiska, że stał się do pewnego stopnia wybitną osobistością, a przynajmniej taką, której nie można ominąć, omawiając wypadki owej epoki.

Większość Gorczakowych, pochodząc z rodziny wcale niezamożnej, potrzebowała w służbie rządowej szukać środków utrzymania i dalszej krescytywy. Do takich zaliczał się i urodzony w 1792 roku książe Michał.

Ojciec jego, książę Dymitr Piotrowicz, był człowiekiem wykształconym, zajmował się literaturą i należał do rosyjskiej akademii nauk w Petersburgu. Z pod pióra jego wychodziły satyry, komedye, powieści, opery i przysłowia[1]). Dzieciom dał staranne wychowanie, zwracając szczególniejszą uwagę na dokładną znajomość języka i literatury francuskiej. Książe Michał znał wszakże dokładnie także języki: niemiecki i rosyjski i naśladujac ojca pisywał rosyjskie wiersze.

---

[1]) Patrz historyczną chrestomatyę rosyjskiej literatury *A. Gałachowa, str. 170—176.*

W 1807 roku zaciągnął się jako junkier do gwardyjskiej artyleryi i, mając zaledwie lat piętnaście, w tym samym jeszcze roku awansował na oficera. Fundusze jego podówczas tak były szczupłe, że kolegując ze swym bratem, księciem Piotrem, późniejszym generał-gubernatorem zachodniej Syberyi, w tej samej bateryi, mieli na dwóch jedną parę paradnych butów.

W czasie wojen napoleońskich książę Michał znalazł się w czynnej armii i stawał odważnie w wielu bitwach. W roku 1815 już w stopniu sztabs-kapitana zostaje adjutantem jenerał-porucznika barona Dybicza, szefa sztabu pierwszej armii. W 1817 roku jest pułkownikiem kwatermistrzowstwa w świcie Jego Cesarskiej mości (dzisiejszy sztab główny), a po trzech latach w r. 1820 zamianowany szefem sztabu trzeciego korpusu piechoty, bierze udział w wojnie tureckiej w latach 1828 i 1829 w stopniu generał-majora.

Był to wątły i niezgrabny młody człowiek, szczupły, z płaską mongolską twarzą, bez żadnego wyrazu, o wązkich, mongolskich oczach z opadającemi powiekami, wskutek czego chcąc coś widzieć dokładniej, bywał zmuszony do niezgrabnego zadzierania głowy. Z wiekiem coraz bardziej tracił siłę wzroku i bardzo wcześnie zaczął się posługiwać okularami. Wogóle, pomimo dokładanych starań, nigdy nie nabrał wojskowej fizyonomii.

Cudzoziemskie wychowanie, nieustanna francuszczyzna i wogóle jakieś szczególniejsze upodobanie do wszystkiego, co tylko nosiło na sobie piętno francuskie, uniemożliwiało zbliżenie się Gorczakowa z prostymi rosyjskimi wiarusami, umiejącymi mówić tylko swym rodowitym językiem. On nietylko uważał ich za gburów i nieuków, lecz jeszcze gardził nimi jako plebejuszami. Biada takiemu prostaczkowi, jeżeli się przy pierwszem spotkaniu nie potrafił zdobyć na jaki taki frazes francuski, książę bywał *wprost grubiański*, nawet bardzo grubiański. Lecz

jeśli przy pomocy bliższych a znających słabość księcia francuszczyzna poszła zwinnie, ucho księcia stawało się mniej wybredne i plebejusz mógł usłyszeć także z ust dostojnych parę łaskawych wyrazów, wypowiedzianych klasyczną francuszczyzną. Tak opowiada radca tajny Kazaczkowski, dyrektor kancelaryi namiestnika, który przed przedstawieniem księciu świeżo przybyłego urzędnika zwykł był zalecać, by tenże przemówił coś po francusku, gdyż wtedy przedstawienie pójdzie gładko.

Nic więc dziwnego, że wojsko i przeważna cześć oficerów, nie lubiła niedostępnego zfrancuziałego arystokraty. — Gorczaków był najniepopularniejszą osobistością w wojsku. Ci co go potrzebowali, musieli znosić wszstko, nawet wynajdywali w nim niebywałe zalety; lecz ludzie chociaż cośkolwiek niezawiśli, uważali go wprost za trutnia sztabowego, za oficera, który, gdyby nawet posiadał jakie wojskowe wiadomości, nie potrafił nigdy dojść do zrozumienia tych zasadniczych warunków i właściwości służby wojskowej, ani też poznać potrzeb żołnierzy i oficerów, gdyż przez cały czas swej służby nie dowodził żadnym oddziałem wojska, jak kompania, batalion lub pułk. Znający go doskonale, byly jego szef sztabu a później namiestnik Królestwa Polskiego, E. Kotzebue, opowiadał autorowi, że w zimie 1853 roku, gdy jechali razem do Bukaresztu, a Gorczaków, jak to miał zwyczaj, mruczał coś do siebie pod nosem, naraz się odezwał głośno: *Savez vous mon cher; je suis assez intelligent; j'ai étudié l'artillerie, la stratégie, le génie... màis j'ai fai des fautes o cause de n'avoir jamais commendé... C'est vrai mon Prince* — odpowiedział Kotzebue. — (Spisano dosłownie).

To też podawane na naradach wojennych wnioski i plany księcia Gorczakowa, wywoływały u ludzi fachowych a niezawisłych śmiech i żarty. Mimo to Gorczakow zawsze był jaknajlepszego rozumienia o swych wojskowych zdolnościach i uważał, że

wojskowa karyera najbardziej dlań jest odpowiednią, i w tem przekonaniu przy każdej sposobności narzucał się ze swymi planami bitw i poruszeń wojskowych, napraszał się o najtrudniejsze i niebezpieczne poruszenia.

W połowie czerwca 1829 roku trzeci korpus zajął Sylistryę i ztamtąd wyruszył pod Szumlę, celem osaczenia tej fortecy, i ułatwienia dwom innym korpusom wyprawy za Bałkany po bitwie pod Kulewczynem. W lipcu postanowiono zdobyć szturmem główny, przodowy szaniec, z zamiarem usadowienia się w niem silnie i połączenia przez to głównych swych sił z prawem skrzydłem wojsk blokujących Szumlę. — Gorczakow ułożył plan ataku, lecz wskutek zwykłego wahania się i braku stanowczości, pisząc i poprawiając bez końca, przewidując i uwzględniając wszelkie możliwe i niemożliwe zajścia i okoliczności, stworzył taką gmatwaninę, że gdy wysłane oddziały zaczęły wypełniać otrzymane rozkazy, nastąpiło takie zamięszanie, że Turcy szturm odparli i omal że niezdobyli kilku rosyjskich linii. W boju tym polegli: pułkownik Zełtuchin i major Rymski-Korsakow, dowódcy wysłanych oddziałów. — Porażka ta wywołała w całym korpusie szemranie, wszyscy głośno przypisywali doznaną porażkę niezdarności szefa sztabu i jego planom. Jego też obwiniono o nieporządki i brak czujności w okopach oblężniczych, które wskutek tego tylko co się nie dostały w moc nieprzyjaciela.

Nie zważając na to, w jakiś czas potem, temuż samemu Gorczakowowi polecono wyprawę w góry dla zapewnienia połączenia z armią zabałkańską. I w tym wypadku pomimo bardzo mądrze skombinowanych planów, został pobity na głowę i sromotnie przepędzony.

Tak opowiadają ówczesni towarzysze broni księcia Gorczakowa. Oficyalna historya, jak zwykle, przemilcza i nie wypowiada żadnej krytyki nad działaniami wyższych osobistości: dowódców korpusu,

szefów sztabu, szczególniej, jeżeli to byli książęta lub hrabiowie, cieszący się protekcyą sfer petersburskich. Główny dziejopis tej wojny, N. J. Uszakow, zawisły przez całe życie od księcia Gorczakowa, nie śmiał wypowiedzieć nic niepochlebnego. Ale nawet i teraz potrzeba posiadać sporą dozę cywilnej odwagi, ażeby wystąpić publicznie z całą szczerością ze swem zdaniem o rosyjskich jenerałach. Autor miewał z tego powodu różne przeprawy z generałami. Łajano go prawie. Zresztą byli to tylko wojskowi generałowie, z cywilnych generałów jeszcze go żaden nie złajał.

Ponownie zaczęto mówić o niezdarności Gorczakowa i ponownie wszyscy na niego wyrzekali.

Przez cały czas wojny, szczęście nawet wypadkiem, ani na chwilę nie uśmiechnęło się temu człowiekowi. Wojskowi uważali go za zupełnego niezdarę, pobłażliwsi dowodzili, że książę ma tylko nieszczęśliwą rękę. Wszakże w długim, bardzo długim formularzu służbowym księcia, wszystkie te zawody i błędy zostały pokryte różnymi górnolotnymi frazesami z dodatkiem, że po zawarciu pokoju książę „za wzorowe męstwo okazane przy przeprawie przez Dunaj, za szczególniejszą odwagę i skuteczne prowadzenie oblężniczych robót pod Silistryą", i za takąż odwagę i działalność w bitwach pod Szumlą, został zaszczycony orderami: św. Jerzego, św. Włodzimierza drugiego stopnia i wielkim krzyżem św. Anny. oraz otrzymał złotą szpadę, osypaną brylantami z napisem: „za męstwo". Nadto zamianowanym został generał-adjutantem, a w 1830 roku po wybuchu powstania w Polsce, został szefem sztabu pierwszego korpusu piechoty, i jako taki odbył całą kampanię 1831 roku. Tutaj zdobył nowe wawrzyny, uwidocznione orderem św. Aleksandra Newskiego i nadaniem 12 letniej dzierżawy o 2000 rubli srebrnych rocznego dochodu.

Wojenny dyktator Paskiewicz, rozpoczynając swe długoletnie rządy nad uspokojoną Polską, przez

dłuższy czas nie mógł sobie dobrać odpowiedniego szefa sztabu. Ludzie nadający się na stanowisko, o ile tylko byli obdarzeni jakiem takiem poczuciem własnej godności, unikali tego zaszczytu i woleli szukać krescytywy w samej Rosyi.

Wzrok „jego świetłosti" zatrzymał się wreszcie na księciu Gorczakowie. Paskiewicz wiedział doskonale, że Gorczaków nie posiadał odpowiednich zdolności dla tak ważnego stanowiska, że zanadto troszczy się o drobiazgi, że niezdecydowany i roztargniony, że zabałamuci i generała i dyżurnego i innych swych podwładnych oficerów, zamęczy ich niekończącem się nigdy przerabianiem i przepisywaniem referatów, które musiały przechodzić przez jego ręce, jako szefa głównego sztabu, ale wiedział także, że wybraniec jego, o ile jest niezdecydowany i roztargniony, o tyle, a może jeszcze bardziej, nie odważy się głosu podnieść wobec każdego przełożonego; że jest uosobioną cierpliwością i milczeniem, potrafi jak nikt inny w danej chwili unicestwić się prawie. Takie przymioty w człowieku zbliżonym, którego codziennie się widzi i co chwila z nim styka, dla samowładnego dyktatora były rzeczą pożądaną i prawie niezbędną, a zresztą Paskiewicz zawsze sam się uważał za rzeczywistego swego szefa sztabu i czuł, że w każdej chwili, gdyby nominalny szef sztabu wskutek braku decyzyi nie zrobił coś tak, jak potrzeba, on zaraz potrafi rzecz naprawić i na właściwą drogę skierować. Byłże przecież Gorczakow szefem sztabu trzeciego i pierwszego korpusu i to w czasach wojny, i sprawy szły i idą... jak wszędzie; nikt się nie skarżył i nie wyrzekał, owszem bezpośredni dowódzcy przedstawiali księcia do nagród.

Radca tajny Czestilin, który z Gorczakowem przesłużył lat dwadzieścia i w końcu był dyrektorem jego kancelaryi, opowiadał autorowi, że pewnego razu Gorczakow dziewięć razy kazał zmieniać *i przepisywać* jakiś elaborat, w końcu zaś zapytał:

„a masz pierwszy operat"? — Jest mości książe! — „No to zostaw jak tam było"!

Setki takich historyjek możnaby przytoczyć. Dla przykładu podamy jeszcze jedną. W 1842 r. znany strategik, generał Jomini, został wysłany przez cara Mikołaja dla szczegółowego zbadania północno-zachodniej granicy i wybrania odpowiednich miejsc dla ufortyfikowania takowej, na Litwie i w Królestwie. Między innymi punktami miano ufortyfikować Grodno i Serock. Jomini przedewszystkiem przybył do Warszawy, dla porozumienia się w tej sprawie z feldmarszałkiem. Paskiewicz wśród wielu innych wojskowych rozrywek, urządził dla niego na zamku grę wojenną, mającą odtworzyć pewien epizod z wojny francusko-austryackiej z 1809 roku. Stroną zaczepną dowodził sam feldmarszałek, bronić się miał książę Gorczaków. Generałowie Jomini i hrabia Berg byli sędziami i świadkami walki, która trwała blisko dwa miesiące, gdyż grywano tylko raz na tydzień w gabinecie feldmarszałka. Obaj zapaśnicy mieli po kilku oficerów generalnego sztabu do pomocy. Pierwszych dni, gdy działano w oddaleniu, jedna strona wychodziła z pokoju, gdy druga ustawiała swoje figury, mające oznaczać różne oddziały wojska: pluton, kompanię, pułk, szwadron, baterye i t. p. Gdy wracała, figury przeciwnika zakrywano papierem.

Jednego razu pomocnik Gorczakowa, kapitan Grossman zrobił uwagę, że należałoby przecież wskazany punkt obsadzić batalionem piechoty. Gorczakow natychmiast umieścił tam odpowiedni znaczek, lecz następnie rozpatrując całą miejscowość powiedział: „at głupstwo, po co tam batalion"? i zdjął znaczek. Zaproszono Paskiewicza, by już wszedł do pokoju. Ale Gorczakow ciągle z boku spoglądając z niepokojem na ów punkt wskazany, zatrzymuje feldmarszałka w progu, przepraszając i prosząc o chwilkę cierpliwości, gdyż ma zrobić jeszcze jedno *poruszenie.* Paskiewicz uśmiechając się, wrócił za

drzwi, a Gorczakow postawił pośpiesznie znak batalionowy w oznaczonym punkcie i, oświadczywszy feldmarszałkowi, że już gotów, miał się sam ku wyjściu. Widocznie wszakże coś go niepokoiło i szedł mrucząc pod nosem, naraz po raz drugi wstrzymuje Paskiewicza, podchodzi do stołu, zdejmuje znaczek, mówiąc: „co za głupstwo, po co tu wojsko, kto pójdzie tą drogą"?

Paskiewicz, wróciwszy do gabinetu, chciał już zakląć jakiemś słówkiem, nie nadającem się do druku, lecz obecność obcego człowieka, Francuza, sprawiła, że tylko przygryzł usta. Z tego szczegółu można osądzić, co za nieszczęśliwy był książe Gorczakow w rzeczywistym boju, wtedy, gdy czuł na sobie cały ciężar odpowiedzialności, i gdy nie można było nikogo poprosić na ustęp, dla poprawienia jakiegoś nieudałego poruszenia.

Generał hrabia Berg w czasie tej gry ogromnie kręcił, zmniejszał odległości, podbierał znaki, byle ułatwić feldmarszałkowi wygraną, a przytem wciąż pokpiwał z Gorczakowa, tak, że się ten w końcu obraził i gry musiano zaniechać. Nieporozumienie między Gorczakowem a Bergiem trwało do roku 1843, w którym się pogodzili przy jednoczesnym awansie na generałów broni

W ten sposób książę Gorczakow został szefem sztabu czynnej armii przy feldmarszałku. Ta ciężka 21-letnia służba wycisnęła piętno jeszcze większej nicości, zahukania i drobiazgowości na marnym i nieudolnym człowieku. Paskiewicz złamał w nim wszystko, co jeszcze na dnie duszy tliło własnego, żywotnego; zagasił w nim ostatnie iskry ducha. Inni, nie Gorczakowy, nie dopuściliby tego, drudzy zawczasu uciekli, lecz Gorczakow z natury skłonny do ustępowania, dozwolił, ani się spostrzegając, że go przerabiano, wywracano na nice. Zwolna, stopniowo, stał się innym człowiek, pozbawionym wszelkich właściwości człowieczeństwa. On nie dostrzegł, że od czasu zbliżenia się swego z Paskiewi-

czem, z tym *Torquemadą* najnowszych czasów, poddającym codziennie w oczach swego szefa sztabu różne osoby moralnym torturom i przyzwyczajającym go do widoku ciągłego poniewierania ludzkiej godności, jako do najzwyczajniejszych przejawów życia, nie odczuł, że do tej strasznej chwili przecież był jakimś innym człowiekiem, że wartością swoją wewnętrzną przedstawiał, bądź co bądź, jakąś dodatnią cyfrę, mającą sama przez się jakieś określone znaczenie. Lecz pótem, po tej dwudziestoletniej tresurze, stał się najzupełniejszem zerem, które bez postawionej obok siebie jakiejś innej jednostki, absolutnie nic nie znaczyło.

Hrabia P. E. Kotzebue nieraz powtarzał autorowi, że książe Gorczaków, przed i po tresurze paskiewiczowskiej, były to dwie, zupełnie różne osobistości. Paskiewicz miał się podobno chwalić, „że złamał Gorczakowa". Gdy się dowiedział, że w 1845 roku car Mikołaj, spotkawszy Gorczakowa w Palermo, gdzie podówczas bawiła cesarzowa, powiedział mu „że go zrobi pomocnikiem feldmarszałka," zaczął żywo chodzić po gabinecie, mówiąc: „co mi to za pomocnik, to pionek, to zero! Ot co!" i pokazał figę. „Jak wszyscy sztabowcy i on chciał się nabredyczyć, alem go złamał, i każdego złamię", zakończył, zwracając się do Kotzebuego, który był podówczas generał-kwatermistrzem czynnej armii.— Gorczakow nie otrzymał tej nominacyi.

Nawet charakter pisma jego się zmienił i stał się tak nieczytelnym, że tylko czterech ludzi w Warszawie umiało dokładnie odcyfrowywać te istne hieroglify.

Tymczasem nadeszła starość i wszystko to skrzepło i skostniało na wieki. —Zdawałoby się, że takiego człowieka jużby należało pozostawić w spokoju i złożyć do archiwum; lecz nie, przeznaczenie *kazało temu* cieniowi człowieka, przez dłuższy czas *jeszcze błąkać* się po rosyjskich armiach i gmatwać *rosyjskie sprawy*. W Rosyi wystarcza dojść do wyż-

szego stanowiska, zachowywać się spokojnie i mieć jaką taką protekcyę, a wtedy, czy kto zdatny, czy do niczego, posuwają go i posuwają, nadają majoraty i dzierżawy, a w końcu pochowają przy odgłosie trąb i głośnym płaczu gazeciarskim. Ba, nawet zrobią, jeśli nie zupełnym bohaterem, to przynajmniej bardzo walecznym generałem, nawet generał-feldmarszałkiem swoich czasów, ozdobią galeryę ermitażu portretem bohatera, malowanym przez Dov'a. W Rosyi upadają tylko ludzie z talentem i charakterem, nie pozwalający na poniewieranie sobą wszelkiemu plugawstwu, znajdującemu się u góry, i czujący, że zachowanie swej ludzkiej godności droższe jest nad wszelkie ordery i możliwą służbową karyerę.

Paskiewicz umiał wynagradzać służących sobie, jak mówi przysłowie: „wiarą i prawdą". Wytyrany przez niego, albo (literalnie) przyciśnięty kolanem do ściany pierwszy lepszy generał-major, wiedział doskonale, że po każdej silniejszej burzy, tem piękniejsza następuje pogoda i cisza w powietrzu. Na szlifach generał-majora mogła także zabłysnąć druga gwiazdeczka. On dobrze pojmował, że przedstawienie Paskiewicza, to nie zwykłe przedstawienie innych naczelników, po których w Petersburgu wcale bez ceremonii przechadza się złowrogi ołówek i często bardzo je kreśli. Ołówka, odważającego się zmienić przedstawienie „ojca komendanta", w Petersburgu nie było, i gdy generał-major posłyszał, że go feldmarszałek przedstawił do awansu, to już śmiało jechał do magazynu zamówić sobie generał-porucznikowskie szlify.

Poczucie prawdy nakazuje dodać, że nagrody otrzymywane przez Gorczakowa przy Paskiewiczu, nigdy nie były spowodowane wyżej przytoczonemi burzami, które tak często wybuchały nad głowami *innych* generałów. Paskiewicz nie pozwalał sobie wobec Gorczakowa na nic podobnego, co spotykało

Wikińskiego, Storożenkę, Abramowicza lub Tichanowskiego.

Jenerał-porucznik Wikińskij był w epoce opisywanej dyżurnym generałem czynnej armii.—Generał-porucznik Andrzej Jakowlewicz Storożenko, był oberpolicmajstrem miasta Warszawy, potem głównym dyrektorem w komisyi spraw wewnętrznych. Jakiś czas przewodniczył śledczej komisyi. W roku 1849 wpadł w niełaskę i wówczas jego miejsce w komisyi spraw wewnętrznych zajął Wilkińskij*).

Ignacy Abramowicz z początku był adjutantem przy Paskiewiczu, potem dowódzcą warszawskich żandarmów, oberpolicmajstrem miasta Warszawy, w końcu dyrektorem teatrów i zawiadowcą cesarskich pałaców. Na tem stanowisku, w stopniu generała-porucznika, zastały go rządy ks. Gorczakowa.

Generał-major Nikita Mikołajewicz Tichonowskij, przed i w czasie kampanii węgierskiej pełnił obowiązki generał-intendenta czynnej armii. W 1854 roku uwolniony, został zaliczony do sztabu.

Paskiewiczowi wystarczały poddanie się i pokora księcia Gorczakowa. Zresztą straszny i nieugięty despota nigdy nie zapominał się do tego stopnia, by nie rozróżnić kogo można i należy od czasu do czasu przycisnąć do ściany, z kim zaś to jest zbyteczne a nawet nie zupełnie bezpieczne. Gorczaków przez cały czas swej służby przy *Świetlejszym*, zaliczał się do tych ostatnich. Raz tylko, w czasie wojny węgierskiej, w obozie pod Debreczynem, gdy w namiocie feldmarszałka zaczęto mówić o powodzeniach Radeckiego w wojnie włoskiej 1847 i 1848 roku, niezręczny Gorczakow zdobył się na uwagę, że „Radecki miał znakomitego szefa sztabu". Powiedzenie to wobec człowieka, który przez całe swe

*) *O Wikińskim różne szczegóły podaje Giller — tom III. str. 213, 241 i 242).*

życie uważał szefa sztabu za organ zupełnie zbyteczny, rozgniewało Paskiewicza, to też jak tygrys raniony, podbiegł do Gorczakowa i uderzając go kilkakrotnie palcem po nosie, powtarzał, „szef sztabu, zero! szef sztabu, zero“!*).

Nic podobnego już więcej Gorczakowa nie spotkało. Zresztą.. i to wystarczało... Paskiewicz wiedział doskonale, że i bez przyciskania do ściany człowiek ten ma dosyć za swoje, dlatego też stale przemyśliwał nad wynagrodzeniem go w sposób odpowiedni. Te lub owe ordery, gwiazdki na szlifach, i tym podobne rzeczy, mogły zaspokoić takich Abramowiczów lub Wikińskich, ale nie wystarczały dla Gorczakowa za wszystko, czego musiał wysłuchać i na co się napatrzeć w ciągu tych dwóch, nieskończenie długich dziesięcioleci swej służby przy feldmarszałku.

Nie mijały go nagrody, jakie nań przypadały z kolei, lecz w myślach Paskiewicza przygotowywało się dla niego wyższe, wyjątkowe wyszczególnienie, które nie każdego zasłużonego spotykało generała. W 1843 roku Gorczakow awansował na generała artyleryi, następnie zamianowany szefem (właścicielem) brańskiego pułku strzelców; otrzymał ordery austryackie: św. Leopolnda i św. Szczepana; sycylijski św. Januarego; pruskie: czerwonego i czarnego orła i *pour le mérite*, bawarski korony i t. d.

Przy rozpoczęciu wojny z Turcyą w 1853 roku, na przedstawienie Paskiewicza, księciu Gorczakowowi poruczono dowództwo armii, mającej zająć księstwa naddunajskie. Jednak cesarz Mikołaj bardzo był niezadowolony z jego działań, i gdy w lutym 1854 roku Paskiewicz objął naczelne dowódz-

---

*) Z opowiadania naocznego świadka, generała porucznika Wasyla Piotrowicza Kondratiewa, który w 1870 roku był pomocnikiem naczelnika artyleryi w Warszawie, następnie zaś został naczelnikiem artyleryi w kijowskim wojennym rogu

two, cesarz zamierzał go zupełnie odwołać z czynnej armii, jedynie w tym celu, aby przeszkodzić Paskiewiczowi zrobienie go ponownie swoim szefem sztabu. Widać to z listu do Gorczakowa, który umierający już Paskiewicz podyktował S. T. Paniutynowi dnia 16 września 1855*) roku. Autentyczność tego listu stwierdza fakt, że syn Paskiewicza list ten, odnaleziony w papierach swego ojca, odczytał w Homlu sąsiadowi swojemu, M. M. Gerardowi, który następnie został starszym prezesem warszawskiej izby sądowej, i o czem ten opowiadał autorowi. „Z przytoczonej powyżej rozmowy ze ś. p. cesarzem, możesz książe osądzić, że los wasz był w mojem ręku. Wystarczało bym milczał, aby się przeznaczenie wasze spełniło". Paskiewicz powstrzymał tę decyzyę cesarza, a gdy jakoby został zraniony pod Sylistryą, dnia 28 maja 1854 roku i opuścił armię, Gorczakow ponownie objął dowództwo nad Dunajem.

Podczas rekonesansu Paskiewicz oświadczył, że się czuje kontuzyowany od kuli działowej, która się koło niego przetoczyła. Są niektóre poszlaki, że myśl tę mu poddano... on zaś powiedział „tak, jestem kontuzyonowany". Wyjechał do Petersburga, a następnie wrócił do Warszawy, gdzie umarł.

Niepomyślne działania księcia Menszykowa w Krymie i pod Sewastopolem w końcu 1854 roku wymagały zmiany dowództwa. Właściwie zaś mówiąc, trzymający bank w faraona, gdy mu nie szło, zażądał nowej talii kart. Na szczęście podana talia nie była ani nowa, ani lepsza. Znowu za poradą Paskiewicza, zastąpił Menszykowa ten, tak często zwyciężany i poniewierany książę Michał Gorczakow.

Gorczakowa z początku naznaczono na naczelnego wodza armii południowej z główną kwaterą

---

*) *Patrz Ruską Starinę* z 1872 roku, tom VI., strona *427—435 i 604—605.*

w Kiszyniewie. Gorczakow tak się ucieszył tą nominacyą, że skakał z radości jak dziecko, a kuryerowi, który przywiózł tę szczęśliwą depeszę, dał sto półimperyałów. Autorowi, służącemu wówczas także w armii południowej opowiadali to zaraz adjutanci księcia. Następnie w lutym 1855 roku, gdy książe Menszyków zażądał uwolnienia, polecono mu udać się niezwłocznie do Sewastopola i objąć naczelne dowództwo lądowych i morskich sił, działających w Krymie.

Stało się to przed samą prawie śmiercią Mikołaja. Nowy cesarz potwierdził nominacyę i książę Gorczakow z całym swym ogromnym sztabem i mnogimi adjutantami przeniósł się do Krymu. Co to za uganianie nastało podówczas między Kiszyniewem a Sewastopolem i ile to pocztowych koni zapędzono na śmierć!

Tak hojnie wynagrodził długoletnią cierpliwość i poddanie się swego szefa sztabu wszechmocny feldmarszałek! — Wszakże potem żałował tego, jak to dowodzi następujący ustęp z owego, wyżej powołanego listu: „wyznaję, żem zawinił wobec ojczyzny, pomagając do wyniesienia was, książę, na stanowisko, które obecnie zajmujecie". (str. 432).

W Sewastopolu bardzo prędko zaczęto mówić: „mimo to, zawsze jesteśmy bez wodza".

Rzeczywiście, noszący to głośnobrzmiące miano, zgrzybiały, roztargniony, plączący się w słowach i w myślach starzec, nie wyglądał na naczelnego wodza. Wzrok jego do tego stopnia już wówczas był osłabiony, że trzeciej, obok siedzącej przy stole osoby, nie mógł rozpoznać. Słuch, a raczej cały organizm, tak już był przytępiony, że jeszcze w Kiszyniewie nie słyszał muzyki wojskowej, gdy o kilkanaście kroków przygrywała przed główną kwaterą. Cóż dopiero w Sewastopolu. Przechadzki jego nigdy nie miały jakiegoś wyraźnie zamierzonego celu, lecz jak dziecko, łaził po obozie bez myśli i planu.

Najczęściej zachodził do namiotu swego szefa

sztabu, małego Kotzebuego, gdyż tam potrafił dostać się sam, bez przewodnika. Namiot ten był oddalony o jakie piętnaście kroków od lepianki, w której się mieścił wódz naczelny. Kotzebue opowiadał, że Gorczakow przychodził do niego często w nocy, siadał na łóżku i zaczynał mówić bez przerwy. Najczęściej przedstawiał smutną przyszłość. Kotzebuemu z trudnością udawało się go uspokoić. Gorczakow wracał wówczas do swej lepianki [1]). Musimy zrobić uwagę, że podówczas właśnie Kotzebue był tą jednostką, obok której zero Gorczaków przedstawiał jakąć określoną cyfrę.

Wszelkie inne dalsze wyprawy, czy to do dyżurnego jenerała, czy do naczelnika artyleryi lub inżynieryi, czy też do atamana kozaków, książę odbywał w towarzystwie przewodnika, kozaka. Zdala można było spostrzedz oryginalną, cienką postać, w narzuconym na plecy szarym, wojskowym paltocie, w czapce z półłokciowym daszkiem, sterczącym jak dziób, kroczącego szerokimi krokami bociana.

Zdarzało się, że kozak nie dosłyszał dobrze, dokąd mu nakazał prowadzić się mruczący jak zwykle pod nosem generał. Nie śmiejąc zapytać się, szedł na los szczęścia i nie rzadko przyprowadzał go nie tam, gdzie miał polecone. Wypadały ztąd pocieszne nieporozumienia. Gorczakow nikogo nie mógł rozpoznać, więc mając coś do powiedzenia generałowi dyżurnemu, wypowiadał to naczelnikowi artyleryi lub na odwrót.

W podobny sposób zwiedzał i baterye, wysunięte na linii bojowej Bóg wie po co; kogo on tam mógł natchnąć męstwem i zapałem, on, niepopularny, prawie nieznany żołnierzom i majtkom. Czy widział co, czego nie dostrzegł? Odjeżdżając zwykł był nucić pod nosem jakąś francuską piosneczkę, najczęściej: *je suis soldat français* [2])...

---

[1]) „Sewastopolski album". Moskwa 1858, str 12.
[2]) Opowiadania adyutantów.

Przedewszystkiem dziwny a nawet wprost nieprzyzwoity bywał książę Gorczakow na wszystkich wojskowych nabożeństwach. Zachowywał się jak dziecko, gwałtem przyprowadzone na mszę, które się nudzi nie do wytrzymania. Co chwila się odwracał, nieraz stając zupełnie tyłem do ołtarza i wziąwszy się obydwoma rękami pod boki, przypatrywał się żołnierzom i oficerom, ma się rozumieć, nic nie widząc w dodatku. W takiej postawie nieraz się zapomniał i przestał prawie przez cały czas nabożeństwa. Gdy wypadało przyklęknąć, to go męczyło, podsuwał się do którego z generałów i rozmową, pół szeptem, pół głośno prowadzoną, starał się skrócić nudę chwil takich. W tych właśnie okolicznościach wyjawiał się człowiek nietylko pozbawiony taktu, roztargniony i zapominający, lecz nadto nie posiadający nawet tego pierwiastkowego religijnego wychowania, któreby wskazywało, jak się należy zachować wobec obrzędów i zwyczajów religijnych. I pod tym względem był to więcej Francuz niż Rosyanin.

Różne anegdoty i opowiadania, przechodząc z ust sztabowców, rozszerzały się w kołach wojskowych. Czyż mogła armia zachować należną cześć dla takiego wodza, który co chwila bywał przedmiotem ogólnych drwin i dowcipów? Znana to maksyma znakomitych wodzów, w starożytności i najnowszych czasach; maksyma Napoleona I.: „jeśli chcesz, by cię słuchano, nie możesz być śmiesznym dla swych podwładnych".

O kierownictwie Gorczakowa sprawami wojskowemi nic się nie da powiedzieć; szły one, jak niemi pokierował szef sztabu, mały Kotzebue, który miał szczególniejszy talent uchylania się od jakiejkolwiek odpowiedzialności. W takich chwilach jedynka zwykle się odłączała gdzieś od zera, które pozostawione samemu sobie, nieporadne i biedne, wszystko *gmatwało*, zapominało, znów przypominało, by za *chwilę zapomnieć* na nowo .. ostatecznie zawsze zna-

leźli się polegli, na których można było zwalić błędy, jak np. w bitwie nad Czarną rzeczką z dnia 4 sierpnia 1855[1]) roku.

Okrutna francuska karykatura, wydana po tym dniu fatalnym, nadzwyczaj trafnie scharakteryzowała ówczesnego naczelnego wodza krymskiej armii. Przedstawia ona Gorczakowa, trzymającego w jednym ręku *ordre*, w drugim *controrde*, na czole zaś ma napisane: *desordre*. Sprawiedliwy to portret księcia, nietylko w owe dni nieszczęsne, lecz z całego jego życia.

A mimo to trzymano go na tem stanowisku, i pozostawionoby nadal tak długo, jak długo istniałaby krymska armia, gdyby nie zaszła śmierć Paskiewicza.

Widzieliśmy, w jakich warunkach zamianowanym został miękki i słaby, a w dodatku co tylko sromotnie pobity przez Turków i Francuzów książe Gorczakow, na miejsce nieżyjącego feldmarszałka. Widzieliśmy, co myślał wtedy rząd o Polsce; teraz zaś możemy dodać i to jeszcze, że w chwili nadzwyczajnych zmian i reform, od których rozpoczęło się panowanie Aleksandra II, gdy po niezmierzonych przestrzeniach Rosyi powiało ciepłem, krymskiem powietrzem, gdy wszystkie rosyjskie oblicza były uśmiechnięte i pełne jakiejś błogiej nadziei, dziwnemby było, gdyby na miejsce zmarłego namiestnika osadzono kogoś podobnego, jakiegoś Paskiewicza drugiego.

Wszyscy byli przekonani, że bezpowrotnie wybiła ostatnia godzina dla wszelkiego rodzaju Paskiewiczów, i że oni nie są już potrzebni ani w głębokiej Rosyi, ani na jej pograniczach; niepotrzebni i niemożliwi; natomiast wszędzie potrzeba ludzi cy-

---

[1]) *O tej bitwie* wyraża się Paskiewicz *w* wyżej *powołanym liście: „Bitwa* pod Czarną pozostanie wieczną hańbą *w naszej wojennej historyi"*.

wilizowanych, europejskich w całem tego słowa znaczeniu. A przytem Polacy w Królestwie przez cały czas wojny zachowywali się zupełnie spokojnie.

Gdy Gorczakow przybył do kraju, powierzonego jego rządom, nie znalazł w nim żadnych zmian, rzucających się w oczy. Jemu się zdawało, że on wcale nie wyjeżdżał, lecz wciąż przebywał na zamku królewskim, pisząc referaty dla feldmarszałka. Opowiadają, że raz tak się zatopił we własnych wspomnieniach, iż, zapominając o śmierci Paskiewicza, gdy mu podano do podpisu ekspedycyę, powiedział: „Dobrze... lecz pokażcie pierwej feldmarszałkowi".

Warszawa wyglądała wesoło i była ożywiona jak i przy Paskiewiczu. Na scenie teatru Rozmaitości bawił wszystkich niezrównany komik Żółkowski; w Wielkim teatrze tańczono te same mazury.

Rozpatrując się w planie miasta Warszawy, zdawałoby się, że ona jest rozległą. Patrząc wszakże ze stanowiska klasy zamożniejszej i bardziej oświeconej, granice, w których obraca się wszystko, co żyje życiem więcej ruchliwem i europejskiem, gdzie się rozstrzygają wszystkie żywotne interesa miasta, zamknąćby można w pięcioboku, leżącym między Nowym Światem, Krakowskiem Przedmieściem i Marszałkowską ulicą z jednej, a Jerozolimskiemi Alejami i ulicami Miodową, Długą i Rymarską z drugiej strony. W tym pięcioboku wszystko się mieści: i wykwintniejsze mieszkania i bogate magazyny, hotele, teatr, banki i prześliczny ogród publiczny, z drzewami, dożywającemi już drugiego stulecia. Tutaj bezwiednie podążają wszyscy mieszkańcy, nawet z najdalszych dzielnic, aby chociaż pogapić się na to lub owo, odetchnąć innem, wielkoświatowem, europejskiem powietrzem, brzemiennem w różne żywotne i zaciekawiające sprawy, pełnem ciekawych wieści, plotek i wniosków. Tutaj *spędza dnie* całe nawet znaczna część mieszkańców *Pragi*... Z tych też powodów bywają chwile takiej

ciżby na ulicach, że panuje na nich ruch, tłok i przepychanie, prawie jak na bulwarach paryskich.

Jak w domach bywają mieszkania, a w tych pokoje wygodniejsze i lepiej urządzone, w których przyjemniej przebywać, czytać lub rozmawiać, tak też i powyżej opisana część Warszawy, zajmowała takie uprzywilejowane stanowisko względem reszty miasta, nie mówiąc już o innych miastach prowincyonalnych. Wszystko to razem składało się i składa, że Warszawa jest przedewszystkiem miłem miastem, gdzie się żyje przyjemnie i wygodnie, gdzie się ma wszystko pod ręką, a wszystko wcale przyzwoite i znośne, mogące zaspokoić materyalne i duchowe potrzeby każdego przeciętnego Europejczyka.

Pomimo wszelakich ograniczeń i szykan cenzuralnych, w Warszawie zawsze panował ożywiony ruch literacki; w czasach, które opisujemy, ruch się ten wzmógł w dwójnasób. Sceny teatrów: Wielkiego i Rozmaitości, mogły rywalizować pod względem dramatycznych i komicznych talentów z najlepszymi teatrami Europy. Na scenach tych od czasu do czasu zjawiały się i pierwszorzędne znakomitości europejskie, które bądź umyślnie zjeżdżały do Warszawy, bądź też zatrzymywały się w przejeździe do Petersburga i Moskwy.

Blasku i ożywienia dodawały jeszcze polskiej stolicy, stale przebywające tam rodziny polskiej arystokracyi i bogatszej szlachty; tacy książęta Lubomirscy, hrabiowie: Potoccy, Zamoyscy, Krasińscy, Braniccy, Rzewuscy, Kossakowscy, Łubieńscy, Uruscy, Jezierscy i Ostrowscy, których nazwiska budzą w każdym Polaku dumne wspomnienia. Było komu za wszystko dobrze płacić, wspierać tem handel, przemysł i sztuki. Włościanin dostarczał jeszcze daremnej pracy, wszystko więc służyło panom. Osamotnione obecnie i pogrążone w mroku, poważne wiekiem pałace, *gorzały jarzącem* światłem oświeconych salonów *i brzmiały* weselem i muzyką. Ulice, na których *obecnie* prawie wyłącznie krążą monotonne

zaprzęgi dorożkarskie z woźnicami w płaszczach piaskowego koloru na koźle, wówczas roiły się różnorodnymi powozami, nieraz zaprzężonymi w konie po polsku; dawały się słyszeć trąbki pocztylionów i trzaskanie długich, polskich batów. Paskiewicz wcale nie bronił tych niewinnych objawów dawnej, polskiej fantazyi, byleby nie myślano o czemkolwiek innem.

Powierzchownie i teraz nic się nie zmieniło. Warszawa w 1856 r. wyglądała tak samo, jak w 1854 za czasów „świetlejszego". Uważniejszy wszakże i głębiej wnikający dostrzegacz już wówczas mógł zauważyć wiele zmian ważnych. Nie wiele dni ubiegło od czasu, gdy na zamku królewskim przestał kopać nogami, krzyczeć i wymyślać straszny wojenny dyktator, a ponieważ wiele wody upłynęło i w umysłach polskich dokonał się zwrot niemały. I wyższe i niższe warstwy społeczeństwa zaczęły myśleć i sądzić inaczej. W kawiarniach, bawaryach i po ogródkach, dokąd się schodził ludek pospolity na wytchnienie po ciężkiej pracy, na hulankę, w miarę swych skromnych zasobów, na jeden i drugi kufelek piwa, zaczęły pokazywać się postaci, od których Warszawa już była odwykła, a które w zwykłych czasach gdzieś się chowają, bledną i nikną, jak cienie magicznej latarni. Wśród zwykłych gawędek zatłuszczonych bluz i surdutów, zaczynały odzywać się jakieś gorące, podniecające mowy i napomknienia znaczące, tak, że niejeden spokojny obywatel czem prędzej dopijał zaczętego kufla i nie oglądając się po za siebie, wynosił się do domu. „Hydra Mickiewiczowska" ocknęła się i żyć zaczynała...

Gdy rozeszła się wiadomość o zapowiedzianem przybyciu do Warszawy nowego cesarza, Bóg wie z jakich powodów i dlaczego, myśli wszystkich Polaków skierowały się ku czasom Aleksandra I, ku liberalnej konstytucyi i wojsku polskiemu. Cesarza *Aleksandra II* uważano za powtórzenie pierwszego. *Wszyscy* dość dokładnie znali niedawną jego prze-

szłość, wiedzieli, jak będąc następcą tronu, zbierał anegdoty o dzikich i bezmyślnych wybrykach cenzury i czytywał *Kołokoła*. Wszyscy wiedzieli, że w Rosyi inny już wiatr powiał, że się przygotowują nadzwyczaj doniosłe reformy na najszerszą skalę, że w całem państwie walą się w gruzy dawne porządki.

Wiedziano, że za Polską i za zmianą dotychczasowego względem niej przyjętego systemu rządowego podniosły się doniosłe, sympatyczne głosy wśród rosyjskiej inteligencyi, że nawet stary Pogodin, w swem historycznem zaciszu na „dziewiczem polu" (plac w Moskwie) napisał obszerną rozprawę w kwestyi polskiej, w duchu niezmiernie dla Polaków przyjaznym, i posłał, albo też zamierzał ją przesłać, monarsze. Wiadomo też było, jak redakcye głównych dzienników w Petersburgu i Moskwie, chętnie przyjmowały Polaków, i że ci w codziennych stosunkach wcale nie kolidowali z Rosyanami, owszem żyli jak bracia i przyjaciele.

I tak różne rzeczy opowiadano sobie po ogródkach — a nawet i nie po ogródkach..

Pod wpływem takich pogłosek, wiadomości, opowiadań, wniosków i nadziei, mieszkańcy warszawscy przygotowywali się na przyjęcie nowego monarchy. Przybył on dnia 22 maja 1856 roku o kwadrans przed jedenastą w nocy. Ogłuszające okrzyki zagrzmiały na całej ogromnej przestrzeni, od rogatki petersburskiej aż do Belwederu. Lud zalegał wszystkie ulice, któremi miał cesarz przejeżdżać, nie zważając na tak spóźnioną porę; zdawało się, że do swej stolicy wjeżdżał jakiś zmartwychwskrzeszony Piast lub Jagiellończyk.

W orszaku cesarza zaczęto mówić, że takie entuzastyczne przyjęcie jest demonstracyą, po za którą ukrywają się pewne cele, i doradzano cesarzowi, by przy przyjęciu deputacyi nie robił zbytnich obietnic, gdyż Polacy uniesieni znaną fantazyą, wnet wzlecą gdzieś po nad obłoki, gdy przeciwnie

powinni siedzieć cicho i oczekiwać możliwych ustępstw i reform, któreby nie były sprzeczne z interesami Rosyi. Rady te pochodziły głównie od siostry cesarza, księżny Olgi Wirtembergskiej, surowej córy surowego ojca, i od kanclerza, księcia A. M. Gorczakowa.

Orszak cesarza składali: generał-adjutant hrabia Adelberg I, minister dworu; jenerał-adjutant hrabia Adelberg II; książe Gorczaków, minister spraw zewnętrznych; jenerał-adjutant hrabia Lambert; generał-adjutant baron Lieven; pułkownik Czebyszew, adjutant skrzydłowy; dr. Enochin, przyboczny lekarz. Z gości zagranicznych przybyli: szwagier cesarza, następca tronu wirtembergskiego, książe Karol z żoną; panujący książę sasko-wejmarski; nadzwyczajny poseł i pełnomocny minister króla pruskiego, baron von Werther; poseł szwedzko-norwegski, generał Nordeen; adjutant cesarza Napoleona, generał Ney; austryacka deputacya: marszałek-porucznik książe Lichtenstein, dowódzca korpusu; pułkownik von Leukann i rotmistrz hrabia Hunyady; pruska deputacya: generał kawaleryi hrabia von Gröben, dowódzca korpusu gwardyi i generał-adjutant króla i pułkownik Leszczyński, szef sztabu tegoż korpusu[1]).

Przy przyjęciu nazajutrz, dnia 23 maja deputacyi, złożonej z senatorów, szlachty i duchowieństwa, cesarz spotkał ją przemową we francuskim języku:

„Przybyłem do was, niepomny przeszłości, pełen dla was najlepszych zamiarów, do spełnienia których dopomódz mi musicie. Ale przedewszystkiem czuję się w obowiązku jasno określić nasze wzajemne stanowisko.

Wyście równie blizcy sercu memu, jak Finlandczycy i inni rosyjscy moi poddani, żądam wszakże,

[1]) Gazeta urzędowa Królestwa Polsk. 1856 r., Nr. 112 i nast.

aby przez ojca mojego ustalony porządek w niczem nie został naruszony. Dlatego też panowie, zaniechajcie marzeń *(point de rêveries!)* potrafię bowiem poskromić wszelkie marzenia, i potrafię zarządzić, by one nie przeszły po za granicę wyobraźni samych marzycieli. Pomyślność Polski polega na zupełnem zjednoczeniu się z innymi narodami mojego państwa. Wszystko, co zrobił mój ojciec, dobrze zrobił, i ja to utrzymam.

W ostatniej wojnie wschodniej, synowie wasi bili się na równi z innymi. Przytomny tu książe Gorczaków, jako naoczny świadek, zupełną im sprawiedliwość oddaje, że i oni równie mężnie i ofiarnie krew swoją w obronie ojczyzny przelali. Finlandya i Polska, jak i inne krainy państwa mojego, są równie mi drogie, ale dla dobra samychże was, Polaków, wiedzcie, że Polska na zawsze musi być zespoloną z wielką rosyjską rodziną. Wierzcie mi, że pełen jestem dla was najlepszych chęci. Wam należy tylko dopomagać mi do rozwiązania tego zadania, i dlatego raz jeszcze powtarzam, zaniechajcie wszelkich marzeń. Co do was, panowie senatorowie, postępujcie ściśle wedle wskazówek, jakich udzielać wam będzie przytomny tu mój namiestnik, książę Gorczakow.

Wy zaś arcypasterze, nie spuszczajcie z uwagi, że podstawą wszelkiej moralności jest wiara. Waszym obowiązkiem wpajać nieprzerwanie w serca Polaków to przekonanie, że ich pomyślność zawisła jedynie od zespolenia się w jedno ciało z Rosyą"[1]).

---

[1]) Receuil des traités, conventions et actes diplomatiques concernant la Pologne 1862 — 1863, par le comte d'Angeberg (Leonard Chodźko). Paris et Leipzig 1862, str. 1117. *W skróceniu i z odmianami* w Annuaire des *Deux-Mondes, VI. 1885—1886, la Russie* str. 660 i 6,0, i w Journal de St. *Petersbourg* z dnia 23 stycznia 1874 r.

Znanem jest wrażenie, wywołane tą mową. Wszyscy Polacy i bardzo wielu Rosyan zaczęło powtarzać *point de rêveries!* Słowa te obleciały świat cały i powtarzano je wszędzie przez lat kilka. Warszawa wszakże nie długo się zastanawiała nad niemi, jakby były nie dość jasne i zrozumiałe i nie zmieniła wcale swego uroczystego i świątecznego nastroju. Tłumy ludu towarzyszyły wszędzie cesarzowi, darząc go pełnemi zapału okrzykami. Szlachta najspokojniej przygotowywała na dzień 26 maja bal w pałacu namiestnikowskim.

Za przybyciem cesarza, damy wyższego towarzystwa przeważnie młode i ładne, ustawiły się dwoma szeregami po obu stronach schodów i wchodzącego monarchę obsypywały kwiatami i girlandami. To usposobiło dobrze wysokiego gościa. Lecz za powrotem do Belwederu, jakby się przeląkł swej wesołości i swobody, i do przemowy, którą nazajutrz spotkał witającą go szlachtę, dodał wiele takiego, co jeszcze bardziej ponury cień rzuciło na mowę z dnia 23 maja.

Nazajutrz, więc dnia 27 maja, cesarz w ten sposób przemówił do zebranych u niego przedstawicieli szlachty:

„Bardzo mi miło, oświadczyć wam panowie, że dnie wśród was spędzone, istotną przyniosły mi przyjemność. Wczorajszy bal wypadł bardzo pięknie; pozostanie on w mej pamięci i dziękuję wam za takowy.

„Zapewne doszły was słowa, które przed pięciu dniami wypowiedziałem, przyjmując deputacyę waszą. Składając jedną z cesarstwem całość, trzymajcie się rzeczywistości i porzućcie wszelkie marzenia o niepodległości, gdyż te spełnić się nie mogą.

„Powtarzam wam panowie: przekonany jestem, że szczęście, że ocalenie nawet Polski polega na stałym i nierozerwalnym jej związku z pełną sławy dynastyą rosyjskich cesarzy tak, aby się stała

nieodłączną częścią wielkiej rodziny wszechrosyjskiego cesarstwa Pozostawiając Polsce prawa i instytucye nadane jej przez ojca mego, niezmiennie dbać będę o jej dobro i szczęście. Gotów jestem zapewnić jej to wszystko, co tylko rzeczywiście pożyteczne być może, co mój ojciec przyobiecał jej nadać, i to, co rzeczywiście nadał. W tym względzie żadnych odmian nie uczynię. Wszystko, co zdziałał mój ojciec, dobrze zdziałał. Moje panowanie będzie dalszym ciągiem jego rządów. Od was zależy uczynić mi łatwiejszem to zadanie. Powinniście mi dopomódz w tej pracy. Na was jedynie spadnie odpowiedzialność za wszelkie marzenia i przeszkody, któreby mi stanęły na drodze w urzeczywistnieniu mych przyrzeczeń.

„Aby wam dać dowód, że pragnę przynieść ulgę w losie nawet winnych, oznajmiam, że w tej chwili podpisałem amnestyę. Pozwalam wszystkim emigrantom, którzy tego żądają, powrócić do kraju. Mogą być pewni, że nikt ich spokojności nie naruszy i za przeszłość do odpowiedzialności nie pociągnie; odzyskają utracone cywilne prawa. Zrobiłem jeden tylko wyjątek, wyłączając z pod amnestyi ludzi, zakamieniałych w swych przestępstwach, i takich, którzy w ostatnich jeszcze latach nie przestali spiskować i przeciw nam walczyć.

„Ci, którzy wrócą, po trzechletniem spokojnem i nienagannem zachowaniu się, będą mogli stać się użytecznemi krajowi, wstępując do służby publicznej. Przedewszystkiem wszakże dołóżcie starań, by moje błogie względem was zamiary, mogły się urzeczywistnić, bym nie został zmuszonym do powściągania i karania; a gdyby to niestety stało się koniecznem, wierzajcie, że znajdę w sobie dość siły i woli, by być stanowczym. Pomnijcie więc, *abyście mnie nigdy* do tej ostateczności nie *przywiedli*".

Następnie widząc, że jeden z deputatów, Jan

hrabia Jezierski chciał coś przemówić [1]), przerwał mu, mówiąc dalej:

„Spodziewam się, żeście mnie zrozumieli. O wiele milej mi będzie nagradzać niż karać. Przyjemnie mi, jak to i obecnie czynię, oświadczyć wam moje zadowolenie, dawać wam nadzieję i wdzięczność waszą wzbudzać. Lecz wiedzcie i pamiętajcie o tem ciągle, że w danym razie potrafię stłumić i ukarać, a nawet srogo ukarać".

„Żegnam was panowie!" [2]).

Bardzo naturalnie, że po tej mowie niemiłe wrażenie jeszcze bardziej musiało się zwiększyć. Wszyscy zadawali sobie pytanie, po co ten ciągły nacisk na wyrzeczenie się wszelkich marzeń, gdy nikt o tych marzeniach nie wspomina? Na co to: „ja potrafię stłumić i ukarać"—gdy nic nie popełniono takiego, coby na najmniejszą naganę zasługiwało? Miasto tylko się cieszy i krzyczy wiwaty! [3])

---

[1]) Jezierski miał oddawna przygotowaną mowę i zamierzał wypowiedzieć ją przy przejeździe cesarza przez Mińsk (miasteczko pod Warszawą, należące do Jezierskich), lecz Gorczakow nie zgodził się na to. (*Pamiętniki hr. Skarbka*) str. 281 i 282). Lisicki, (tom II, str. 11) przytacza główne punkty memoryału, które Jezierski zamierzał podać cesarzowi. Należy dodać, że Jezierski w 1830 r towarzyszył księciu Lubeckiemu do Petersburga i od tego czasu zachował szczególniejsze względy cesarza Mikołaja. Starszy syn jego, służył w wojsku i umarł z ran, otrzymanych pod Sewastopolem.

[2]) Cenzura nie pozwoliła na ogłoszenie mów cesarza w żadnej polskiej, ani ruskiej gazecie, te dopiero w 1872 r. zostały wydane po raz pierwszy w *Ruskim Archiwie*. Cały świat przeczytał je we wszystkich organach zagranicznej prasy, a w Rosyi, gdzie je monarcha wypowiedział głośno i uroczyście, dopiero w piętnaście lat zezwolono na ich ogłoszenie. Ciekawy obrazek stosunków cenzuralnych

[3]) W *Gazecie Narodowej* z 1881 roku Nr. 67, str. 2, kol. 4, w artykule zatytułowanym „Zasługi Aleksandra II", powiedziano, że słowa: *point de rêveries, je sévirois et je saurais sévir*, zostały wypowiedziane na żądanie kanclerza Gorczakowa.

Lecz wśród ogólnego uroczystego nastroju i te niemiłe wrażenia na razie zostały przygłuszone. Warszawa imieniem całej ludności dawała cesarzowi bal w ratuszu.

Wskutek obecności na balu wszystkich stanów społeczeństwa, w dosyć ciasnych jeszcze podówczas lokalnościach ratusza, bal ten przybrał jeszcze bardziej przyjazny i serdeczny charakter. W ratuszu poprostu Polacy hulali ze swoim królem...

Opowiadają, że w czasie balu, siwy jak gołąb staruszek, zbliżył się do cesarza z kielichem szampana, czy węgierskiego i w zbytku uczucia przemówił: „kochajmy się cesarzu!" co miało znaczyć: „zapomnijmy, najjaśniejszy panie, wszystko przeszłe, co było między nami; po co nam kłótnie i spory, zbliżają się inne czasy, kochajmy się nawzajem!" i łzy, droższe nad wszelkie perły tej ziemi, popłynęły strumieniem z oczu starego.

Cesarz zapytał stojącego obok namiestnika, co to ma znaczyć? Gorczakow podług zwyczaju nie dosłyszał i nie dopatrzył dobrze, co zaszło i odpowiedział cesarzowi coś, ni to ni owo. Cesarz, zdawało się, że się zadowolił tem wyjaśnieniem, lecz odrazu stracił humor; jemu nie podobała się poufałość, z jaką zwrócił się do niego wcale nieznany człowiek, nawet może... nie z towarzystwa. Bal stracił dla niego cały urok i opuszczał go w zupełnie innem usposobieniu.

Po wyjeździe cesarza z Warszawy (dnia 28 maja), gdy wszyscy się uspokoili i miasto wróciło do normalnego, codziennego stanu, odżyły w głowach i zaczęły się w nich rozpierać różne zgryźliwe myśli i rozumowania, które dotychczas tłumiono w sobie.

Komentowano i rozbierano bez ogródek i bardzo surowo oba przemówienia cesarza. „A więc nie powinniśmy się spodziewać niczego; jak było, tak

ma i nadal pozostać! Wszystko co jego ojciec zrobił, dobrze zrobiono, i on to zachowa i utrzyma!"... Widocznie na innych drogach wypadnie szukać sprawiedliwości i ustępstw.

Po ogródkach i bawaryach jeszcze bardziej się wzmogły gawędy i wnioski, które tak przedtem przerażały spokojnych obywateli. Już nawet i po prowincyonalnych miastach zbierały się kółka, zawzięcie politykujące. Wszystkie te wszakże gawędy i nieporozumienia były tylko zaczynem kwasu, dopóki prawdziwego fermentu nie przynieśli, przybyli w połowie 1856 roku amnestyonowani sybiracy i tłumy emigrantów z zagranicy.

Żywioły te przyniosły z sobą do, wcale dotychczas spokojnego, Królestwa, zupełnie inne usposobienie [1]).

Naraz wszystko zaruszało się i przemawiać zaczęło inaczej Chaotyczne dotychczas kółka warszawskich i prowincyonalnych polityków, otrzymawszy doświadczonych przywódców i doradców, zaczęły się organizować w pewien ład i porządek. Na razie potworzyła się ich moc niezliczona; co ulica, to kółko. Grobla tamująca prysła i mętne strumienie popłynęły w różnych kierunkach, zanim się nie połączyły w dwa lub trzy potoki, szersze i widoczniejsze.

Najpierwej się zorganizowało kółko akademików, złożone z wszelkiej starszej szkolnej młodzieży: z uczniów szkół realnych i gimnazyów, szkoły sztuk pięknych, instytutu rolniczego w Marymoncie, do których się przyłączyli następnie studenci me-

---

[1]) Moller w *Situation de la Pologne*, str. 2(8 podaje, że po amnestyi 1856 r. wróciło do Polski i Litwy około 10,000 zesłańców i wychodźców N. A. Milutin potwierdził *autorowi* autentyczność tej cyfry, gdyż on tych dat Mollerowi dostarczył.

dyczno-chirurgicznej akademii, otwartej w październiku 1857 r. [2]).

Na wzór studentów Polaków na rosyjskich uniwersytetach, akademicy warszawscy zawiązali „towarzystwo bratniej pomocy" z własnym statutem, kasą i biblioteką. Do biblioteki sprowadzano głównie różne emigracyjne pisma polskie, ruskie i francuskie, zabronione przez cenzurę. Wszystko to dochodziło wówczas do Warszawy bez wielkich trudności. Pojęcia i wyznania tego kółka kształtowały się mniej więcej na zasadach wypowiedzianych w 1836 r. w manifeście towarzystwa demokratycznego, z różnemi późniejszemi dodatkami. Wogóle kółko to było jaskrawo-czerwone i wrzało nieubłaganym wstrętem do rządów rosyjskich, z którym odpychało jakiekolwiek, najmniejsze zbliżenie.

Za tem zjawiło się parę innych kółek z zawiązkami czerwonej, rewolucyjnej organizacyi. Wszystkie one utrzymywały stałe stosunki z akademikami i z nieco później zawiązanym w Petersburgu kółkiem oficerów Polaków, założonym w 1858 r. przez Jarosława Dąbrowskiego, kapitana generalnego sztabu pod niewinnym mianem „wieczorków literackich". Był to najpoważniejszy związek z pomiędzy wszystkich rewolucyjnych polskich kółek w Rosyi. Z początku do niego mieli dostęp sami tylko wojskowi, następnie wszakże zaczęto przyjmować i cywilnych. Policya nic nie wiedziała o tych zebraniach, które się odbywały w mieszkaniu Dąbrow-

---

[2]) Marymont (Marie-Mont), wzgórze na północ Warszawy, tuż pod miastem, na którem wznosił się letni pałacyk królowej Marysieńki, oddany w 1835 r. na pomieszczenie instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa. Instytut ten przeniesiono w 1861 r. do Puław Gimnazyum realne *i medyko - chirurgiczną* akademię zwinięto w 1862 r., przy *utworzeniu szkoły* głównej. Szkoła sztuk pięknych istnieje *do chwili obecnej*, zajmując oddzielny lokal w gmachu uni*wersyteckim.*

skiego, przy ulicy Oficerskiej. W owych niezwykłych czasach, była to w swoim rodzaju szczególna, dobroduszna policya, drzemiąca spokojnie i przyjemnie w promieniach krymskiego słońca, wszystkich jednako a tak mile ogrzewającego. Czego to wówczas nie mogli pozwolić sobie oficerowie, a szczególniej oficerowie gwardyi!

W tym samym domu przy Oficerskiej ulicy, obok Dąbrowskiego, mieszkali i inni oficerowie polscy, a mianowicie: Ferdynand Warawski, podporucznik ładożskiego pułku piechoty; Emanuel Jundził, podporucznik saperów; Heidenreich de Henig, podporucznik ukraińskiego pułku dragonów; Bazyli Narbut, porucznik artyleryi; Hieronim Staniewicz, porucznik saperów; Andrzej Cytowicz, porucznik kijowskiego pułku grenadyerów; wszyscy oni uczęszczali do wojennej akademii. Z cywilnych: Witalis Opocki, urzędnik w ministeryum dóbr państwa; Konstanty Dąbrowski i Stefan Chodorowicz.

Oprócz tych osób, stałych jakby mieszkańców, bywali na zebraniach oficerowie generalnego sztabu: Zygmunt Sierakowski, Tytus O'Byrn, Szalewicz, Jeziorański, Podbielski, Pogorzelski, Obiezierski, Rydzewski; Władysław Koczowski, porucznik konnej artyleryi gwardyi; Turr, podporucznik artyleryi; oficerowie akademii inżynierów: Mikołaj i Piotr Chojnowscy, Wrześniowski, Miniewski, Zaleski, Wyleżyński, Niłowski; Mikołaj Waśkowski, porucznik saperów; Kapliński, Maksymilian Czerniak, Zieliński; Jan Staniewicz, dymisyonowany kapitan generalnego sztabu; oficerowie z akademii artyleryjskiej: Wierzbicki i Laskowski; junkrowie akademii inżynierów: Downar, Baranowski i Zapolski; urzędnicy różnych dykasteryi: Wiktor Kalinowski, Bołtuć; studenci i uczniowie różnych wyższych zakładów naukowych: Teodor Opocki, Ignacy, Bojomir i Maryan Staniewiczowie, Adam Kruszewski; Bucki, Franciszek Dalewski, dwaj bracia Kiersnowscy, obywatele ziemscy, wreszcie Józefat Ohryzko.

Wszystkie te jednak gorące a niemądre kółka, małoby co potrafiły dokazać, gdyby nie znalazły jednocześnie oddźwięku w stronnictwie białych. Gdyby to ostatnie wytrwało do końca na zajętem stanowisku, przychylnem rządowi, gdyby namiestnik, gdy był czas po temu, umiał w niem sobie wpływ pozyskać, wszystkie inne roboty nie wieleby skutku odniosły. Czerwoni, schodziliby się na hałaśliwe narady, urządzili parę dziecinnych manifestacyi i na temby się wszystko skończyło. Lecz na nieszczęście, naraz się odwróciła od rządu znaczna liczba białych, ludzi wpływowych i bogatych; stanęli na uboczu, bez żadnych dalszych zamiarów, jedynie pod wpływem chwilowego rozdrażnienia i niezadowolenia, które zapanowało w całym kraju, po wyjeździe cesarza, i bardzo być może, że w znacznej części było także wynikiem czyichś tajemnych i systematycznych podburzań.

Biali na razie nie stawiali przed sobą żadnego celu, a co najmniej myśleli o jakiemś powstaniu lub rewolucyi. Broń Boże!... ale był to już obóz przeciwrządowy, z którego, dzięki sprzyjającym okolicznościom, mogło się wytworzyć to, o czem się jeszcze wówczas nikomu, ani białym, ani czerwonym, nawet we śnie nie zamarzyło. Każdy przezorny i rozumny rządca powinien był nadzwyczaj pilnie i uważnie śledzić te objawy i natychmiast wykryć istnienie ich w społeczeństwie, lecz Gorczakow i większość otaczających go dygnitarzy nic nie spostrzegli i niczego nie widzieli. Oni głównie zajęci byli przypominaniem sobie drobnych szczegółów z pobytu cesarza w Warszawie, to był główny temat ich myśli, ich dziennych i wieczornych rozmów. Oni się ani nie domyślali, że wskutek napływu amnestyonowanych z Syberyi i z zagranicy, stosunki w kraju niepomyślnie się zmieniły, że zaczynały się zbierać chmury, któreby należało w pierwszym zawiązku rozproszyć. Taka praca, umiejętne obserwowanie wszelkich objawów życia społecznego

i zręczna walka z nieprzyjaznemi prądami, to rzecz niezwykła i mało dostępna dla władz rosyjskich, nie nadają się one do tego, szczególniej zaś nie nadawał się do niej zgrzybiały, były naczelny wódz armii krymskiej.

Jednocześnie z emigrantami i sybirakami otrzymało możność pobytu w Warszawie wiele takich osobistości, które z mocy szczególnych zarządzeń władz administracyjnych były dotychczas internowane w ściśle oznaczonych miejscowościach Królestwa i krajów zabranych.

Jednym z najznakomitszych wygnańców tej kategoryi był Andrzej hrabia Zamoyski.

Od lat trzystu nazwisko Zamoyskich głośne w Polsce. Historyczny protoplasta tej rodziny, Floryan Szary, albo Saryusz, w XIV wieku za Władysława Łokietka ciężko ranny w pewnej bitwie z Krzyżakami [1]) został obdarzony przez króla szczególniejszemi łaskami. Podanie zachowało ówczesną odpowiedź Floryana, przyjętą później jako dewizę rodowego herbu Zamoyskich. „Jam nie z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli" [2]).

Za Stefana Batorego, potomek Saryusza, Jan Zamoyski, zostaje kanclerzem i hetmanem wielkim koronnym (1576 do 1605 r.). Ożeniony z siostrzenicą króla, Gryzeldą Batorówną, za ogromny posag żony kupuje olbrzymie dobra około Zamościa, silnie przezeń ufortyfikowanego.

Podczas panowania Zygmunta III, fortuna ta jeszcze się bardziej zwiększyła, i w 1589 r. utwo-

---

[1]) Pod Płowcami

[2]) *Pomieszane* widocznie z odezwaniem się Stefana *Czarnieckiego.*

rzono z niej majorat zwany: „Ordynacyą Zamoyskich" [1]).

---

[1]) Najstarsze polskie ordynacye są następujące: Tarnowskich z 1470 r.; Lubrańskich z 1520 r.; Zamoyskich na Zamościu i Szczebrzeszynie z 1589 r.; Radziwiłłów na Nieświeżu i Ołyce z tegoż roku; Myszkowskich na Pińczowie z 1601 r.; książąt Ostrogskich z 1609 r.; Sułkowskich na Rydzynie z 1775 r. i Krasińskich na Opinogórze z 1844 roku. Obecnie w Królestwie istnieją tylko trzy polskie ordynacye: Zamoyskich, Myszkowskich-Wielopolskich i Krasińskich.

Słowo *Ordinatio* znaczy rozrządzenie, i od tego słowa rozpoczyna się testament Jana Zamoyskiego: *Ordinatio bonorum heriditariorum Domui Zamościanae, comitiis Generalibus Regni, binisque Constitutionibus, ab universis ordinibus concessa et approbata, per Illustrissimum et Excellentissimum D. Joannem in Zamoście Zamoyski, supremum Regni Cancellarium et exercituum Generalem, Ducem etc coram actis tribunalitis Regni facta, in perpetuum serviens.*

Rosyjskich majoratów w Królestwie jest 265; pierwsza partya 131 rozdana w 1836 r., z dóbr rządowych i skonfiskowanych po 1831 r.; druga partya 73, rozdana w 1866 r. z dóbr rządowych i skonfiskowanych w 1831 i 1863 r.; trzecia partya 61 rozdana w latach 1869 i 1870 z dóbr rządowych Królestwa Nadto w czasie od 1835 do 1879 r. rozdano 13 rządowych dóbr, na prawach nieograniczonej własności, następującym osobom: 1) Synowi feldmarszałka Paskiewicza; 2) generałowi Kierbedziowi; 3) synowi zabitego w 1830 r. generała brygady Siemiątkowskiego; 4) synowi zabitego w 1830 r. generała wojsk polskich, generał-majorowi świty j. c. mości, Jankowskiemu; 5) wdowie po generał-adjutancie, baronie Korfie 3-cim; 6) podpułkownikowi Stachowiczowi; 7) generał majorowi Fiedorowi Tuchołce; 8) generał-porucznikowi Witkowskiemu; 10) spadkobiercom rzeczywistego radcy stanu Schmidta; 11) ministrowi finansów Greigh'owi (las w gubernii piotrkowskiej, oszacowany na 4,500 rubli rocznego dochodu, sprzedany zaś hrabiemu Hänkel von Donnersmark za 960 000 rubli); 12) pomocnikowi tegoż ministra T. R. Szamszynowi las w gubernii siedleckiej (oszacowany na 3,000 rubli rocznego dochodu, sprzedany Hordliczce za 375,000 rubli); i 13) hrabiemu P. E. Kotzebu'emu, las w gubernii łomżyńskiej, oszacowany na 4,500 rubli rocznego dochodu, z którego w 1880 roku hrabia Kotzebue sprzedał 10,000 sztuk sosien po 9 rubli 25 kopiejek za sztukę.

Do tej ogromnej ordynacyi początkowo należały prawie całe dzisiejsze powiaty: zamościki i hrubieszowski, na przestrzeni 70 mil kwadratowych, 400 wsi i miasteczek.

Z potomków Jana Zamoyskiego najbardziej byli wybitni: syn jego, Tomasz, także wielki kanclerz koronny 1594—1638 i Andrzej Zamoyski, wielki kanclerz koronny 1716—1792 r. Syn ostatniego, Stanisław hr. Zamoyski, (tytuł hrabiów rzymskiego cesarstwa otrzymali Zamoyscy w 1780 roku), ożeniony z księżniczką Zofią Czartoryską, do 1830 r. prezes senatu Królestwa Polskiego, pozostawił siedmiu synów: Konstantego, Władysława, Zdzisława, Andrzeja, Jana, Augusta i Stanisława, którzy początkowo wychowywali się w Krakowie przy matce, wśród polityczno-literackiego otoczenia spółczesnej epoki, następnie poumieszczani zostali po najlepszych zagranicznych pensyonatach.

Hrabia Andrzej, urodzony w 1800 r. w Wiedniu, czas jakiś zostawał w paryskim pensyonacie Murenne'a, następnie w Genewie, ukończył zaś nauki na uniwersytecie w Edynburgu. Po odbyciu trzechletniej podróży naukowej, w 1824 r. ożenił się z Różą Potocką. W 1825 roku przybył do Warszawy i wstąpił do służby publicznej w komisyi spraw wewnętrznych, gdzie wkrótce otrzymał stopień referendarza i został zamianowany szambelanem dworu. Od 1828 do 1830 roku prowadził w komisyi dział spraw przemysłowych.

Rewolucya 1830 r. przerwała spokojną działalność hrabiego Andrzeja. Starszy jego brat, ordynat Konstanty, wystawił własnym swym kosztem całkowity pułk piechoty, przy którym się zaciągnął na prostego żołnierza. Andrzej został adjutantem dyktatora Chłopickiego i brał udział w bitwie pod Grochowem [1]).

---

[1]) Spasowicz powiada, że za rządu tymczasowego *hrabia* Andrzej przez jakiś czas pełnił obowiązki ministra *spraw* wewnętrznych. *Wiestnik* Europy, listopad 1880 r.

Wkrótce po tej bitwie rząd rewolucyjny wysłał hr. Andrzeja do Wiednia dla zbadania usposobienia gabinetu austryackiego, a zarazem proszenia o uznanie polskiego narodowego powstania, za stronę wojującą. Do Krakowa dostał się za paszportem guwernera Francuza, ztamtąd pojechał do Bobrku, majątku hrabiego Potulickiego, gdzie go wszyscy poczytywali za Francuza.

Wtajemniczony gospodarz ułatwił mu spotkanie się z hrabią Laryszem z Osieka i ten zobowiązał się uwiadomić księcia Metternicha o misyi hrabiego Andrzeja i otrzymał dlań paszport. Przy pierwszem zaraz widzeniu się z hrabią Zamoyskim w Wiedniu, kanclerz oświadczył, że gotów jest pośredniczyć między rządem narodowym a carem, lecz doradzał, aby działania ograniczono do samej Kongresówki i przyjęto warunki, które car za wstawieniem się Austryi podyktuje. Poczem książę Metternich zaprosił hrabiego na obiad i sprowadził go razem z posłem rosyjskim, hrabią Tatiszczewem. Tatiszczewowi Zamoyski wydał się podejrzanym, więc postarał się z nim zbliżyć i zaprosił do siebie. Po paru wizytach Zamoyski zaczął spotykać tam jakąś bardzo piękną Polkę. Dla zabicia czasu, nic nie podejrzewając, zawiązał z nią romansik i nie spostrzegłszy się, jak i kiedy, rozpowiedział jej, z czem do Wiednia przyjechał i po co tu bawi. Piękna Polka była poprostu szpiegiem w usługach rosyjskiego poselstwa.

Autorowi opowiadał to hrabia Berg, który miał czytać raporta Tatiszczewa do ministra spraw zagranicznych. Książę Metternich, który także o wszystkiem się dowiedział od Tatiszczewa, ochłódł odtąd dla hrabiego Zamoyskiego i dalsze ich spotkania nie miały żadnej doniosłości. Kanclerz szeroko się rozwodził o austryackich sympatyach dla Polski, o strasznym błędzie, popełnionym 1772 r., i na tem się wszystko kończyło. Hrabia Andrzej dowodził z młodzieńczym zapałem, że jeśli Austrya

obecnie tego błędu nie naprawi, to go pierwsza odpokutuje. Metternich tylko się uśmiechał, w końcu zaś oświadczył, że stan spraw politycznych w Europie zmusza go do ścisłego przestrzegania traktatów z 1815 r., gdyż na nich się opiera cała jego polityka[1]).

Z tem hrabia Andrzej powrócił do Warszawy, lecz w krótkim czasie został ponownie wysłany do Wiednia. Druga ta podróż odbyła się w znacznie trudniejszych warunkach; w Galicyi ostro śledzono za wszystkimi przyjeżdżającymi; znajomi odmówili hrabiemu pomocy i on przebywszy Wisłę wbród pod Szczucinem, przenocował u przemytnika i potem nocami przez Jasielskie dostał się na Węgry, za cudzym paszportem; ztamtąd już łatwiej przedostał się do Wiednia.

Książę Metternich wnet się dowiedział o powtórnem przybyciu Zamoyskiego, a chcąc się z nim spotkać, kazał mu przygotować mieszkanie na jakiejś ubocznej i oddalonej ulicy i kazał się mu tam przenieść i oczekiwać, jak najmniej się pokazując, póki go nie zawezwie [2]). Nie było rady, hrabia Zamoyski przeniósł się na czwarte piętro i dosyć dłu-

---

[1]) Znany pisarz niemiecki profesor historyi na wszechnicy w Zurychu, Joannes Scheer, wykładając dzieje XIX wieku, twierdził, że hrabia Andrzej Zamoyski, w czasie tej swojej bytności w Wiedniu, otrzymał tajne posłuchanie u cesarza Franciszka I, na którem imieniem rządu narodowego prosił go o udzielenie czynnej pomocy walczącej Polsce i o przeznaczenie którego z arcyksiążąt na przyszłego króla. Cesarz miał tę propozycyę przyjąć wcale przychylnie, a nawet wskazał, że młodszy syn jego, arcyksiążę Franciszek Karol, ojciec obecnego cesarza Franciszka Józefa, mógłby być tym wybranym. Na to hrabia Zamoyski miał jakoby odpowiedzieć, że dla Polaków potrzeba kogoś, koniecznie opromienionego sławą wojenną, naprzykład arcyksięcia Karola, co miało zrazić cesarza, który wysłańca pożegnał sucho i więcej już go nie wzywał do siebie. Profesor Scheer kładł nacisk na tę polityczną niezręczność hr Andrzeja. Było to w 1865 r. (*Przypisek tłómacza*).

[2]) *Z opowiadania hrabiny Michałowej Potockiej, matki hrabiego* Tomasza, której sam hrabia Andrzej miał to *opowiadać*

go tam przemieszkał. Książę Metternich przywołał go, gdy w Wiedniu wiedziano już o otoczeniu Warszawy przez wojska rosyjskie pod wodzą Paskiewicza i wiedziano, że rozwiązanie tragedyi lada chwila nastąpi. Kanclerz przyjął hrabiego nader uprzejmie i oświadczył, że gotów pośredniczyć w kapitulacyi, która jest nieuniknioną. Żadnej innej pomocy Polakom pod rosyjskim zaborem okazać nie może, radził więc, by Zamoyski bezzwłocznie wracał do Warszawy. Hrabia Andrzej usłuchał i z dodanym mu urzędnikiem austryackim, zaopatrzonym w list otwarty, wizowany w rosyjskiem poselstwie, pośpieszył do Warszawy. Jadąc wszakże przez Prusy, przybył do Warszawy już po opuszczeniu tejże przez rząd narodowy. Nazajutrz po zajęciu Warszawy przez wojska rosyjskie, hrabia Zamoyski stanął przed Paskiewiczem.

— Co pan tu robisz?—zapytał bardzo groźnie Paskiewicz, uwiadomiony przez Tatiszczewa o jego wiedeńskich wyprawach.

— Przyjechałem z Wiednia, z listem księcia Metternicha, jako wysłaniec rządu narodowego — odpowiedział zapytany.

— Wysłaniec rządu narodowego! — krzyknął Paskiewicz—a gdzież ten rząd? Ja cię, mój panie, każę rozstrzelać, to się wtedy dowiesz, jaki tam u mnie rząd narodowy!

Była to wszakże tylko czcza pogróżka, wyrzeczona na wiatr, bez dalszych następstw. Paskiewicz już kombinował na czem i na kim będą się musiały z konieczności oprzeć przyszłe jego rządy w Polsce, daleki więc od zrażania arystokracyi, nakazał hrabiemu natychmiast wyjechać do siebie na wieś i tam oczekiwać dalszych rozporządzeń.

Hrabia Zamoyski zamieszkał w Klemensowie. Urządził tam wzorowo dwa folwarki i żył, można powiedzieć, jak mały królik, wśród wygodnego i zbytkownego urządzenia, przez cały czas panowania cesarza Mikołaja.

Do Klemensowa zjeżdżali się sąsiedzi i goście z drugich gubernij Królestwa i zabranych prowincyj, obejrzeć wzorowe gospodarstwo, pomówić o różnych sprawach z wykształconym, szanownym przedstawicielem rodu Zamoyskich, który tyle wiedział i widział, od którego tyle nauczyć się i skorzystać można było. Przytem można było i zapolować i zabawić się w uprzejmem i wykwintnem towarzystwie.

Od czasu tych zjazdów klemensowskich datuje się popularność hrabiego Andrzeja. Pierwsze zjazdy rozpoczęły się jakoś wkrótce po 1840 r. kiedy Królestwo i Galicya w zupełnym śnie pogrążone były [1]). Imię jego nabierało rozgłosu, jako pożytecznego i pod wszelkiemi względami odznaczającego się człowieka, obywatela i patryoty.

Ku końcowi piątego dziesięciolecia, zjazdy te przybrały wcale szerokie rozmiary. Bywało po dwieście osób różnych stanów, odznaczających się jedynie wychowaniem i wiedzą. Można powiedzieć, że zbierał się tam wybór inteligencyi całego kraju [2]).

W tym także czasie odbywały się zjazdy obywatelstwa w Piotrowicach, u kasztelana Kajetana Koźmiana.

Ponieważ pod względem politycznym zachowanie się Zamoyskiego było bez zarzutu, Paskiewicz tolerował te szlacheckie zebrania [3]). Odbywały się one spokojnie, jakby za sankcyą groźnego feldmarszałka. Wszakże Lisicki powiada, że około 1850 r. zostały zabronione (I, str. 50—51).

W przestankach, między różnemi rozrywkami,

---

[1]) *Czas* z 1879 r. Nr. 223, str. 1, kolumna 3.

[2]) *Czas* z 1874 r. Nr. 250 — 252; *Gazeta Narodowa* Nr. 249; *Encyklopedya Powszechna* Orgelbranda, t. XXVIII, str. 256—278.

[3]) Autor piszący o Zamoyskim w *Czasie* z 1879 r. przypisuje wpływowi zjazdów klemensowskich, że katastrofa galicyjska 1846—1848 r. tak nieznacznie oddziałała na Kongresówkę.

w słotę, gdy wiatr ponuro szumiał po starych drzewach klemensowskiego parku, wykształcone i świetne towarzystwo, goszczące u hrabiego Andrzeja, zbierało się u płonących ogni na staroświeckich kominach, na rozmowy o stanie gospodarstwa krajowego, które miejscami było bardzo zaniedbane, gdyż opieszała i niedbała szlachta raczej myślała o hulankach, włóczeniu się po jarmarkach lub bezmyślnych podróżach za granicę (do czego nawet, szczególniej po 1846 r., sam rząd niejako zachęcał), niż o poważnej pracy na zagonie ojczystym. Zastanawiano się więc naturalnie nad sposobami, jakby temu zapobiedz, opamiętać szalonych, podnieść ich moralnie, zwrócić hulaszczych próżniaków ku pożytecznej pracy, a przez to stopniowo podnosić w kraju rolnictwo i przemysł, choć w części zrównać je z zagranicznem i powoli zamienić całe Królestwo na ogromny folwark klemensowski. Chociaż i bez tego, pod względem rolniczym, Polska stała bez porównania wyżej od Rosyi.

W ostatecznym wyniku, przed oczami wszystkich patryotów, zbierających się u Zamoyskich, przyświecała jak jasne marzenie: oczyszczona z grzechów, moralnie potężna, jednomyślna, bogata, rozumna i oświecona Polska, posiadająca, zamiast ciemnego bydła lud roztropny, pracowity i zdolny do coraz większego postępu ..

Takem silny, takem dumny
Siostro moja! Mnie się zdaje,
Że w tej chwili, ze snu trumny
Nasza Święta zmartwychwstaje!

Klemensowcy przyszli bardzo prędko do przekonania, że najłatwiej dałoby się społeczeństwo poprowadzić w danym kierunku i niejako wychować zapomocą towarzystwa rolniczego; ono jedynie mogło *być tą szkołą* zbawienną dla rolników, a przez *nich dla całego* społeczeństwa—w warunkach, w ja*kich się znajdowała* podówczas Polska.

Lecz za Paskiewicza samo słowo „towarzystwo” miało tak dziwne, straszne i nietolerowane brzmienie, że tylko bardzo cicho, ostrożnie i prawie tajemniczo wymawiano je, nawet w ustronnych kniejach lasów klemensowskich.

Powiedziano jednak, i to przed wiekami, że myśl, zrodzona chociażby nie na czasie. nie mająca żadnych warunków natychmiastowego urzeczywistnienia, już jest krokiem naprzód. Takim krokiem stała się i myśl, zrodzona w Klemensowie o zawiązaniu towarzystwa rolniczego. Poruszając od czasu do czasu myśl tę, żywo ich wszystkich zajmującą goście pana Andrzeja ani spostrzegli, jak doszli do zgodnego rozstrzygnięcia wielu trudnych kwestyi w stosunkach rolniczych swej ojczyzny, i jak prawie wykończyli w projektach gmach, o którym marzyli. Sprawa przyszłego, patryotyczno-rolniczego towawarzystwa, skrystalizowała się w umysłach prędzej, niż się można było spodziewać. Przyszli jego członkowie, w początkach prawie sobie nieznani, po kilku peryodycznych zetknięciach się w tem samem miejscu, w jednakich warunkach, pod wpływem wysoce wykształconego, rozumnego i gościnnego gospodarza, pana z panów. a mimo to tak łatwego w obejściu, powoli zbliżyli się nawzajem, stali się ludźmi jednej wiary, jednych przekonań, usposobień i pojęć; utworzyli nieznacznie ścisłe i, można powiedzieć, polityczne kółko; ściste, chociaż bez zapowiedzianego programu, mające już swego przedstawiciela i wodza, którego wcale nie wybierano, lecz który sam się niejako narzucił, zupełnie naturalnie, a lepiej, niż wszelki wybrany prezes, odpowiadał upodobaniom i duchowi wszystkich członków koła. Kółko to, oryginalnie i wypadkowo wytworzone, również wypadkiem w 1842 r. przyszło do swego organu. Tym organem niewidzialnego i nieistniejącego prawie towarzystwa rolniczego, stały się „*Roczniki* gospodarstwa krajowego”, redagowa-

ne przez pewnego pana I. Koniewicza [1]) W tym też czasie pan Andrzej uzyskał pozwolenie pobytu w Warszawie, i około 1850 r., w zbiegu Krakowskiego Przedmieścia z Nowym Światem, wybudował piękny pałac, w którym zwykle zimy przepędzał.

Naturalnie, że w Warszawie towarzystwo klemensowskie jeszcze łatwiej mogło się skupić koło hrabiego, który odrazu zajął bardzo wybitne stanowisko w towarzystwie warszawskiem, raz jako człowiek, który służył sprawie i cierpiał za nią, a powtóre jako osobistość, sama przez się nadzwyczaj sympatyczna. W jednej chwili stał się on ulubieńcem wszystkich. Polacy, Rosyanie i Żydzi; wyższe sfery i niższe; umiarkowani i niczem się nie zadawalniający korsykanie, trybunowie różnych zaułkowych kawiarń i bawaryi — wszyscy go jednako poważali i lubili. Hrabia Andrzej, bez ubiegania się o to, stanął jako rozjemca wśród żywiołów, na oko nieprzejednanych. Najbardziej uparci i zapaleni uspokajali się i ustępowali, gdy tylko odwołano się na ulubionego pana Andrzeja, gdy tylko on zwrócił ku nim swe łagodne, spokojne i głębokie spojrzenie.

W owej porze hrabia nie był już młody; dobiegał sześćdziesiątki; wyglądał wszakże na swój wiek doskonale, chodził prosto i elastycznie jak młodzieniec; idąc po schodach, brał zawsze po dwa stopnie naraz; jego piękna, szlachetna postać, miała w sobie coś niewymownie pociągającego. Z jakiejbądź strony oglądany z blizka czy z daleka, dokładnie czy tylko powierzchownie — w najmniejszym swym ruchu, w każdem, chociażby niedbale i bez namysłu wypowiedzianem słowie, przedstawiał on zawsze typ wykwintnego, dobrze wychowanego, najczystszej krwi arystokraty. W Warszawie, a wkrótce i w całym kraju nie nazywano go inaczej jak tylko: „pan An-

---

[1]) *Hrabia* Andrzej dużo pisywał do tych roczników.

drzej," nazwisko rzadko kiedy dodawano jakby w całej Polsce jeden był tylko dany od Boga hr. Andrzej. Rosyanie nazywali go „Andruchą" czem chcieli wyrazić dobroduszność jego, połączoną z prostotą.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie na wszystkich, a szczególniej na samym namiestniku, sprawiło zjawienie się na zamku wykwintnego hrabiego, z jego pańskiem, swobodnem obejściem i jego klasyczną francuzczyzną. Paskiewicz, plebejusz z rodu, z politycznego wyrachowania schlebiał polskiej arystokracyi, naśladując w tem zresztą i Petersburg, lecz jednocześnie pozostawał wobec nich niezmiennie tą wyższą osobistością, okrytym laurami bohaterem licznych wypraw wojennych, namiestnikiem i przyjacielem cara, jakimś małym carem Mikołajem.

Lecz Gorczakow, sam arystokrata, czuł jakiś szczególniejszy pociąg do arystokracyi wogóle, bez względu na kraj i narodowość. Nie darmo od dzieciństwa nasłuchał się od rodziców, od wszystkich cioć i wujaszków, dziadziów i babuń, że arystokraci to inni ludzie, białej kości i krwi błękitnej, urobieni z lepszego, szlachetniejszego materyału; że plebs... to prawie nie ludzie, coś pośredniego między prawdziwym człowiekiem a szympansem.

Gorczakow „padał do nóg" wszystkiemu, co nosiło na sobie arystokratyczne piętno w Polsce. On i jego żona przyjmowali u siebie polską arystokracyę tak, jak ona nigdy przedtem nie była przyjmowaną na zamku. Ileż to ubliżeń znieść przytem musieli Rosyanie!.. Tylko Rosyan w ten sposób można traktować i obrażać.

Hrabiostwo Andrzejowie Zamoyscy wprędce w *domu księstwa* znaczyli więcej niż sami gospodar*stwo*. *Raz* (a może i nieraz) zdarzyło się, że w cza-

sie wizyty u namiestnikowej pani Łazarewoj-Staniczewoj, której mąż zajmował wysokie dosyć urzędowe stanowisko, i także należał do rosyjskiej arystokracyi, weszła do salonu hrabina Andrzejowa, Księżna Gorczakow do tego stopnia się zapomniała, że nie zważając na wszelkie względy przyzwoitości, powiedziała do siedzącej pani Łazarew: *veuillez bien Madame, céder votre place à madame la comtesse!* Dama była przytomna, niezmieszana, więc, wstając, odrzekła: *Je puis Madame, si vous le désirez, vous céder même le salon!* i z temi słowy opuściła pokoje. Radca tajny Czestilin, ówczesny dyrektor kancelaryi namiestnika, był świadkiem tej sceny i opowiadał to autorowi.

Stronnictwo klemensowskie, do którego należało dużo ludzi bogatych i arystokratycznego pochodzenia, widywanych bardzo mile na zamku, poczuło swe siły i to, że się czasy zmieniły; że tak leżąca im na sercach sprawa Towarzystwa rolniczego może być poruszoną, że przynajmniej spróbować nie zawadzi. Lecz do jakiego stopnia nie byli jeszcze pewni położenia, dowodzi to, że postanowili, by hr. Andrzej w odpowiedniej chwili, sposobem próby, wspomniał Gorczakowowi o potrzebie zawiązania jakiegokolwiek towarzystwa, chociażby naprzykład Towarzystwa żeglugi parowej na Wiśle, na które już przed dziesięciu laty, w 1846 roku, Francuz Guibert uzyskał był koncesyę z pozwoleniem budowania parostatków i zaprowadzenia stałej żeglugi nietylko na Wiśle, lecz i na innych spławnych rzekach Królestwa. Chodziło więc teraz tylko o wznowienie koncesyi, w swoim czasie nie wprowadzonej w życie, jedynie wskutek wybuchłych zaburzeń. Zresztą we wrześniu 1846 roku zjawiły się parostatki Guiberta na Wiśle, lecz bardzo prędko kursować przestały. Jeśli to pierwsze towarzystwo zatwierdzenie uzyska, można będzie rozpocząć starania o uzyskanie zezwolenia na zawiązanie Towarzystwa rolniczego.

Gorczakow nie powiedział żadnego — ale — gdy hrabia Andrzej wszczął rozmowę o wznowieniu koncesyi Guiberta. Zażądał tylko by hrabia rozmówił się z głównym dyrektorem komisyi spraw wewnętrznych Muchanowym, bez którego podówczas namiestnik nie decydował żadnej ważniejszej sprawy. Hrabia Zamoyski zawczasu wiedział, że bez Muchanowa rzecz się nie załatwi, i zanim zaczął mówić z księciem, miał już przyrzeczenie Muchanowa

Paweł Aleksandrowicz Muchanow, urodzony w 1798 roku, po ukończeniu nauk w moskiewskim uniwersytecie, wstąpił do wojska, do kwatermistrzowstwa, co odpowiada teraźniejszemu generalnemu sztabowi. W 1816 roku awansował na oficera i odrazu został adjutantem przy hrabim Tołstoju, dowódzcy piątego korpusu armii. W 1829 roku, w czasie wojny tureckiej był w sztabie marszałka Dybicza, i brał czynny udział w kilku wycieczkach pod Silistryą, następnie w różnych spotkaniach przy osaczeniu Szumli, oraz w bitwie pod Kulewczą. Następnie razem z Dybiczem przeszedł do armii, działającej w Polsce, i za odznaczenie się w bitwie pod Ostrołęką otrzymał stopień pułkownika, z naznaczeniem na urzędnika do szczególnych poruczeń przy naczelnym wodzu. Od 1832 do 1834 roku widzimy go prezesem komisyi kwaterunkowej w Warszawie, z której dla nieznanych nam przyczyn, ustąpił i powrócił do Rosyi. Przez następne dwa lata bawił się w Moskwie literaturą, jako członek Wolnoekonomicznego towarzystwa i Moskiewskiego towarzystwa badaczów przyrody. Należał także do Towarzystwa rolniczego i historyczno-literacko-archeologicznego.

Gdy w królestwie urządzano Okręg naukowy warszawski, na wzór istniejących w cesarstwie, Muchanow, słynący zawsze z dzielnego pióra i rozległej wiedzy, przy pomocy niezbędnej protekcyi, został pomocnikiem kuratora, generała Okuniewa. Tak kurator, jak i Paskiewicz nie lubili Muchanowa,

a gdy Okuniew w 1850 roku, dla zdrowia musiał wyjechać na Maderę, Paskiewicz długo się wahał i bardzo niechętnie zezwolił, aby Muchanow zastępczo pełnił tegoż obowiązki. Złe języki mówią, że Muchanow rozmaitemi sposobami starał się o pozyskanie łask feldmarszałka, raz nawet za pośrednictwem jakiejś pięknej praczki, lecz wszystko to nie odniosło pożądanego skutku, i Paskiewicz do końca życia był dlań, jeśli nie niełaskaw, to zupełnie obojętny.

Za Gorczakowa rzeczy zupełnie inną przybrały postać. Przewidując, że prędzej czy później książę Gorczakow zostanie następcą feldmarszałka, Muchanow zawczasu, gdy ten był jeszcze jenerał-gubernatorem, starał się pozyskać jego względy. Zaś w 1853 roku, gdy tenże wyjechał do czynnej armii, ów zajął się zarządem jego majątków i przez czas swej administracyi znacznie je uporządkował.

Usługa osobista jakoś zawsze lepiej się wraża w pamięć, niż wszelkie inne, nawet i u tak roztargnionych ludzi jak Gorczakow. W karyerze urzędowej nie ten wygrywa, kto służy, lecz ten, który się zasługuje. Uwaga to jeszcze Grybojedowa — niestety i dzisiaj zupełnie na czasie. Zostawszy namiestnikiem w Warszawie, książę nie wiedział, jak dostatecznie wywdzięczyć się swemu „rządcy", i niespełna w miesiąc po swojem przybyciu, dnia 8 maja 1856 roku zrobił go głównym dyrektorem w komisyi spraw wewnętrznych, na miejsce Wikińskiego. Z tym obowiązkiem połączył jeszcze zarząd warszawskiego okręgu naukowego oraz spraw duchownych. Odtąd Muchanow zupełnie opanował słabego Gorczakowa i stał się drugim *alter ego*.

Zważając na wykształcenie, rozum i obszerną wiedzę, Muchanow najniezawodniej może być uważanym za najlepszego ministra spraw wewnętrznych i najlepszego kuratora, jacy byli z ramienia rządu od roku 1830. Z początku pilnie przestrzegał rosyjskiego wpływu i rosyjskich interesów, lecz jako

człowiek w najwyższym stopniu niesympatyczny i nawet z powierzchowności niemiły, nigdy nie potrafił skupić koło siebie poważniejszego stronnictwa i zawsze stał odosobniony. Dlatego wszelkie jego usiłowania, dążące do wytworzenia jakiejś podstawy dla rosyjskich interesów w tym kraju, po większej części nie osiągały zamierzonego skutku.

Ku końcowi szóstego dziesiątka lat i Muchanow poddał się ogólnemu nastrojowi rządowemu, panującemu w Rosyi. Zachowywał się na równi z innymi dygnitarzami, otaczającymi namiestnika; albo mu we wszystkiem potakiwał, albo też milczał; czyli stał się drugim Gorczakowem: chwiejnym, ustępującym, bez charakteru i zdania, a nawet często jakby onieśmielonym, chociaż naprawdę, wstydzić się nie było czego.

Osoby bliżej znające Muchanowa tak się o nim wyrażały:

Senator Kruzenstern. Był to genialny intrygant, fałszywy i lichy człowiek, oglądający się na dwie strony i szukający miru u rządu i u Polaków.

Radca tajny Kazaczkowskij. Był to najnieprzyjemniejszy i najmniej sympatyczny człowiek, jakiego w życiu swojem znałem.

Fryderyk hr. Skarbek tak go opisuje: Człowiek atletycznej postąwy, z wzrokiem, w którym się malowały duma, surowość i fałsz. Posiadał światową ogładę, lecz z niższymi od siebie zachowywał się pogardliwie i grubijańsko. Powierzchowność już jego malowała wewnętrzną złość i porywczość, a ta ostatnia dochodziła do tego stopnia, że raz uderzeniem laski zabił stróża, który mu nie dość prędko w nocy bramę otworzył. Popędliwość tę starannie ukrywał, umiał nawet przypochlebiać się tym, których zamierzał zadrasnąć lub ukąsić. Chciwym na pieniądze nie był, lecz tem rządniejszy władzy i znaczenia. — (Pamiętniki str. 291).

Jan Papłoński, były profesor Szkoły Głównej *i cenzor,* zapewniał autora, że Muchanow, jako ku-

rator, ścieśniał oświatę, nie chcąc, by ona w Polsce wyżej stała niż w Rosyi. Na czyjąś uwagę, że należałoby w Warszawie utworzyć uniwersytet, Muchanow miał odpowiedzieć „tak, ale jednocześnie potrzebaby wybudować drugą cytadelę!" (To samo powtarza i Lisicki. I. str. 101). Za to, jako główny dyrektor komisyi spraw wewnętrznych nie miał sobie równego i bardzo się przyczynił do podniesienia rolnictwa i przemysłu w kraju.

Kraszewski w rozmowie z autorem tak się odezwał o Muchanowie: Dosyć dobry lecz nie miły i bez taktu człowiek, istny rosyjski Wielopolski! I to się zdaje być najdosadniejszem określeniem Muchanowa: „Rosyjski Wielopolski".

Hrabia Andrzej z łatwością zjednał sobie tego *alter ego* Gorczakowa. Sekretarz stanu, Tymowski, przeprowadził sprawę żeglugi parowej w komitecie dla spraw Królestwa polskiego w Petersburgu, i koncesya Guiberta dostała się Zamoyskiemu. On zaraz z dwoma synami wyruszył parostatkiem dla badania Wisły; mierzył głębokość tej kapryśnej rzeki, badał stosunki i naradzał się z różnymi specyalistami nad dalszym rozwojem przedsiebierstwa.

Cała ta podróż hrabiego Andrzeja była jednym ciągiem królewskich prawie przyjęć i owacyj we wszystkich miejscowościach, gdzie się tylko parostatek zatrzymał. Obiady, toasty, okrzyki, podług staro-nowo-polskiego zwyczaju, jak to się mówi po prostu, że aż się w niebie robiło gorąco. W dodatku do całej tej polsko-politycznej sprawy wciągnięto bardzo zręcznie kilku Rosyan wybitnych, między innymi hrabiego Bobryńskiego. Akcye Towarzystwa wyśrubowano sztucznie do 300 rubli sr. za 120, wszakże bardzo prędko kurs ich spadł niżej pari.

Przedsiębiorstwo weszło w życie. Dyrektorem Towarzystwa został Leon Królikowski, człowiek *skrajnie czerwonych* zasad i naczelnik kółka *nieprzejednanych*. Jakim sposobem się stało, że taki *biały, legalny*, umiarkowany podówczas hrabia Za-

moyski, wybrał sobie na pomocnika takiego zapaleńca i rewolucyonistę, trudno zrozumieć; ale tak się stało. Mogli mu go narzucić różni przyjaciele, niezdecydowanych usposobień, których mnóstwo pod ten czas kręciło się koło hrabiego. Oni może liczyli na to, że towarzystwo żeglugi parowej odegra w bardzo niedalekiej przyszłości takąż rolę, jaką miało odegrać Towarzystwo Guiberta, gdyby zamierzone powstanie 1846 r. tak się rozwinęło, jak się spodziewali spiskowcy.

Dnia 20 lipca 1857 r., w gmachu Towarzystwa na Solcu, nastąpiło otwarcie żeglugi parowej; poczem zaproszeni goście i akcyonaryusze zasiedli do uczty, zakończonej toastami prozą i wierszem. Znany improwizator, redaktor popularnego *Kuryera Warszawskiego*, Kucz, pełen werwy i nadzwyczaj dowcipny człowiek, wygłosił wierszowany toast, zakończony strofą:

Lecz wśród głosów tysięcy
Jedno śpiewam z kolei:
Daj nam Boże! a więcej
Takich jak ten, Andrzei!

Po tak utartej ścieżce, nie trudno już było hrabiemu Andrzejowi uzyskać zezwolenie na zawiązanie Towarzystwa rolniczego. Wprawdzie Muchanow, dla zachowania pozorów, robił trudności i podnosił zarzuty, lecz ostatecznie się zgodził. Do uzyskania tego zezwolenia przyczyniły się w znacznym stopniu nieporozumienia, istniejące między Muchanowem a Kotzebue'm. Kotzebue proponował, zamiast jednego Towarzystwa na całe Królestwo, utworzyć powiatowe zjazdy obywateli ziemskich, któreby wybierały przedstawicieli na zjazdy gubernialne. Na czele zaś stanąłby centralny komitet rolniczy z Warszawy, wybierany przez zjazdy gubernialne. Projekt ten znalazł wielu zwolenników, lecz Muchanow, na przekór swemu antagoniście,

przeprowadził jedno ogólne w Warszawie zebranie wszystkich członków Towarzystwa z komitetem na czele.

Hrabia Uruski miał podobno powiedzieć w kółku swych zaufanych: „Ależ takie towarzystwo nieodmiennie przybierze charakter polityczny". To się rozeszło po mieście, i na jakiś czas musiał wyjechać za granicę, by się usunąć przed ogólną niechęcią. (Dziennik pułkownika Krywonosowa).

Autor broszury *Sprawa polska w 1861 r. List z kraju* (Paryż 1872 r.) powiada, że Zamoyski, zawiązując Towarzystwo rolnicze, wprost naśladował Cavour'a, który od podobnego kroku rozpoczął dzieło wyswobodzenia Włoch. W kraju, gdzie wszelka polityczna działalność wzbroniona i niemożliwa, koniecznie potrzeba każdą sprawę zamieniać na polityczną.

Bolesławita w powieści *Dziecię starego miasta* wyraża się: „Towarzystwo to, doskonały przekład z włoskiego Cavour'a".

Hrabia Skarbek w *Dziejach Polski*, III. str. 224, zapewnia, że: „Rząd wiedział, że Towarzystwo rolnicze podszyte jest polityką".

Tymowski ponownie przeforsował sprawę w Petersburgu, przy pomocy pewnego rosyjskiego wpływowego kółka, (o którem później będzie mowa, a bez której tej pomocy oba projekta nie przeszłyby tak gładko przez komitet dla spraw Królestwa polskiego i przez Radę państwa), i Towarzystwo zostało otwarte uroczyście w sali posiedzeń kuratoryi okręgu naukowego, dnia 16 stycznia 1858 roku przemową Muchanowa, poczem mówili: ksiądz arcybiskup Fijałkowski i hrabia Zamoyski [1]). Poczem ten ostatni, jako główny redaktor *Roczników gospodarstwa*

---

[1]) *Patrz* XXXII tom *Roczników gospodarstwa krajowego z r. 1858*. Mowa Muchanowa str. 149; arcybiskupa str. *160; hrabiego* Andrzeja str. 160.

krajowego, wezwał obecnych innych członków redakcyi i zaproszonych dwadzieścia osób wybitniejszych z kraju do zawiązania się i ukonstytuowania w Towarzystwo, jak tego wymagał zatwierdzony statut. Zebrani wybrali prezesem hrabiego Andrzeja, wiceprezesem Aleksandra hr. Ostrowskiego, oraz szesnastu członków komitetu. Nazwiska wybranych podaje *Kuryer Warszawski*, 1858 r., nr 15, str. 68. Starał się tam dostać i Aleksander hr. Wielopolski, mało podówczas znany w Warszawie, lecz nie został wybrany. Zwykle powiadają, że nawet przy wyborze na członka towarzystwa został przekreskowany, lecz na pewne nikt tego udowodnić nie może. Po śmierci margrabiego, *Czas* twierdził że Wielopolski był członkiem towarzystwa, *Gazeta Narodowa* temu zaprzeczała. — (U Lisickiego o tem. I, strona 106).

Nazajutrz członkowie założyciele dawali dla swego prezesa obiad w hotelu Angielskim, na który był także zaproszony i Muchanów. Było osób 60, były i nieuniknione mowy. Opis obiadu, a następnie rautu w Resursie kupieckiej zamieszczają wszystkie ówczesne dzienniki. (Patrz *Kuryer Warszawski* Nr 16, str. 74, 1858 rok).

Towarzystwo nie potrzebowało troszczyć się o własny organ, gdyż takowy istniał już *à priori* od lat piętnastu, obecnie tylko *Roczniki gospodarstwa krajowego* przeszły z rąk jakiejś tajemniczej i bezimiennej spółki w zawiadywanie Towarzystwa i były rozsyłane *ex offo* wszystkim członkom towarzystwa [1]).

Jawnym redaktorem Roczników został W. Garbiński, sekretarz hrabiego Andrzeja, rzeczywistym wszakże kierownikiem pisma był Aleksander Kra-

---

[1]) Podaje o tem XXXII tom *Roczników* ze stycznia 1858 roku, który stanowi zarazem tom pierwszy tychże *Roczników*, jako organu Towarzystwa.

jewski, który tylko co powrócił z Syberyi, ongi członek Związku polskiego ludu.

Jakim sposobem dostał się do najbliższego otoczenia hrabiego Zamoyskiego ten drugi zapaleniec, czerwieńszy jeszcze od Królikowskiego, także niewiadomo. Wprawdzie w pierwszych chwilach powrotu z wygnania udawał człowieka uspokojonego i ostygłego, lecz w głębi duszy burzył się i wrzał po dawnemu. Próżne to mniemanie, że Sybir, wygnanie lub więzienie uspokaja zapalone umysły; ani trochę. Wracają one ztamtąd jeszcze gorętsze, bardziej rozdrażnione, a zarazem zahartowane w cierpieniach i odosobnieniu. Jeżeli emigracya może być nazwaną rodzajem gimnazyów dla tych panów, to Sybir z wszelką słusznością może być poczytywany za uniwersytet.

Po zatwierdzeniu tych dwóch najważniejszych instytucyi, inne ustępstwa następowały niejako same z siebie. Zezwolono więc na zakładanie w Warszawie i po kraju szkółek niedzielnych (których powstało do 2000), szkółek rzemieślniczych i ochronek, pozostawiając im wszelką swobodę działania. Aweyde przyznaje, że szkoły te najbardziej się przyczyniły do rozwoju osobnego działu literatury ludowej i wraz z nią zasad polskiego katechizmu.

Agaton Giller, literat, sybirak, który powrócił wskutek amnestyi 1856 roku, został redaktorem bardzo taniego tygodniowego pisemka *Czytelnia Niedzielna*, które kosztowało 12 złp. rocznie, a założone było przez panią Petrow, córkę byłego generał-intendenta armii Pogodina, urodzoną w Polsce, Polkę z wychowania, przekonań i języka.

Warszawski księgarz Merzbach otrzymał pozwolenie na wydanie poetycznych dzieł Mickiewicza, tego samego Mickiewicza, którego imię tylko z trwogą odważano się w Rosyi wymówić. Najniewinniejszy wiersz Puszkina do niego, w wydaniu Annenkowa, tom III, str. 41, nosił tytuł: „Do M***.”

Księgarz Orgelbrand rozpoczął wydawnictwo

swej wielkiej *Encyklopedyi*, będącej obecnie rzadkością bibliograficzną.

A nawet w budownictwie obudziło się nowe życie. Wzniesiono gmach Towarzystwa kredytowego ziemskiego, na wzór weneckich prokuratoryi; do tego gmachu przeniosły się wkrótce biura Towarzystwa rolniczego, z początku umieszczone przy ulicy Świętokrzyskiej, w domu Malcza. Powstał hotel Europejski na rogu Czystej i Krakowskiego Przedmieścia, i w jednej chwili stał się modnym, zmógłszy wszystkich współzawodników na tem polu.

Na obu scenach: Wielkiego i Małego teatru, panowały taki ruch i ożywienie, publiczność tak się niemi interesowała, że dzisiejsi Warszawiacy, tak ospale odwiedzający teatra, nie potrafią wyrobić sobie dokładnego o ówczesnych stosunkach wyobrażenia. Wszystko żyło, wrzało i ruszało się, co najmniej życiem zdwojonem.

Jednocześnie i petersburscy Polacy uzyskiwali swojego rodzaju nabytki. Wyjednano u rządu zezwolenie na wydawnictwo w Petersburgu pisma peryodycznego, politycznego, w języku polskim (w podaniu powołano się na istnienie od 1829 do 1853 roku *Tygodnika Petersburskiego* pod redakcyą Przecławskiego), i założenie własnej drukarni na wielką skalę. Redakcyę tego dziennika pod tytułem *Słowo*, objął urzędnik z ministeryum Udziałów, Józefat Ohryzko, jak widzieliśmy, jeden z tych, którzy odwiedzali kółko rewolucyjne przy ulicy Oficerskiej. On również objął zarząd drukarni polskiej i wkrótce wydał wspaniały przedruk zbioru polskich praw *Volumina legum* w dziesięciu tomach.

Takie ożywienie sprawy polskiej w kraju i powodzenie, stopniowo uzyskiwane, pobudziły do działania i za granicą. Towarzystwo Demokratyczne i inne, bardziej wpływowe kółka emigracyjne, zaczęły bacznie śledzić ruch ten w kraju, i zachęcać rodaków do dalszych postępów na tej drodze. Nie uszło to naturalnie uwagi i sąsiednich państw zagra-

nicznych, zawistnem okiem spoglądających na wszelkie objawy poprawy wewnętrznego stanu Rosyi i jej stosunku do Polaków. W tym zgodnym ruchu Rosyi i Polski do reform, w tem nawoływaniu rosyjskiej inteligencyi do ustępstw na rzecz Polaków, w tej skrytej pomocy, okazywanej przez wyższe sfery rządowe polskim narodowym interesom, nakoniec w tej szczerej chęci cesarza Aleksandra II, doprowadzenia do zgodnego pożycia z Polakami, do tego „Kochajmy się cesarzu" staruszka z ratusza—w tem wszystkiem państwa ościenne widziały coś podejrzanego i upatrywały niebezpieczeństwo.

Politycy europejscy uznali, że potrzeba wdać się w tę sprawę i, poddając Polakom różne, nie dające się urzeczywistnić nadzieje, poróżnić ich z Rosyą. Wywołanie najdalej idących nadziei nigdy nie było trudne, a cóż dopiero w owej epoce podniecowej fantazyi i rozgorączkowanych uczuć.

Kogo z europejskich najserdeczniejszych przyjaciół Rosyi można uznać za inicyatora w tej sprawie, dziś jeszcze orzec niepodobna. Najjaskrawiej i najzaczepniej występowała Francya, tak niedawno formująca polskie legiony nad Bosforem. Czy sama się ona poruszyła, czy też ktoś ją do tego podjudził? Mam silne podejrzenie, że nie obeszło się tu bez pruskich wpływów i podżegań... Napoleon i jego ministrowie od czasu do czasu wypowiadali słowa, dające się najrozmaiciej tłómaczyć, szczególniej przy nieco podnieconym nastroju umysłów. Książę Napoleon, czy z upoważnienia cesarza, czy też przez kokieteryę dla opozycyi, zbliżył się do polskich emigracyjnych kółek czerwonych, szczególniej zaś Mierosławskiego, i zaczął wypowiadać różne mgliste przyrzeczenia na wypadek, gdyby coś zaszło! A potem we wrześniu 1858 roku, w czasie zjazdu cesarza z księciem regentem pruskim, przybył bezczelnie *do Warszawy* i występował prawie otwarcie, jako *rewolucyjny* agitator. Mówiono później, że książę *Karol bawarski*, gdy się dowiedział o przyjeździe

księcia Napoleona do Warszawy, zaraz wyjechał i, aby się nie spotkać z „przyjacielem", przez kilka dni przesiedział w Skierniewicach, zanim ten nie odjechał.

Księcia Napoleona umieszczono w pałacu Łazienkowskim, zkąd jawnie znosił się i naradzał z wybitniejszemi osobami różnych stronnictw.

W otoczeniu cesarza, oraz miejscowe wyższe władze cywilne i wojskowe, domyślały się doskonale, w jakim charakterze przybył ten gość niepożądany do Warszawy, to też zachowywali się względem niego zupełnie inaczej, niż wobec innych wysokich gości swego monarchy. Na przeglądach wojskowych dostawały się mu najgorsze konie wierzchowe, wskazywano mu fałszywie miejsca, tak, że raz wcale nie mógł odszukać cesarza. Wszystko to książę strawił na pozór spokojnie i obojętnie, nie okazując nawet, że dostrzegł, lecz po powrocie nad brzegi Sekwany tem silniejszą rozwinął agitacyę antyrosyjską.

Były to stare, znane, tylokrotnie powtarzane sztuczki, lecz dla Polaków niestety one nigdy się nie przestarzeją, zawsze będą *immer neu.* I niech tylko Bonaparte znowu zasiądzie na tronie francuskim, Europa gotowa zobaczyć ponowne powtórzenie znanych jej przygód!..

Ku końcowi 1858 roku przybyło jeszcze więcej życia i wrzenia we wszystkich polskich kółkach w Warszawie. Kto z niej wyjechał, po paromiesięcznem oddaleniu się nie poznawał za powrotem miasta. Wszystko coraz bardziej czerwieniało i wypowiadało coraz głośniej dziwne jakieś nadzieje. W dziennikach pojawiały się artykuły z jakiemiś tajemniczemi półsłówkami i niedopowiadaniami, doskonale zrozumiałemi dla tych, co się oddawna wyuczyli czytać między wierszami. Towarzystwo rolnicze urządzało wystawy i rozdawało nagrody i medale, nie pytając nawet o pozwolenie naczelnej władzy w kraju. Ładu wszakże i harmonii między

różnorodnemi kołami społeczeństwa nie było. „Jeden do lasa, a drugi do Sasa", zapanowało w całem tego słowa znaczeniu. Ludność żydowska po dawnemu stanowiła coś odrębnego w kraju. Obyczajem i dążnościami była narodem w narodzie. O jakiemkolwiek zbliżeniu między Polakami a Żydami nie było jeszcze żadnej wzmianki.

Na dowód, jak obcą była jeszcze podówczas myśl wszelkiego zbliżenia się, może posłużyć następujący szczegół: W styczniu 1859 roku, w sprawozdaniu o koncercie sióstr Neruda, redaktor König w *Gazecie Warszawskiej* napisał, że koncert ten nie powiódł się dlatego, że artystki „nie posiadają orlich nosów, smagłej twarzy i kruczych włosów, że wymawiają dobitnie literę *r*, i że ich nazwisko nie ma zakończenia na *blatt*, *kranz* lub *stern*; słowem, że nie posiadają tych koniecznych przymiotów dodatkowych, któreby im mogły zapewnić opiekę i poparcie koteryi, która całą Europę, szczególniej zaś Polskę trzyma w swym uścisku, a działając wszędzie i zawsze z dziwną zgodą i jednomyślnością, stara się każdego ze swoich wypchnąć na pierwsze plany, czy to bankiera, czy skrzypka, tenora, czy też najzwyklejszego spekulanta"... (*Gazeta Warszawska* z r. 1859, Nr 4, str. 4).

Artykuł ten wywołał straszliwe krzyki oburzenia między całą żydowską inteligencyą Warszawy. Żydzi, gdyby mogli, utopiliby *Gazetę Warszawską* z całą jej redakcyą. Kilkunastu młodych przedstawicieli wyższego żydowskiego towarzystwa, wystosowało do naczelnego redaktora *Gazety* list obelżywy, grożący mu wprost obiciem. Lesznowski zażądał opieki sądowej, autorowie listu musieli odpokutować swój wojowniczy animusz kilkodniowym aresztem, a w dodatku przeprosić Lesznowskiego [1]) Wzbu-

---

[1]) *Patrz* artykuł Przecławskiego w Ruskim Archiwie. *Maj 1872 str. 1037* „Józefat Obryzko i jego gazeta Słowo".

rzyło to jeszcze bardziej Żydów. Wyszukano cięte pióra, które stanęły w obronie Żydów, wszczęły gwałtowną polemikę, wykazując ich zasługi i przedstawiając, że miękka i leniwa słowiańska ludność Polski stanowczo nie mogłaby się obyć bez Żydów. Przytaczano: że gdy w szabas Żydzi pozamykają swe sklepy, chrześcijanie pozostają bezradni; że Polska duchowy swój rozwój zawdzięcza przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, Żydom; że najlepsze drukarnie prowadzą Żydzi, najznakomitsze patryotyczne wydania wychodzą nakładem Żydów, że redaktorzy licznych dzienników są żydowskiego pochodzenia, że nawet Pismo Święte, starego i nowego zakonu, wydane we wszystkich językach świata, sprzedaje się wyłącznie tylko w żydowskiej księgarni; że nakoniec Żydzi w Królestwie są tak dobrzy Polacy, jak i inni jego mieszkańcy, że zawsze w ciężkich chwilach byli gotowi i nieśli wraz z innymi wszelkie ofiary na rzecz wspólnej ojczyzny, na co mogą przytoczyć mnogie historyczne dowody.

Nietylko pozyskana część prasy warszawskiej, lecz i organa zagranicznej prasy stanęły zgodnie w obronie Żydów. Brukselski *Nord* wystąpił z polemiką przeciw *Gazecie Warszawskiej*, a nawet Herzen w *Kołokole* wypowiedział słów kilka w ich obronie. (№ 39, str. 322).

W Warszawie w pierwszej linii występowali bracia Natansonowie, których przezwano rodziną Machabeuszów.

Odpowiadano im, że nikt nie zaprzecza zasług, położonych dla kraju przez żydowską inteligencyę, lecz że obok tej, istnieje jeszcze druga, daleko znaczniejsza część żydowskiego społeczeństwa, ciemna, brudna, licha; zdolna do wszelkiego rodzaju podłych, nikczemnych i obrzydliwych czynów; na wszelkie oszustwa, szpiegostwo, przemytnictwo, fałszerstwo dokumentów i pieniędzy, wyzyskująca społeczeństwo najniesprawiedliwszymi i najbardziej godnymi potępienia środkami. Część ta żydowstwa zaciężyła na

dobrobycie wszystkich stanów, lecz najbardziej przygniotła i zatruła ekonomiczny byt warstw niższych, tych podwalin każdego społeczeństwa. Musi się więc każdemu nasuwać pytanie, co robić? Czy żyć obok narodu w narodzie i dać się mu wyzyskiwać, czyli też dążyć do jak najprędszego oswobodzenia się od tej zarazy?

Żydzi wnet się spostrzegli, że polemika sprowadzona na te tory, wytrąca im oręż z ręki. Dalej prowadzić walkę, szczególniej obcemi, płatnemi piórami, było rzeczą prawie niepodobną. Organa, które im dotychczas stały do dyspozycyi, mogły w każdej chwili odmówić swych usług. Dla dalszego działania, czy to w obecnej chwili, czy, co ważniejsza, w przyszłości, potrzebowali koniecznie zdobyć się na własny organ, swój moralnie i materyalnie, swój dziennik. Ówczesny wódz i kierownik całego ruchu żydowskiego w kraju, bogaty bankier Leopold Kronenberg, postanowił założyć taki dziennik w Warszawie. Przedewszystkiem wszakże chodziło mu o zmuszenie do milczenia swych wrogów, chociażby na ten krótki przeciąg czasu, nim nie załatwi swej sprawy i nie uzyszcze koncesyi na wydawnictwo dziennika. W tym celu użył ostatecznego środka: broni słabszych. Zaskarżył niespokojnych przeciwników przed Enochem, starszym prokuratorem jednego z departamentów warszawskiego rządzącego senatu, który, jak już samo nazwisko wskazuje, posiadał orli nos i krucze włosy, a właśnie w owym czasie zaczynał zdobywać ogromny wpływ u ks. Gorczakowa. Ten już we wszelkich ważnych i nieważnych sprawach, zasięgał rady nie Muchanowa lecz Enocha, co zaraz dało powód Warszawianom do dowcipnej uwagi, że w Warszawie tak dalece nikt nie potrafi obejść się bez faktora, że nawet namiestnik musiał się postarać o tego, w osobie Enocha!

Enoch przyrzekł Kronenbergowi, że postara się rzecz tę jakoś załatwić; w najbliższym więc czasie, Kronenberg w jednej z poufnych rozmów z na-

miestnikiem, zwrócił jego uwagę na nieprzyzwoitość i zgorszenie, wypływające z tej waśni, prowadzonej w pismach publicznych między Żydami i Polakami. Waśń ta, nietylko, że paraliżuje żywotne interesy kraju, lecz nadto przeszkadza normalnemu rozwojowi obu, równie niezbędnych i nawzajem się uzupełniających składników społeczeństwa.

Namiestnik ze swej strony zwrócił na to uwagę cenzury, czyli Muchanowa i... polemika ucichła. Kronenberg mógł spokojnie jechać do Petersburga i tam czynić starania o uzyskanie tyle pożądanej koncesyi.

Redakcya *Gazety Warszawskiej*, pozbawiona przez cenzurę możności prowadzenia dalszej walki na miejscu, nie dała wszelako za wygraną, lecz wysłała zjadliwy antyżydowski artykuł do petersburskiego *Słowa*, które artykuł ten ogłosiło. Żydzi się wściekali; powiadają, że Kronenberg aż płakał ze złości, czytając ten artykuł *Słowa*. Znów się udano pod opiekę wszechmożnego Enocha, który właśnie przybył do Petersburga w towarzystwie Gorczakowa. Enoch zaraz opowiedział namiestnikowi o zachowaniu się *Słowa*, i dodał zjadliwą uwagę, że wszelki rząd w Królestwie stanie się niemożliwy, jeżeli zarządzenia namiestnika będą mogły być bezkarnie krytykowane przez lada pierwszego kolegialnego asesora w Petersburgu (alluzya do ówczesnej rangi, czyli czynu Ohryzki).

Namiestnik nie omieszkał przedstawić tej rzeczy w należytem oświetleniu cesarzowi. *Słowo*, które na parę dni przedtem otrzymało ostrzeżenie za umieszczenie zupełnie niewinnego listu Lelewela do Czajkowskiego i prośby do Lelewela, by tenże, jako wychowawca całych pokoleń polskiej młodzieży, pobłogosławił początkom nowego dzieła, zostało zamknięte, Ohryzkę zaś osadzono w petropawłowskiej cytadeli.

Czajkowski bardzo poważnie zajmował się kwestyą żydowską wogóle i nawet ogłaszał wcale dla

Żydów sympatyczne prace w tym przedmiocie. Otóż pewnego dnia zjawił się u niego Kronenberg z propozycyą, by na jego koszt wyjechał zagranicę, dla zbadania w różnych krajach Europy stanu kwestyi żydowskiej, i aby potem napisał w tej sprawie poważną rozprawę, którą wyda Kronenberg własnym kosztem w kilku europejskich językach, pozostawiając mu cały dochód z rozsprzedaży. „Ja pana nie przekupuję, gdyż i bez tego podzielasz nasze przekonania. Pisz, jakeś dotychczas pisał o Żydach, niczego więcej nie żądamy". Czajkowski chętnie przyjął zrobioną mu propozycyę; zwiedził Anglię, Francyę, Hiszpanię, Włochy i Austryę, wszędzie najsumienniej badając położenie i sprawy Żydów, i zbierając argumenta na udowodnienie konieczności zupełnego równouprawnienia Żydów. Rezultatem tych badań było, że im bardziej rozpoznawał badacz stan sprawy i wpływ wyzwolonego żydowstwa na społeczeństwo, tem bardziej tracił wiarę w żydowstwo i swe dotychczasowe ideały. Przekonał się, że niema ani Francuzów, ani Anglików mojżeszowego wyznania, lecz są tylko wszędzie Żydzi, popierający swe wyłączne, odrębne interesy. Że stając w obronie Żydów, nie służy się ani ojczyźnie, ani Europie, lecz wyłącznie strasznemu celowi, zapanowania żydowstwa nad całym światem. Przerwał więc Czajkowski swą pracę i, przeprosiwszy Kronenberga, powrócił do Petersburga.

Poglądy profesora Czajkowskiego, w zasadzie, mogą być zupełnie sprawiedliwe, lecz jak niema prawidła bez wyjątków, tak też autor, zwracając przez lat dwadzieścia baczną uwagę na zachowanie się Żydów w Polsce, przyszedł do tego przekonania, że między nimi są prawdziwi Polacy-Żydzi, pracujący dla sprawy ojczystej i gotowi dla niej wszystko poświęcić. Za Kronenberga autor zupełnie nie ręczy, lecz przypuszczając nawet, że miał jakieś odrębne, *specyficzne* żydowskie wyrachowania i cele, to zawsze trzeba mu przyznać, ża robił on i zrobił bar-

dzo wiele dla Polski, jako wierny i najbardziej oddany syn kraju, i pozostawił po sobie jak najlepszą pamięć i żal powszechny.

Któż z współczesnych Rosyan nie pamięta, jakie to wywołało oburzenie w Moskwie, Petersburgu i innych większych centrach cesarstwa. Wszyscy mówili: „Po co to rozprawiać o jakichś nadzwyczajnych zmianach i reformach, gdy naraz, na pierwsze słowo jakiegoś na wpół zidyociałego generała, chwytają niewinnych ludzi i bez sądu i śledztwa pakują ich do kazamat! Wszak i za niezapomnianego cara Mikołaja—nic się gorszego nie działo!"

Znany Turgeniew i poeta Żemczużników wystosowali listy do cesarza, w obronie Ohryzki. W najwyższych sferach, a nawet w samym Zimowym pałacu zjawili się jeszcze potężniejsi obrońcy, i w rezultacie... Ohryzkę uwolniono, a Gorczakowowi niewinnemu winowajcy całego tego zajścia, polecono usprawiedliwić się przed ministrem oświaty, Kowalewskim. Oświecony minister oświaty był na tyle grzeczny, że, dla okazania swego lekceważenia, przyjął, jak powiadają, namiestnika Królestwa polskiego—w szlafroku.

Taki był ogólny nastrój umysłów. Książę Gorczakow nie wiedział, jak uniknąć ironicznych spojrzeń, uśmiechów i sarkastycznych przymówek. Dobrze przynajmniej, że, będąc na wpół głuchy i ślepy, zaledwie część jakąś tego wszystkiego dostrzegł i dosłyszał. Jednak na jednem z posiedzeń komitetu ministrów, zdobył się na te znaczące i prorocze słowa: „jeżeli panowie tutaj tak postępować będziecie, to mi wkrótce wypadnie strzelać kartaczami na ulicach Warszawy!"

Powiadają, że grzmot nie zawsze towarzyszy uderzeniom pioruna i że Bóg czasem zsyła mądrość i na niewidzących; to też biedny, umysłowo i fizycznie zniedołężniały Gorczakow widział lepiej i dalej następstwa danej chwili, niż rozumni i przewi-

dujący doradcy cesarza, którzy podówczas tak kpili i wyśmiewali się z niego...

Gdy namiestnik przed wyjazdem do Warszawy przyszedł z pożegnaniem do cesarzowej, powiedziała mu ona: „Nigdy panu nie przebaczę, żeś spowodował cesarza do popełnienia pierwszej niesprawiedliwości“. Słowa podobne na każdym zrobiłyby wrażenie, a cóż dopiero dziać się musiało z Gorczakowem, truchlejącym całe życie przed każdym, choć cokolwiek wyższe zajmującym od niego stanowisko. Słowa te, z ust cesarzowej, jak grom spadły na niego i spowodowały, że jeszcze bardziej stał się głuchym i ślepym na wszystko, co się koło niego działo. Słowa te później prześladowały go w Warszawie, jak istne *mane*, *tekel*, *fares* Baltazarowe. Przy każdem zarządzeniu i postanowieniu truchlał, by nie popełnić jeszcze coś takiego, błędu jakiego lub nieostrożności, czemby mógł zasłużyć na nową cesarską wymówkę.

Gdy w połowie 1859 roku mała garstka Rosyan, przebywających w Warszawie, z inicyatywy generała Siemeki, umyśliła zawiązać rosyjski klub, Gorczakow i tego się przeląkł. Prośby wprawdzie nie odrzucił, lecz zażądał, ażeby projektowany klub nie nosił miana „rosyjskiego“, lecz został nazwany „Warszawskiem powszechnem zebraniem [1])“. Późniejsi członkowie tego klubu, spotykając na bieliźnie, naczyniu i starszych sprzętach tajemnicze litery W. O. S. (*Warszawskoje obszczestwiennoje sobranie*), nie domyślają się nawet, że zestraszony Gorczakow taką wymyślił nazwę dla miejsca towarzyskich zebrań rosyjskiego towarzystwa w Warszawie. Jeszcze za czasów Paskiewicza starano się o uzyskanie zezwolenia na zawiązanie rosyjskiego klubu w Warszawie, lecz ten stale odmawiał, motywując to w ten

---

[1]) Został otwarty pod tem mianem w początkach 1860 *roku przy ulicy* Senatorskiéj, w domu Młokosiewicza.

sposób: „Na co wam klub? czy na to, aby się zbierać i przesądzać o tem, co do was nie należy? Nigdy nie pozwolę!"

I tak, nic nieznaczący spór żydowsko-polski, jakiś artykuł Königa, wpłynął na zmianę stosunków na ogromnych przestrzeniach krajów, podległych Rosyi. Sprawa, polska, już i bez tego mająca za sobą opinię ludzi inteligentnych, olbrzymim krokiem postąpiła naprzód, stała się głośną w całej Rosyi i pozyskała sympatye w jeszcze szerszych kołach. W Polsce zaś samej zyskała na tem swoboda działania; różnolite żywioły zaczęły się porozumiewać i zbliżać.

Z zawieszeniem *Słowa*, w którem jeszcze możliwa była walka Machabeuszów z epigonami Jana Sobieskiego, ciężka zasłona milczenia zakryła dalsze kształtowanie się wzajemnych stosunków. Samo przeznaczenie przeszkodziło dalszym swarom. Wszyscy uznali, że droga ta nie prowadziła do zamierzonego celu, czuli potrzebę pokoju i odetchnienia. W każdym razie walka nie pozostała bez pewnych rezultatów. Kronenberg przywiózł z Petersburga konsens na wydawnictwo codziennego politycznego dziennika. Nie zważając na pewną zmianę stosunków, nie mógł i nie chciał zaniechać raz powziętego zamiaru. Przyszłość w żadnym razie nie mogła być bezwzględnie pewną, zawsze więc korzystnem było dla żydów mieć własny organ w kraju.

Kronenberg wszakże, człowiek praktyczny i obyty w interesach, postanowił jeszcze w Petersburgu, dla zyskania na czasie, nie zakładać nowego pisma, co jest zawsze rzeczą kłopotliwą i zmudną, lecz zamierzył kupić jakąkolwiek już istniejącą gazetę. Za powrotem więc do Warszawy, zaproponował przez swych agentów, Aleksandrowi Niewiarowskiemu, właścicielowi *Gazety Codziennej*, nabycie tego pisma, zupełnie już upadającego, i ofiarował mu za nie wcale przyzwoitą sumkę i tymcza-

sowe stanowisko redaktora. Niewiarowski zażądał kilku dni do namysłu.

Tymczasem rzecz się rozniosła po Warszawie. Pewnego dnia przychodzi do Niewiarowskiego obywatel ziemski, bawiący się w literata, Sarnecki, z ostremi wymówkami, że zdradza sprawę i zaprzedaje się Żydom. „Potrzębujesz pieniędzy, my damy tyle, ile daje Kronenberg". Jednakże, czy to, że nie zdołał zebrać tej sumy, czy też, że Żydzi postąpili w cenie, *Gazeta Codzienna* przeszła na własność Kronenberga, jak mówią, za 12,000 r. sr., które Niewiarowski potrafił bardzo prędko przetrwonić do współki z Bakałowiczową.

Najpierw należało pomyśleć o redaktorze. Ponieważ rzecz była założona na szerokie rozmiary i nie żałowano pieniędzy (Kraszewski powiada, że w 1860 roku Kronenberg wydał na gazetę 250,000 złp. Książka jubileuszowa str. XCVII), więc i na redaktora nie można było wziąć pierwszego lepszego literata z brzegu, lecz kogoś z głośnem, już ustalonem imieniem.

Czyjeż nazwisko mogło być głośniejsze nad Kraszewskiego, który podówczas mieszkał z rodziną w Żytomierzu, w zupełnie uregulowanych stosunkach materyalnych. Żeby go poruszyć ztamtąd, należało użyć silnych wpływów i ofiarować ponętne warunki pieniężne. O tych ostatnich mówią rozmaicie. Franciszek Sobieszczański, były przy Wielopolskim redaktor *Dziennika Powszechnego* a zarazem cenzor *Gazety Codziennej*, przezwanej następnie *Polską*, mówi autorowi, że Kraszewski pobierał 3,000 rb. sr. stałej płacy i po 10 kopiejek od wiersza druku za swe artykuły, czy to w *Gazecie*, czy w odcinku umieszczane.

Naprawdę, warunki takie nie mogły skusić Kraszewskiego do rzucenia Żytomierza i do związania *się z Żydami* w Warszawie, co, bądź co bądź, *narażało go w opinii* zwolenników i ogółu. Inne *wpływy działały* na Kraszewskiego, i on nie zdawał so-

bie sprawy, jak i kiedy uległ burzliwemu prądowi czasu, poczynającemu już wstrząsać Polską. I on zaczynał marzyć, porówno z innymi dziećmi wszelkiego wieku i stanu...

Kraszewskiego trwożyła, ale zarazem i pociągała kwestya żydowska, zaczynająca odgrywać pewną rolę w tym ruchu. Od dawna dążył do zbliżenia Żydów ze społeczeństwem w kraju, w którym Żydzi tak ważny czynnik ekonomiczny stanowili. Jeszcze jako współpracownik *Gazety Warszawskiej* staczał niejedną walkę z Lesznowskim i Königiem, ujmując się za Żydami. Obecnie, gdy Polska była w oczekiwaniu koniecznych reform, gdy była w przededniu walki, może nawet rozpaczliwej o ich otrzymanie, należało się starać nadewszystko, aby społeczeństwo całe było silnie zespolone i ożywione jednym duchem. Każdy więc, cokolwiek przewidujący patryota, winien był dołożyć możliwych starań, by żywioły dotychczas niejednolite, zespoliły się i zlały ze sobą, chociażby duszę przyszło oddać za to.

Takie były przekonania Kraszewskiego. Nadto, jako poeta i człowiek wrażliwy, rad się był wyrwać z zaściankowych stosunków, gdzie go nie pojmowano, a nawet niejedną rzecz, wyszłą z pod jego pióra, wrogo przyjmowano (patrz *Książkę jubileuszową* str. LXXI, LXXXV—LXXXVI); rad był zbliżyć się do Europy, przenieść się na szerszą widownię, w sam środek rozpoczynającego się ruchu, i to nie na prostego widza, lecz na jednego z ważniejszych działaczów, przeznaczonego do wzięcia czynnego udziału w rozpoczynającej się akcyi. Z tego punktu widzenia, rzecz w istocie była ponętną.

Nie prozaiczne więc wyrachowanie, lecz wyższa, poetyczna i polityczna idea skłoniła Kraszewskiego do opuszczenia swego wołyńskiego *tusculum*. *Wprawdzie i proza nie została zapomnianą, gdyż o tej Kraszewski nigdy nie zapomniał i umiał siebie cenić.*

Dla bliższego przypatrzenia się i ocenienia sytuacyi, Kraszewski zaraz po otrzymaniu propozycyi Kronenberga w połowie czerwca 1859 roku przyjechał do Warszawy. Dnia 10 sierpnia został ze strony rządu zatwierdzony, jako naczelny redaktor *Gazety Codziennej*, wszakże nie zaraz zasiadł do redakcyjnego stołu [1]). Niejedno przedtem musiał zorganizować w redakcyi, a potem widział i czuł, że namiętności jeszcze się nie uspokoiły, że jeszcze możliwa walka wśród żywiołów, mających się zespolić do jednego mianownika, że nawet od czasu do czasu walka ta wybuchała. W październiku 1859 roku żydowska koterya, nie skora do zapominania i przebaczania uraz, nasadziła na Königa Floryana Niewiarowskiego, brata byłego redaktora *Gazety Codziennej*. Nastąpił pojedynek; dnia 20 października strzelano się w Młocinach za Bielanami, i dopiero za czwartym strzałem König otrzymał ranę powyżej kolana.

Kraszewski nadewszystko się obawiał, żeby go nie poczytano za jurgeltnika żydowskiego w walce ze swoimi, tem bardziej, że nim jeszcze coś napisał, już otrzymał kilka obelżywych anonimów, zowiących go „zdrajcą i zaprzańcem”, że „wziął się nie za swoje”, że „zdradził jeśli nie Chrystusa, to co najmniej boga muz i poezyi Apolla”.

Czy wskutek tych pism i gawęd, czy też wskutek redakcyjnych kłopotów, niemiłego zawsze usuwania dawnych stosunków i porządków, dosyć, że zachorował i musiał się położyć do łóżka. Przyszedł do siebie zaledwie w połowie listopada i zaraz wyjechał do Żytomierza, zkąd przez czas jakiś przy-

---

[1]) Nr. 214 *Gazety Codziennej* z dnia 16 sierpnia 1895 roku podaje na wstępie ogłoszenie podpisane przez *I. J. Kraszewskiego*, donoszące o objęciu redakcyi przez *niego i zasadach*, któremi się pismo to kierować będzie.

patrywał się bacznie rozwijającym się wypadkom w Warszawie.

Wreszcie w miesiącu lutym 1860 roku Kraszewski zdecydował się przesiedlić na dobre do Warszawy, pozostawił jednak rodzinę w Żytomierzu, gdzie go wcale obojętnie pożegnano. Zaraz wziął się silnie do pracy i wiele zdziałał dla podniesienia *Gazety*. Ze swych prac literackich umieścił w odcinku: *Dziś i temu lat trzysta*, *Silwa rerum* i *Listy z tamtego świata*. Imię jego, dobór artykułów, nie trudny do uzyskania wobec dobrych honoraryów, płaconych przez Kronenberga współpracownikom, wzmogły odrazu prenumeratę z dwóch na pięć i pół tysięcy egzemplarzy, jednocześnie zaś *Gazecie Warszawskiej* spadła liczba prenumeratorów z siedmiu na dwa tysiące. Redaktor tejże, Lesznowski, oryginalna i całej Warszawie znana postać, objętości słonia, który miał specyalnego fiakra, którym jeździł, stołki, na których siadał, miejsce podwójne w teatrze, obok orkiestry; spożywający na jedno śniadanie tyle, że dla pięciu wystarczyłoby na obiad, z ciągłej irytacyi zachorował i umarł. Mówią, że przed śmiercią powiedział Kraszewskiemu: „Zabiłeś mnie!"

Kraszewskiemu wszakże ani w myśli było współzawodnictwo, a tem mniej uśmiercanie kogoś. On tylko rzetelnie pracował, jak to mówią „zawinąwszy rękawy"; pracował w kierunku i duchu, jakiego wymagały okoliczności, które się już zbijały w ciężkie, groźne burzą i zniszczeniem chmury. On wnet spostrzegł, że poróżnione żywioły i bez jego współudziału, pchane rozwojem wypadków, same się jednoczą, potrzeba zaś czego innego, oto śmiałego wystąpienia do walki z warchołami, ze skrajnemi przekonaniami; potrzeba zapobiedz bezmyślnemu wybuchowi, korzystając jednocześnie z każdej przyjaznej okoliczności, dla uzyskania możliwych ustępstw dla kraju.

Obserwujące się nawzajem stronnictwa nie przestawały znosić się ze swymi przyjaciółmi za

granicą. Ztamtąd odpowiadano zachęcająco, że według wszelkich kombinacyi i politycznych danych, właśnie nadchodzi czas działania, wywołania jakiejś ogólnej manifestacyi, któraby pozwoliła osądzić, czy rzeczywiście ludność jest już dostatecznie przygotowaną do podjęcia walki z rządem, czy też potrzeba będzie walkę tę jeszcze na czas dalszy odłożyć.

Wówczas policya warszawska, pod kierunkiem tęgiego oberpolicmajstra Trepowa, chociaż wogóle nieliczna, była jednak wcale dobra i jeszcze nie zdezorganizowana przez spisek. Od 1856 do 1861 roku, warszawska policya dzieliła się na dzienną i nocną. W dziennej było: feldfebel 1, podoficerów 5, stójkowych 112; w nocnej zaś: feldfebli 5, podoficerów 16 i stójkowych 263. Zarząd się składał: z naczelnika, jego pomocnika, 3 oficerów, 12 komisarzy i 120 rewirowych—razem 540 osób.

Ówczesny ober-policmajster, później tyle wsławiony T. T. Trepow, był podobno naturalnym synem generała Stengera, i znaleziony w 1809 roku jako podrzutek na schodach jego mieszkania, ztąd z niemiecka nazwany Trepow (od *Treppe*, schody). Wychowany w domu generała, gdy wyszedł z dzieciństwa, oddano go do szkoły konduktorów, istniejącej przy głównej szkole inżynierów. Ztamtąd po roku uwolniony dla słabego zdrowia. W 1828 roku wstąpił jako dyurnista do biur ministeryum dóbr państwa, 14 stycznia 1831 roku uwolnił się i zaraz zaciągnał się na ochotnika do nowogrodzkiego pułku kirasyerów. Za odznaczenie się w boju, w czerwcu tegoż roku został oficerem.

Przechodząc następnie zwykłe stopnie służbowe, w marcu 1854 roku otrzymał w Kijowie dowództwo pułku żandarmów, i wkrótce potem ożenił się z miejscową obywatelką, Łukaszewiczową. Po *zwinięciu pułku*, otrzymał w nagrodę koszary, wraz

z placem musztry i całem urządzeniem na własność. Zaliczony do armii, w listopadzie 1860 roku został mianowany warszawskim ober-policmajstrem.

Otóż policya się dowiedziała, że studenci medycznej akademii urządzają jakieś nabożeństwo żałobne podejrzanego znaczenia, i zawiadomiła o tem kuratora. Muchanow polecił rektorowi Cycurynowi, wywiedzieć się sekretnie, co to za nabożeństwo i jacy studenci najbardziej niem się zajmują.

Cycuryn zdał raport, że urządza się nabożeństwo za dusze: Adama, Juliusza i Zygmunta, a głównymi kierownikami są studenci: Jan Kurzyna, Pelszewski i Władysław Jaśniewski; że rozrzucono po Warszawie mnóstwo kartek o tem nabożeństwie, a nawet ogłoszono je przez dzienniki. Jan Kurzyna, syn podoficera warszawskiej policyi, był do roku 1857 w nowicyacie księży Pijarów w Opolu; uchodził za emisaryusza i agenta Towarzystwa Demokratycznego.

Jaśniewski pochodził z miasteczka Bodzanowa, w płockiej gubernii.

Muchanów udał się do oberpolicmajstra z żądaniem wzbronienia nabożeństwa, lecz już było za późno; publiczność w oznaczonym dniu i wskazanej godzinie zaczęła napływać do katedry św. Jana, wiedząc doskonale za jakich to: Adama, Juliusza i Zygmunta, będą się modlić. Demonstracya przyszła do skutku i dowiodła aranżerom, że jest współczucie dla każdego patryotycznego objawu, że zatem można czegoś więcej popróbować.

Zarząd akademii, chcąc zapobiedz powtórzeniu się podobnej swawoli, postanowił przyśpieszyć pierwsze egzamina z 1859 roku, z zamiarem utrudnienia ich dla niektórych. Kurzyna i inni wybitniejsi kierownicy „Kółka Akademików" domyślili się odrazu, o co chodzi. Skłonili więc kolegów do podania protestu przeciw temu zarządzeniu. Wszyscy, z wyjątkiem czterech, którym obiecano za to szubienicę, protest wnieśli.

Cycuryn zarządził śledztwo, celem wykrycia winnych tego nowego spiskowania. Ponownie udowodniono kierownictwo Kurzynie i Jaśniewskiemu. Z polecenia namiestnika wydalono ich obydwóch z akademii i internowano Kurzynę w Lublinie, Jaśniewskiego w Płocku, oddając ich pod nadzór miejscowej policyi.

Nadzór ten jednak był tego rodzaju, że obaj potrafili umknąć za granicę. Jaśniewski wprost z Płocka, Kurzyna zaś, nie mogąc wystarać się o paszport zagraniczny, przyjechał najspokojniej do Warszawy, i tu przy pomocy Narcyza Jankowskiego, dymisyonowanego oficera, uzyskał paszport, za którym przybył do Paryża. W Paryżu zaraz się poznał z Ludwikiem Mierosławskim, i stał się wiernym jego adherentem i współpracownikiem aż do końca życia.

Wyjeżdżając z Warszawy, Kurzyna przelał swą władzę na Karola Majewskiego, który właśnie tylko co wstąpił do akademii. Był to chłopak zdolny i energiczny, lecz nadzwyczaj zarozumiały i żądny znaczenia. On zaprowadził w kółku pewną organizacyę; podział na piątki i dziesiątki, już w kilku innych organizacyach zastosowane, np. w komitecie Dąbrowskiego w Petersburgu; w uniwersytecie kijowskim. Następnie pomnożył bibliotekę kółka, sprowadzając same utwory emigracyjne i zakazane przez cenzurę [1]).

W tym samym czasie powstało poważniejsze kółko rewolucyjne, zawiązane przez wspomnianego już Narcyza Jankowskiego. Do tego kółka należało mieszczaństwo różnych stanów, kupcy, literaci, technicy, drobniejsi urzędnicy i księża.

---

[1]) Zeznania Majewskiego i Aweydy. System dziesiątek przy spiskach pierwszy wprowadził w życie Filip Buonaroti (1761 — 1837) potomek Michała Anioła. Należał on do różnych działań spiskowych i napisał kilka utworów rewolucyjnych.

Oba te kółka: akademików i Jankowskiego, wiedziały o sobie; od czasu do czasu schodzili się nawet na wspólne narady; układali plany wspólnych, przyszłych wystąpień. Była nawet mowa o zlaniu się w jedną wspólną organizacyę, lecz do tego nie przyszło.

Patrząc na te schadzki i rozprawy bez żadnych dodatnich rezultatów i jasno wytkniętego celu, Edward Jurgens, urzędnik w Komisyi spraw wewnętrznych, postanowił zawiązać własne kółko, nie czerwone ani białe, gdyż był przekonany, że ani zapał i skrajna gorączka Jankowskiego, ani wyrachowanie i spokój, oraz pańskie kunktatorstwo stronnictwa białych, skupionych przy hr. Zamoyskim, nie doprowadzą do żadnych pozytywnych rezultatów, i są zarówno bezskuteczne; wierzył, że dla działania ze skutkiem i powodzeniem, potrzeba połączyć spokój i rozwagę umiarkowanych z energią, dobrą wiarą i zapałem skrajnych. Takich właśnie ludzi postanowił wyszukiwać i kupić koło siebie w jedno stronnictwo.

Jurgens był synem zamożnego cieśli z Płocka; w krwi jego była przymieszka krwi semickiej, czyli że łączył słowiańską odwagę i zuchwałość (szczególniej właściwą polskiemu szczepowi) z przebiegłością, wytrwałością i skupieniem semickiego plemienia. Nadzwyczaj był bystry i przenikliwy. Dla fizyonomisty od razu wpadał w oczy dziwnie wydatny skład jego czoła, bardziej jednak zastanawiały błyszczące, przenikliwe oczy. Zdawało się, że on wszystko wie i wszystko widzi; zaczynając z kimkolwiek rozmowę, po chwili jakby przenikał i czytał najtajniejsze myśli człowieka. To też niebawem robiło się jakoś nieswojsko, trwożliwie pod tym badawczym wzrokiem, chociaż obdarzony nim ani myślał o wywołaniu jakiegoś szczególniejszego wrażenia. Wzrok ten działał sam przez się, jakby obdarzony nim naiwnie i prosto patrzał, jak nieraz spozierają jasne oczy dzieci, nie myślących o niczem i nie wiedzą-

cych nawet, że istnieją na świecie: efekt, wychowanie, kokieterya, myśl skryta i utajona.

Po ukończeniu gimnazyum w Płocku Jurgens odbył kurs nauk uniwersyteckich w Dorpacie.

Już na ławie szkolnej objawiał niepodległego, rewolucyjnego ducha. Lubiał rozprawiać o wszelkich ruchach narodowych, śledzić pilnie postępy każdego rewolucyjnego wybuchu w Europie. Czytał z zapałem wszystko, co mu wpadło pod rękę z pism rewolucyjnych i zakazanych, uwielbiał bohaterów, którzy swe zamiary życiem lub wolnością przypłacili. Sądy jego o wszelkich zarządzeniach władzy, o pierwszym lepszym wypadku politycznym, były nacechowane taką skrajną stanowczością, że to przerażało nawet jego przyjaciół.

Jakiś czas w 1841 roku próbował w gimnazyum płockiem rewolucyjnej propagandy; później w 1847 roku należał do sprawy Henryka Krajewskiego, lecz był jednym z tych nielicznych wybrańców losu, którzy uniknęli więzienia i zsyłki.

W epoce, którą opisujemy, Jurgens mógł służyć za typ skończonego i wyrobionego rewolucyonisty, z ustalonemi ideałami; zdolnego do kierowania drugimi. Miał swoich zwolenników nietylko w kraju, lecz i w innych częściach Polski na emigracyi. Znał się osobiście ze wszystkimi głównymi przywódcami emigracyi: z Mierosławskim, Wysockim i niejednym z wybitniejszych członków Towarzystwa demokratycznego, jak również z księciem Czartoryskim i otoczeniem hotelu Lambert. Najbardziej wszakże lgnął do generała Wysockiego. Podobno nawet, wskutek narady z Wysockim i Elżanowskim [1]), Jurgens zaczął skupiać koło siebie w Warszawie wyżej już wymienione stronnictwo pośrednie.

---

[1]) Elżanowski umarł w Paryżu w 1874 roku; jego *biografię* zamieściły *Roczniki Towarzystwa historyczno-literackiego* w Paryżu w roku 1874, tom II, str. 264—277.

Zasady tego kółka Aweyde tak określa:

„Polska nie zginęła i każdy Polak obowiązany jest dążyć do jej wskrzeszenia drogą rewolucyi. Rewolucya ta wszakże może być tylko uwieńczeniem długotrwałych i usilnych prac i trudów, prowadzonych rozumnie i oględnie.

Rewolucya, bądź co bądź, bez należytego przygotowania i wywołana nie w porę, jest wprost występkiem... wskazaną zaś patryotycznej działalności spiskowców jest jedynie droga stopniowego uzyskania u rządu ulg i ustępstw, droga wyzyskiwania w porze właściwej każdej nadarzającej się przyjaznej okoliczności; w końcu należy się starać, jeżeli już nie o pomoc, to chociażby o poparcie innych rządów europejskich. Bynajmniej zaś nie należy stawać wobec władzy w bezwzględnej opozycyi i rządzić się uczuciem ślepej nienawiści. Owszem, wypada starać się o możliwe porozumienie z rządem, uważać go jako potęgę, z którą otwarta walka albo wcale jest niepodobna, albo co najmniej bardzo a bardzo trudna, lecz którą zawsze, nawet przy niewielkich usiłowaniach da się wyzyskać na korzyść związanego z nią narodu... Ofiarowanych stanowisk urzędowych, nietylko nie należy odpychać (czem zwykle grzeszyli biali), lecz owszem, starać się o nie we wszelkich gałęziach służby publicznej. Nie wstrzymywać i nie ubezwładniać wprowadzanych reform, lecz, o ile się da, przyśpieszać i ułatwiać ich ostateczny rozwój. Postępując jednak w ten sposób, nigdy nie zapominać ostatecznego celu wszystkich usiłowań, to jest powstania, które ma być zakończeniem, ostatnim aktem dramatu..., do którego to celu należy usilnie gromadzić zasoby materyalne, w miarę możności i środków każdego".

Były to, z bardzo małemi wyjątkami, zasady, wyznawane przez białych; różnica polegała tylko w gotowości zajmowania służby rządowej, od której biali stale stronili, oraz w tem, że Jurgens i jego zwolennicy głośno nazywali siebie stronnictwem,

i wobec zaufanych wcale nie ukrywali ostatecznych celów, do których zmierzają, ani też tego, na kim w kraju i za granicą głównie się opierają. Biali o tem wszystkiem zachowywali głuche milczenie, najbardziej zaś, tak wtedy jak później, unikali nazwy stronnictwa, nie zważając, że ono w istocie od dawna istniało i oddawało rzetelne usługi krajowi wówczas, gdy inne zabierały się dopiero do pracy. Zresztą, może to unikanie nazwy stronnictwa pochodziło z głębszych politycznych pobudek i tego wyrachowania, że przez nich stawiane żądania nie są wyrazami jakiejś części, lecz żądaniami całego społeczeństwa.

Jankowski pierwszy spostrzegł, że dotychczasowe działanie czerwonych do niczego nie prowadzi i jest tylko próżną stratą czasu. On był przekonany, że każdej z zarysowujących się partyi: jego, Majewskiego i Jurgensa, niewiele braknie do przeistoczenia się w prawdziwie rewolucyjne stronnictwo. Gdyby zwolennicy jego albo Jurgensa mogli nabrać zapału akademików, albo gdyby ci ostatni, zamiast rzucania się jak wściekli i poczytywania za święte i nienaruszone tego wszystkiego, co im bają czerwieńcy emigracyjni, otarli się o Jurgensistów albo chociażby i jego zwolenników, mogłoby się utworzyć dzielne i poważne stronnictwo, zdolne do pracy skutecznej dla kraju. Stronnictwa białych, a właściwie Zamoyskiego, Jankowski zupełnie nie uznawał i odmawiał mu wszelkich zasług, mimo że te, szczególniej w ostatnich czasach, dla każdego nieuprzedzonego były tak widoczne. Widział w nich przeszkodę do każdego energiczniejszego działania; niedostępnych arystokratów, trzymających się zdala od wszystkiego, co żywsze i ruchliwsze w kraju; obawiających się najmniejszego zbliżenia z każdym, choć cokolwiek źle widzianym u rządu. Z tych przyczyn Jankowski ani myślał o zbliżeniu się do tych ludzi. On próbował, czy nie uda mu się połączyć w jedno *tych trzech*, powyżej wymienionych, niejako powino-

watych z sobą kółek, i w tym celu przedewszystkiem zbliżył się do Jurgensistów. Przy bliższem atoli zetknięciu, znalazł ich na tyle niewyraźnymi, do takiego stopnia pozbawionymi gruntu i *mille-ainerami*, to jest, według wyrażenia Mierosławskiego, na tysiące lat rozkładającymi rewolucyjne działania, że po pewnych rokowaniach, zerwał z nimi stanowczo i zawiązał stosunki z kółkiem Majewskiego [1].

Po wspólnych obradach nad połączeniem się dla wspólnej pracy, obie partye, Jankowskiego i akademików, postanowiły wybrać delegatów dla dalszych pertraktacyi, które się miały prowadzić w mieszkaniu Majewskiego przy ulicy Chmielnej. Akademicy, którzy już i z po za ścian szkolnych pozyskiwali zwolenników, wysłali jako swych przedstawicieli: Stanisława, Jana i Leona, trzech braci Frankowskich z akademii; Karola Nowakowskiego ze szkoły sztuk pięknych; zaś z miasta: Rafała Krajewskiego budowniczego, Jana Banzemera i Lewenhardta literatów, a zarazem przedstawicieli młodzieży z uniwersytetów berlińskiego i krakowskiego. Z Jankowskim przyszli Bolesław Denel, współpracownik *Gazety codziennej*, i młodzi obywatele ziemscy: Stanisław Krzemiński i Julian Wereszczyński.

Po dosyć nieporządnych, ale za to głośnych obradach i sporach, delegaci przyszli jednak do zgody, i celem jednolitego działania wybrali wspólny komitet rewolucyjny. Wybrani: Jankowski, Denel, Krzemiński, Wereszczyński i Majewski, który został kasyerem komitetu.

---

[1]) Aweyde powiada, że w Warszawie nazywano Jurgensa i jego stronników „partyą filozofów, coś niby jak naukowych waryatów, nie wiedzących dokąd dążą i jaki cel ich roboty mają“. Kraszewski zaś Majewskiego nie brał na seryo: „był to spiskowiec, nie wiedzący dokąd idzie“; Jurgensa stawiał znacznie wyżej, lecz także zarzucał mu, że nie umiał sobie zdawać jasno sprawy z celów, do których dążył. Spasowicz, znający osobiście Jurgensa, zalicza go do wybitniejszych osobistości powstania 1863 roku.

Komitet ten był praojcem znanego „Komitetu centralnego." Zbierał się w mieszkaniu Jankowskiego przy ulicy Marszałkowskiej Dzień zawiązania się oznaczyć trudno, było to zawsze w końcu 1859 roku.

Członkowie komitetu podzielili się czynnością w ten sposób: Denel, jako współtowarzysz Mierosławskiego z roku 1848, wziął na siebie stosunki z Mierosławskim i Kurzyną; Wereszczyński, jako były student kijowskiego uniwersytetu, podjął się komunikacyi z Rusią; Löwenhardt z Krakowem i Galicyą. Krzemiński został bibliotekarzem [1]).

Wkrótce potem przybył do Warszawy student uniwersytetu wrocławskiego, Adam Protazy Asnyk i został przyjęty do połączonego grona kółek Majewskiego i Jankowskiego, (które się wszakże nigdy zupełnie z sobą nie zlały), i zawiązał stosunki z wielkiem Księstwem Poznańskiem [2]).

Na czem polegały te stosunki zawiązanego komitetu z Europą i Rosyą, niewiadomo... Zdaje się, że były nic nieznaczące, jak wogóle cała działalność komitetu. Na prawdę czynne było tylko stronnictwo Zamoyskiego. Jego spokojna, nieznana, ale też nikogo nietrwożąca praca (założenie dwóch towarzystw, otwarcie mnóstwa szkół ludowych, wpływ na złagodzenie cenzury, na cały ruch

---

[1]) W spisie głównych uczestników powstania 1848 roku, wydanym przez pruską policyę, nazwiska Denela nie znajdujemy. Patrz tom XXIX *Biblioteki pisarzy polskich* str. 278—287.

[2]) Zeznania Majewskiego — O Asnyku mówiono później, że przybył do Warszawy w celu założenia Towarzystwa Czarnych braci, mającego za zadanie budzenie ducha, podnoszenie zapału i posłuszeństwa dla przywódzców. Majewski i Aweyde zaprzeczają temu, przyznają jednak, że Asnyk znosił się bezpośrednio z komitetem i urządzał niektóre drobne manifestacye na własną rękę. Zdzisław Janczewski, który nieco później wstąpił do czerwonej organizacyi, podaje, że Apollo Korzeniowski był twórcą projektu założenia Towarzystwa Czarnych braci.

literacki, na scenę, można powiedzieć, że na wszystkie objawy życia narodowego i społecznego) miała wyraźny, jasno określony charakter, i była dla wszystkich widoczną i zrozumiałą.

Jurgens ze swymi przyjaciółmi, przypatrując się wszystkiemu, co się naokoło niego działo, chciał także wyjść z bezczynności, coś projektował, szukał sposobności działania, lecz śladów tej pracy dopatrzeć nie możemy.

Wojna francusko-włoska-austryacka wzbudziła nowe nadzieje, nietylko u czerwonych Polaków wszystkich trzech zaborów. Zdawało się, że pożar ogarnie całą Europę. Rok 1860 tych nadziei nie osłabił. Poznańczycy toczyli walkę z rządem i niemieckim żywiołem, jak w roku 1848. Krakowska młodzież zażądała polskich wykładów na uniwersytecie Jagiellońskim. W Austryi wydane zostały tak zwane patenty październikowe o zwołaniu reprezentacyi krajowych, i wogóle cała wewnętrzna polityka austryacka przybrała inny charakter. Smolka w wiedeńskiej Radzie państwa wygłaszał płomienne mowy. Niegolewski w Berlinie stawił policyę poznańską pod pręgierz uczciwej opinii w Europie. Nawet dotychczas spokojni i na pozór zadowoleni Ślązacy, słali deputacyę ze skargami na ucisk i gnębienie narodowości. W Galicyi zaczęły się walki między demokratami a arystokracyą, między Rusinami a Polakami, między krajem a niemiecko-czeską biurokracyą. Na południu Europy inny ruch zapanował. Dokonywało się połączenie Włoch nowych. Marsalski tysiąc zdobywa Neapol. „Anioł rewolucyi,” zostawszy dyktatorem, zamyślał o formowaniu jakiegoś międzynarodowego legionu, nad którym dowództwo miał objąć Mierosławski.

Wszystko to, mgliste i niejasne, ubarwione dodatkami, dochodziło różnemi drogami do Warszawy—powtarzane wszędzie na najrozmaitsze tony. Komitet połączonych kółek zaczął częściej się zbierać na posiedzenia, w których zaczynały już przyj-

mować udział i inne gorętsze żywioły z miasta. Tymczasem rząd nakazał rozciągnąć nadzór ściślejszy nad Czerwonymi; kilku z nich uwięziono. Jankowski uznał za bezpieczniejsze usunąć się za granicę.

Na tę ucieczkę Jankowskiego towarzysze jego różnie się zapatrywali. Jedni zarzucali mu wprost tchórzostwo; drudzy, a w ich liczbie i Aweyde, twierdzili, że „wódz czerwonych" wyjechał w celu porozumienia się z Mierosławskim co do międzynarodowego legionu i szczegółów, jakby ten projekt można było zastosować i spożytkować dla robót rewolucyjnych w kraju.

Bądź co bądź, z wyjazdem Jankowskiego kółko straciło wszelki hamulec. Jankowski umiał powściągać i miarkować porywy nazbyt gorących, i sprzeciwiał się urządzaniu drobnych, bezcelowych manifestacyjek, śpiewaniu hymnów, rozszerzaniu podburzających odezw z portretami Kościuszki i Kilińskiego, do czego Mierosławski i Kurzyna ciągle parli i zachęcali. Jankowski nawet nie dopuszczał nikogo ze skrajnych na posiedzenia komitetu od czasu, gdy ludzie z po za jego grona, wbrew wszelkim regułom, zaczęli tam przybywać w rodzaju dawnych sejmowych arbitrów. Z wyjazdem Jankowskiego drzwi komitetu rozwarły się na oścież, i obok członków zasiadali w nim regularnie panowie: Frankowscy, Nowakowski, Cielecki, Śniegocki i im podobni narwańcy, u których w myśli i na języku nic innego nie postało, jak tylko manifestacya; okazywanie Moskwie ciągłego, niewykorzenionego, wrodzonego wstrętu i nienawiści. Oni to nazywali ruchem, postępem; wszelkie zaś wyczekiwanie, zaprzestanie manifestacyi — ospałością i samobójstwem.

Napróżno umiarkowańsi, jak Banzemer, Majewski i inni, przedstawiali już nie komitetowi, lecz prawie całej Akademii, pomieszanej z różnymi ulicznymi żywiołami, że manifestacye jedynie mogą za-

szkodzić poważnej pracy wszystkich wogóle kółek, a nawet i działaniom Białych, których nikt nie może nazwać szkodliwymi dla kraju. Tacy kawalerowie, w rodzaju Frankowskich i Nowakowskich, ani słyszeć o tem nie chcieli i postanowili skorzystać z pierwszej nadarzonej sposobności, aby na złość Moskalom, oraz dla zbadania nastroju umysłów w mieście, urządzić jakąkolwiek większą manifestacyę.

Nadeszła więc chwila panowania szaleńców i dzieci, gdzie kierownictwo objęli „smarkacze," jak ich nazywano w poważniejszych kołach; „politycy serca," jak ich tytułuje zbliżony do nich Aweyde. Spełniła się straszna biblijna przypowieść „a rozum was opuści, a niedorośli rząd nad wami trzymać będą."

Dnia 10 czerwca 1860 roku umarła wdowa po znanym generale polskim z 1831 roku, Sowińskim, który przy szturmie Warszawy, w dniach 6 i 7 września 1831 roku bronił wolskiej rogatki i zginął z bronią w ręku na stopniach ołtarza w kościołku, do dziś dnia istniejącym na prawosławnym cmentarzu za wolskiemi rogatkami.

Na dzień 13 czerwca wyznaczono pogrzeb Akademicy i uczniowie szkoły sztuk pięknych zwołali przed mieszkanie zmarłej ogromne tłumy ludu[1]). Studenci ponieśli trumnę na cmentarz protestancki, gdyż tego wyznania była zmarła, a gdy pastor Pleszewski w mowie pogrzebowej nazwał ją pułkownikową, tłum mu przerwał krzykami „generałowa" [2]).

---

[1]) Giller powiada, że pierwszy pomysł do tej demonstracyi wyszedł od Mateusza Gralewskiego, oficera z wojsk kaukazkich, który oddany do wojska za jakieś przewinienie w szkołach, wrócił na mocy amnestyi 1856 roku do kraju. Był to syn zagonowego szlachcica z Mazewa w *łęczyckiem*. (Tom I,, str. 151)

[2]) Sowiński oficyalnie był tylko pułkownikiem, gdyż *na generała* awansował po wybuchu powstania. Pleszewski,

Przed spuszczeniem trumny do grobu, kierownicy całej tej manifestacyi obcięli tren od sukni zmarłej, i tnąc go na kawałki, rozdawali obecnym na pamiątkę; gdy tego nie wystarczyło, oberwano obicie trumny i galony, zaczęto obłamywać gałązki z obok stojących krzewów i te rozdawano. (Opowiadania naocznych świadków).

Pogrzeb ten zwykle bywa uważany za pierwszą manifestacyę w ruchu 1863 roku. Policya, przeprowadzając następnie dochodzenie o tem zajściu, wykryła, że przed pogrzebem Sowińskiej akademicy rozpowszechniali po mieście „wezwanie Mierosławskiego," drukowane na cienkim, welinowym papierze" podpisane przez Mierosławskiego i Kurzynę. Niektórzy płacili po rublu srebrnym za to wezwanie. Policya doszła także nazwisk głównych aranżerów manifestacyi, lecz namiestnik, niechcąc niepokoić Petersburga, kazał sprawę zatuszować, jako wybryk, nie zasługujący na uwagę. Żadnych więc aresztowań, a tem mniej kar nie było. To zachęciło i ośmieliło Czerwonych do dalszych prób w tym rodzaju.

Gdy rozeszła się wiadomość o mającym nastąpić w Warszawie zjeździe trzech sprzymierzonych monarchów, ciż sami aranżerowie rozrzucili po mieście odezwę tej treści:

„Warszawa wkrótce ujrzy w swych murach sępów, którzy naszą ojczyznę rozszarpali. Bracia! ważna to będzie chwila w dziejach nieszczęść naszych. Zjazd ich, prawdopodobnie nie pozostanie bez wpływu na przyszłe nasze losy, i być może, że ujrzymy nowy program działania, dążący, pod po-

---

należący do tak zwanego spisku z 1850 roku, był zesłany do Iszymu w gubernii tobolskiej. Powróciwszy na mocy amnestyi z 1856 roku, czuł nad sobą oko policyi, i dlatego chciał być ściśle oficyalnym w swem przemówieniu.—(Giller tom IV, str. 253—259).

zorem zbawiennych reform, do zupełnej zagłady naszej narodowości. Nadto, zjazd ten ma inne cele. Tyrani sprzysięgli się na zniszczenie wszystkiego, co sprawiedliwe. Polacy! czy pojmujecie nieprzyjazne zamiary wrogów naszych? Nadeszła chwila, w której dawna stolica wielkiej Rzeczypospolitej powinna jawnie okazać wzgardę i nienawiść, jakiemi pała serce każdego prawego Polaka ku tym świętokradcom, którzy wbrew wszelkim przykazaniom Boskim, targnęli się na wolność i niepodległość naszej ojczyzny. Polacy! nie zapominajcie tej chwili; niech gród nasz w czasie pobytu naszych ciemięzców przybierze na się postać grobu, okrytego kirem; niech on na każdym kroku przypomina im zbrodnię na nas popełnioną; niech wszelką radość całun śmiertelny przykryje. Polacy! na was woła duch przeszłej wielkości naszej, do was odzywają się głosy tysięcy braci, poległych w obronie ojczyzny!"

W czasie samego zjazdu dopuszczono się kilku najnieprzyzwoitszych wybryków. Naprzykład w czasie uroczystości założenia kamienia węgielnego pod most żelazny na Wiśle, na której był obecny cesarz, łobuzy obrzynali paniom suknie, lub oblewali je kwasem siarczanym. Wieczorem, przed przybyciem monarchów do teatru, oblano lożę cesarską czemś cuchnącym, tak, że zaledwie zdołano odmienić meble i zmienić firanki i obicie. Podczas samego zaś przedstawienia [1]) spuszczano z galeryi pęcherzyki napełnione czemś nieznośnie cuchnącym. W czasie przejazdu monarchów do teatru, eskortę składało sześciu żandarmów, oficer i pięciu żołnierzy. Ci u wejścia do teatru, od drzwiczek powozu do drzwi wschodowych, sformowali już pieszo szpaler, między którym przeszli wszyscy goście [2]).

---

[1]) *Dawano balet Modniarki, czyli Karnawał paryski.*

[2]) *Dziennik pułkownika Krywonosowa podaje w swym*

W czasie iluminacyi, urządzanych przez miasto, łobuzerya gasiła światła; przechadzających się oblewano kwasem siarczanym i t. p. Policya, już po części dotknięta tą zarazą spisku, patrzała na te wybryki przez palce, z rzadka tylko kogoś aresztując. Śledztwo, wytoczone z powodu rozlanych cuchnących płynów w teatrze, nic nie wykryło. Gdy w Petersburgu dowiedziano się o tych wszystkich zajściach warszawskich, cesarzowa matka z przerażenia zachorowała, obawiając się o życie syna. Cesarza telegraficznie zawiadomiono o chorobie matki, który też, nie czekając na wyjazd gości, pośpieszył do Petersburga. Tegoż dnia wieczorem opuścił Warszawę cesarz austrycki, nazajutrz zaś rano książę regent pruski.

Upodobanie do manifestacyi zaczęło się objawiać i między białymi. W teatrach amatorskich, urządzanych częstokroć i w wyższych sferach towarzyskich, z lubością dodawano różne uwagi okolicznościowe w przedstawianych rolach, najczęściej wytykające błędy i niedostatki istniejących warunków rządowych. (Aweyde II, 3). Na pewnej maskaradzie, w salach redutowych, obywatel ziamski Załuskowski ukazał się przebrany za niewolnika, skuty kajdanami, za co zaraz został przez policyę zaaresztowany. Uwięziono następnie jeszcze kilka osób. Dzieciuchy się zlękły. Komitet, a właściwie gromadka aranżerów podzieliła się na dwie grupy, białych i czerwonych. Biali domagali się zupełnego zaniechania manifestacyi, czerwoni protestowali, do-

---

poglądzie krytycznym na wypadki 1861—1863 roku, że wówczas, w czasie przejazdu cesarza austryackiego, z wagonu cesarskiego skradziono tekę z papierami. Z początku sądzono, że to zwykła kradzież, gdyż wraz z teką zginęły *i jakieś pieniądze.* Te ostatnie wkrótce zwrócono za pośre*dnictwem któregoś* z księży Kapucynów, teka zaś znikła *bez śladu. (Gazeta narodowa* z 1879 roku, nr. 251, str. 2, *szp. 2 i 3).*

wodząc, „że raz poprzerywane nici, nie dadzą się potem nawiązać; że masy stanęły widocznie po stronie ruchu i zaczynają pomagać spiskowi; że zaniechanie manifestacyi znów je osadzi na miejscu, z którego trudno będzie poruszyć je na nowo.”

Skończyło się na tem, że biali z Majewskim na czele przystąpili do partyi Jurgensa. Krzemiński zaś i Wereszczyński usunęli się z Warszawy, pierwszy do Heidelberga, gdzie się podówczas skupiała polska i inna rewolucyjna młodzież, drugi do Kijowa.—Denel zawiadomił o tym wypadku Mierosławskiego, który natychmiast przysłał do Warszawy, jako swojego agenta, Franciszka Godlewskiego, człowieka rzutnego i roztropnego, dając mu polecenie „przywrócenia porządku w czerwonym obozie,” w którym czuł się już gospodarzem i naczelnikiem, którego władza i znaczenie z dniem każdym, niemal z każdą godziną wzrastały.

Gutry powiada, że 1860 roku Mierosławski sam się narzucił na przewódcę ruchu rewolucyjnego w Polsce. Wysyłanie agentów nazywa „samowolą, która wywołała anarchię.” W tem ma zupełną słuszność. Niecierpliwi warszawscy agitatorzy radzi byli stanąć pod sztandarem naczelnika z ustaloną rewolucyjną przeszłością i sławą, nad którym już był zawisł topór kata. Wszystko, co było brzydkiego, niewyjaśnionego w jego przeszłości; wszystko, co wykazywało brak charakteru, zapominano lub tłómaczono na dobre.

W umówionym kluczu dla tajnej korespondencyi, Mierosławski nazywał się Magdaleną; wybuch—ślubem; spisek—gospodarstwem; Miłkowski—energią; wojsko—zbożem; broń—narzędziami rolniczemi; demonstracya—festynem; donos—prośbą; szpieg—psem; powstańcy—rublami; emisarysz—ekonomem; Warszawa—Kiejdanami; Wilno—Szawlami; Prusy—sąsiadem; Rosya—opiekunem; proch—herbatą; Galicya — podstawą. — (*Pan Ludwik Mierosławski* str. 5—12).

Godlewski przy pomocy Denela i Jana Frankowskiego zawiązał nowy komitet pod nazwą „Komitet Jankowskiego," którego spodziewano się powitać wkrótce z powrotem w murach Warszawy. Jakoż w istocie w grudniu 1860 roku wybrał się do kraju, lecz przychwycony w Krakowie, po niejakim czasie został wydany władzom rosyjskim [1]).

Rozważniejsza cząstka czerwonych, która się już przedtem odłączyła wraz z Jurgensem i jego stronnikami, patrząc na panujący wśród spiskowych rozgardyasz, istną „Sodomę i Gomorę" jak mówili, obowiązując się, by z tego nie wykłuło się coś zgubnego dla całej sprawy, postanowili na nowo zbliżyć się z Denelem i Godlewskim. Nawzajem i u tych spotkali równe chęci; i ci pragnęli połączenia się z dawnymi towarzyszami, szczególnie, że przez to odzyskali Majewskiego, a z nim szeroko rozgałęzione wpływy i stosunki w mieście. Przedstawiono więc sobie wzajemne warunki pojednania. Umiarkowani i Jurgensiści żądali, ażeby komitet Jankowskiego, bez względu na swą nienawiść ku szlachcie, szedł na rękę z Towarzystwem rolniczem i popierał jego zbawienne dla kraju działania.

Denel zaś i jego czerwoni towarzysze domagali się dalszego prowadzenia manifestacyi, jako jedynej drogi, na której do jakichś donioślejszych ustępstw ze strony rządu dojść było można.

Warunki zobopólnie przyjęto i strony zwaśnione się pogodziły. Właściwie zaś nigdy się one nie rozchodziły; krzykliwe ich zgromadzenia miały nieraz charakter podobnego pojednania i następnie rozterek. Ztąd też pochodzą owe różnice w opisach naocznych świadków; jedni widzieli pojednanie i zgodę tam, gdzie drudzy mówią o burzliwych obradach i rozterkach.

---

[1]) *Umarł* w cytadeli. — (*Przypisek tłómacza*).

Nie wiadomo, w jaki sposób komitet Jankowskiego, złożony z Denela, Godlewskiego, Majewskiego, Banzemera i Löwenhardta, i czy kiedy pomagał Towarzystwu rolniczemu, lecz działania manifestacyjne bardzo jasno się zarysowały. Na skinienie akademików uliczna łobuzerya tłukła okna wskazanych pomieszkań, gdzie się odbywały jakiekolwiek oficyalne przyjęcia. W tej zabawce głównie przewodzili uczniowie gimnazyalni: Kozubski, Jaczewski i Świegocki. Policya już wtedy tak się rozluźniła, że ani jeden z tych dowódców nie dostał się w jej ręce. Aresztowania rozpoczęły się dopiero w 1863 roku za hrabiego Berga, gdy więziono bez wyboru, masami.

Wśród białego dnia zrywano szyldy z rosyjskiemi napisami, a gdy właściciel wzywał opieki i pomocy policyi, ściągał na siebie tem większe uliczne prześladowanie. Osoby, nie poddające się rozkazom czerwonych, próbowano teroryzować przez nasyłanie pism obelżywych lub grożących, ma się rozumieć bezimiennych.

W pamiętny dzień rocznicy listopadowego powstania, 29 listopada 1860 roku akademicy umyślili urządzić maleńką manifestacyę, jakby dla wypróbowania, jak się rząd wobec tego zachowa? Wybrano na ten cel już na ustroniu położony, kościół księży Karmelitów na Lesznie, gdzie i dozór policyi nie tak baczny i u końca ulicy niema prawie stójkowych.

O dwunastej w południe zebrało się w kościele mnóstwo publiczności, w której wszakże przeważali akademicy i rzemieślnicy, zaczynający lubować się w patryotycznych mowach i śpiewach. W czasie nabożeństwa rozdawano wizerunki Kościuszki i Kilińskiego. Mowy żadnej nie było, chociaż urządzający nabożeństwo usilnie starali się skłonić ku temu księży; zresztą nabożeństwo odbyło się w porządku i wszystko poszło jak z płatka. Mimo to, aranżerowie z niepokojem cały dzień wyglądali, co

powie na to władza! czy wie co i z czyjej inicyatywy działo się u księży Karmelitów na Lesznie?

Władza o niczem nie wiedziała! — Jak tylko czerwoni przyszli do tego przeświadczenia, postanowiono powtórzyć manifestacyę jeszcze tego samego dnia wieczorem, lecz już na większe rozmiary i jawnie, wcale nie oglądająa się na to, co powie policya Najbardziej nastawał na to nieprzejednany fanatyk, Karol Nowakowski, gotów zawsze do największych wybryków i szaleństw.

Gdy zaczął dowodzić o nadzwyczajnej doniosłości projektowanych manifestacyi, już go nikt nie mógł przekonać i uspokoić; bardzo też być może, że nikt podówczas tego trudu zadawać sobie nie myślał. Większość czerwonych, a nawet i ci czerwono-biali, którzy jeszcze wczoraj odwodzili od podobnych, drażniących władzę wystąpień, pod wrażeniem porannej manifestacyi, nie zdając sobie nawet sprawy z ogarniającego ich uczucia, podążali na wieczorne powtórzenie tego samego widowiska. Udały wybryk był podnietą do dalszych podobnych wystąpień. Nowakowski zajął się urządzaniem manifestacyi z całym zapałem, jako praktyczny gospodarz, świadomy swego zadania. Pod jego kierownictwem, między szóstą a siódmą godziną wieczorem, przed figurą Matki Boskiej na Lesznie zebrał się ogromny tłum ludu, przyniesiono stół, zapalono lampy, i gdy modlący się padli na kolana, Nowakowski, chłop duży i obdarzony tubalnym głosem, zaintonował hymn *Boże coś Polskę*, starą, zapomnianą pieśń, napisaną przez Alojzego Felińskiego, w drugim czy trzecim dziesiątku bieżącego stulecia, w zupełnie innym celu i warunkach. Wywołało to niesłychane wrażenie; obecni z rozrzewnienia płakali...

Był to pierwszy śpiew hymnu, tej Marsylianki 1863 roku. Potem prześpiewano: *Z dymem pożarów*, *Boże Ojcze! Twoje dzieci żebrzą, płaczą Twej litości!*, a na zakończenie *Jeszcze Polska nie zginęła*; poczem

znów rozdano mnóstwo portretów Kościuszki i Kilińskiego, oraz zeszytów z drukowanemi hymnami i innemi patryotycznemi śpiewami [1]).

I ta manifestacya udała się, jak nie można szczęśliwiej. Policya patrzyła na wszystko obojętnie [2]). Manifestanci, widząc, że im się udaje, postanowili posunąć się ku środkowi miasta [3]).

Mniej więcej w tydzień potem, gromadka uczniów z niższych klas gimnazyum realnego, zebrała się w kościele księży Bernardynów na Krakowskiem przedmieściu, gdzie się odprawiało nabożeństwo żałobne za poległych w walkach 1831 roku. Na zakończenie odśpiewano kilka pieśni narodowych; nie aresztowano nikogo. Lecz gdy taką samą manifestacyę powtórzyli uczniowie klas wyższych już łącznie z publicznością, kierowaną przez Asnyka w kościele św. Krzyża, policya zaczęła aresztować uczestników. Asnyk z wielu innymi dostali się do cytadeli. (Asnyk wkrótce uwolniony, wyjechał za granicę).

Całe miasto zaczęło mówić o manifestacyach.

---

[1]) Drukowaniem tych rzeczy zajmowali się szczególniej bracia Frankowscy. Wówczas też wydano *Adwent Polski*, oraz odezwy o oddaniu naczelnego dowództwa w zbliżającem się powstaniu generałom: Wysockiemu i Mierosławskiemu

[2]) Aweyde tom II, str. 4. Szczegóły manifestacyi wyjęte także z jego zeznań. Dalsze opisy z Aweydy i Majewskiego uzupełnione opowiadaniami różnych naocznych świadków.

[3]) Wielu mniema, że policya, zachowując się biernie wobec tych nieporządków, działała z pewnem wyrachowaniem, że rząd miał w tem swe widoki i działał ze złą wiarą. Wobec powtarzających się dziś jeszcze zarzutów tego rodzaju, możemy najbardziej stanowczo zapewnić, że w tem nie było żadnego ukrytego podstępu; po prostu Gorczakow obawiał się jakich nowych nieprzyjemności, nie chciał narazić się na niezadowolenie i wymówki w Petersburgu. Była to najwyższa nieudolność rządzenia miastem i krajem i nic więcej.

Stronnictwo białych udało się do przewódców znanych nam kółek czerwonych z przedstawieniami i żądaniem, aby zaprzestano dalszych nieporządków, gdyż te krzyżują i stają na zawadzie rozpoczętym poważnym działaniom w kraju, a nawet mogą je zupełnie zwichnąć. Czerwonym nieźmiernie to pochlebiało, że dotychczas ignorujący ich zupełnie panowie, zostali zmuszeni do odezwania się do nich, jako przedstawiających pewną siłę w kraju; odpowiedzieli więc z pewną dumą, że „natychmiast zaprzestaną manifestacyi, jeżeli tylko Towarzystwo rolnicze zdecyduje się na podanie adresu do cesarza, nie żądając na to upoważnienia namiestnika. W adresie zaś ma być wypowiedziana jeśli nie skarga na złe i bezprogramowe rządy w Polsce — to przynajmniej zaznaczona konieczność zaprowadzenia odpowiednich duchowi czasu reform, szczególniej wobec tych nadzwyczajnych przeobrażeń, jakie dla cesarstwa są projektowane. Jeśli biali tego nie zrobią, to przywódcy czerwonych wcale nie myślą powstrzymywać młodzieży, i manifestacye będą jedne po drugich następować, bez względu na mogące ztąd wyniknąć następstwa. Lecz komuż przypisać winę? Czy Fabiuszom kunktatorom z obozu białych, ceniącym wyżej swe dobre u Moskwy zachowanie nad zbawienie ojczyzny, czy tej pełnej zapału i poświęcenia młodzieży, niosącej krajowi w ofierze przyszłość swą, wolność osobistą, a nawet życie.., niech to przyszłe dzieje rozstrzygną; przewódcy kółek zawczasu nie biorą żadnej za następstwa odpowiedzialności.

Gorętsza część białych była zdania, że siła manifestujących była li tylko negatywną, polegającą na niewytłómaczonej słabości rządu w Warszawie; że niech tylko rząd ten otrząśnie się z otrętwienia, siła ta czerwonych w jednej chwili jak mgła się rozwieje; to też ta część białych była gotową zgodzić się na postawione żądania i napisać coś ostrego do Petersburga; zażądać naprzykład, wprowa

dzenia w życie statutu organicznego z 14 lutego 1832 roku (który wskutek spisku Zaliwskiego nie wszedł w wykonanie, i dopiero w 1862 roku został[1]) zastosowany przez Wielopolskiego dla rozwiązania kilku zasadniczych kwestyi). Druga jednak, rozważniejsza część białych, nie obałamucona jeszcze biegiem wypadków, wręcz odmówiła temu żądaniu czerwonych i oświadczyła, że gdyby ci wystąpili wrogo i nieprzyjaźnie wobec prowadzonych poważnych robót, — oni nie zawahają się przed wydaniem ich rządowi z imienia i nazwiska[2]).

Tak w pierwszych chwilach zadecydowała większość w obozie białych; lecz gdy rozpatrzyli rzecz całą dokładniej, gdy rozważyli, co to za istota siedzi w Warszawie na stolcu namiestnikowskim, jak to coś dla każdego stronnictwa małą gwarancyę przedstawiało, że potrafi utrzymać spokój i porządek w kraju — biali oświadczyli ostatecznie stronie przeciwnej, że komitet Towarzystwa przedstawi postawione kwestye do rozpatrzenia i postanowienia na najbliższem ogólnem zebraniu Towarzystwa rolniczego, które się ma odbyć w styczniu 1861 r.

Lecz i to, według mniemania czerwonych, odwlekało sprawę na czas nieoznaczony, gdy tymczasem sprawa ta nie cierpiała najmniejszej zwłoki. Postanowili więc postępować dalej raz obraną drogą i nie zaprzestawać manifestacyi, bez względu na wyniknąć mogące ztąd skutki.

Należy dodać, że w owym czasie do partyi Godlewskiego i Jurgensa przystąpiło kilku ludzi, o zasadach i przekonaniach których do niedawna nie podobna było coś stanowczego powiedzieć. Była to najruchliwsza część warszawskiej burżuazyi; ludzie dosyć daleko posunięci w swych zapatrywa-

---

[1]) Miał być po części zastosowany. — (*Pryp. tłómacza*).
[2]) To fałszywe.—(*Przypisek tłómacza*).

niach socyalnych, lecz dzięki swemu stanowisku w społeczeństwie, unikający występowania obok młokosów. Oni długo się rozpatrywali, do kogo się mają przyłączyć, gdyż wobec powszechnej gorączki, żaden Polak nie mógł pozostać obojętnym i trzymać się zdala od wszelkiego działania. Stronnictwo Komitetu rolniczego stanowczo nie zaspakajało tych panów, oni znajdowali, że prace białych były stanowczo za powolne i za ostrożne, szczególniej, gdy się uwzględniało ówczesny stan polityczny Europy i Rosyi, a zresztą i samo usposobienie, panujące w rosyjskich sferach rządowych. Burżuazya znajdowała, że z panami z komitetu można było doskonale spożyć od czasu do czasu wykwintną kolacyjkę, przy której wybornie umieli rozprawiać w panującym duchu, lecz co do przekonań ich i zasad—te odbiegały gdzieś daleko, w przeciwnym kierunku... Na stronnictwo zaś przeciwne spoglądali jak na coś bardzo niedojrzałego, zapalnego i popędliwego, postępującego zupełnie przeciwnie, nie tak, jakby w takich chwilach postępować i działać powinni prawdziwi radykali.

Czas wszakże upływał i to szybciej niż kiedykolwiek. Burżuazya spostrzegła, że się naraz znalazła wśród objawów już wcale nie dziecinnych, z po za których wyglądała już walka wcale nie na żarty, walka z rządem, do której zmierzali i którą starali się wywołać ci czerwoni urwisze! Nadeszła chwila, że nie można było dłużej zwlekać, wyczekiwać, lecz należało działać, zdecydować się tak lub owak, przyłączyć się tam lub tu...

Namyślali się dosyć długo i... bardzo być może, że z ciężkiem sercem, lecz stanęli po stronie... młokosów!

W pierwszych wszakże chwilach ci nowi zwolennicy partyi ruchu byli w niej żywiołem obcym, *oziębiającym*; doradzali wszystkim cokolwiek starszym i rozważniejszym, by o ile można powstrzymywali niecierpliwą i zapalną młodzież od wszelkich

nierozważnych wybryków; jednocześnie zaś starali się poruszyć białych, skłonić ich do wstąpienia na drogę wskazywaną już nietylko przez czerwonych, lecz przez opinię prawie całego kraju, to jest namawiali do podania adresu do cesarza z wyrazem wszystkich krzywd i żalów naszych. Lecz jakież były środki do osiągnięcia tego celu? Ktoś w kółku powiedział, że gdyby cała warszawska inteligencya: wpływowi kupcy i przemysłowcy, kapitaliści, urzędnicy, literaci, adwokaci wraz z jednomyślną częścią szlachty, szczerze i stanowczo zażądali podania adresu, to ultra-biali z komitetu nie byliby w stanie temu się sprzeciwić. Zaraz się jednak rodziło pytanie, jakim sposobem poruszyć tę żywszą część poważnej, umiarkowanej ludności, posiadającej w swym gronie także swego rodzaju panów i półpanków, którzy chociaż nie śpią do tego stopnia, jak ultra-biała szlachta, lecz także na arenę publicznego działania występują nader niechętnie, zwolna i ostrożnie.

Po pewnych naradach, przedstawiciele kółka, a w ich liczbie i Jurgens, wymyślili taki środek: postanowiono wysłać do wszystkich rosyjskich uniwersytetów agentów, którzyby skłonili polską uniwersytecką młodzież do wysłania do Warszawy deputacyi z adresem, wystosowanym do różnych stanów społeczeństwa polskiego i żądającym przeniesienia katedr prawa polskiego z Petersburga do Warszawy i nadania im przywilejów uniwersyteckich [1]). Jeśli się to uda i kraj zdecyduje się po-

---

[1]) Od 1841 do 1859 roku istniały dwie katedry polskiego prawa: w Petersburgu i Moskwie. W 1859 roku zniesiono je i zaprowadzono w Petersburgu cztery katedry polskie:

1. Historyę prawa polskiego i prawa kryminalnego, obowiązującego w Królestwie, wykładał profesor *Czajkowski*.
2. *Kodeks cywilny i prawo hipoteczne* — prof. Budzyński.

przeć żądania młodzieży, to musi być podany adres do cesarza, a w nim da się umieścić i jedno i drugie, ultra-czerwoni będą zmuszeni przycichnąć, a jeśli tego nie zrobią, to kraj potrafi zmusić ich do milczenia.

Ktoś zauważył, że to może myśl praktyczna, ale niewłaściwa i niebezpieczna. Nie należy powoływać młodzieży, jako odrębnego stanu, i to do spraw dla niej niewłaściwych; drudzy dodawali, że projekt cały zanadto subtelny; lecz Jurgens zakonkludował, że „subtelny czy nie subtelny, lecz innego wyjścia niema. Pomysł jest dowcipny i prawdopodobnie pomyślny odniesie skutek".

Ponieważ wszystko to się odbywało koło Bożego Narodzenia 1860 roku, w czasie zimowych uniwersyteckich feryi, więc w Warszawie znalazło się kilkunastu studentów Polaków z różnych uniwersytetów rosyjskich. Jurgens wybrał z pomiędzy nich najspokojniejszych i najrozważniejszych, i zapropo-

---

3. Proces cywilny — profesor Hube — i
4. Prawo administracyjne—profesor Łaguna.

Spasowicz rzecz tę przedstawia obszerniej: Za Paskiewicza były kursa prawne w Warszawie, na których wykładano: Kodeks Napoleona. W 1840 roku kursa te zniesiono, natomiast w Petersburgu i Moskwie otworzono po dwie katedry prawa polskiego. W Moskwie wykładali: prof. Korowicki—prawo i procedurę cywilną; Pawłowski—prawo kryminalne. W Petersburgu zaś: Romuald Hube wykładał historyę prawa polskiego, prawo kryminalne i sądownictwo; Cypryan Zaborowski—kodeks Napoleona, czyli prawo i procedurę cywilną.

Po uwolnieniu Hubego, jego miejsce zajął w 1847 roku Antoni Czajkowski z Warszawy, zaś na miejsce Zaborowskiego w 1850 roku przybył prof. Krzyżanowski. Nadto przy Czajkowskim adjutantem został Stosław Łaguna, przy Krzyżanowskim Włodzimierz Spasowicz, który po wyjeździe w 1857 roku Krzyżanowskiego za granicę objął tegoż katedrę. Później Spasowicz przeszedł na katedrę ruskiego prawa, miejsce zaś jego zajął Stanisław Budzyński. Wszystkie te katedry zwinięto przy wprowadzeniu reformy naukowej Wielopolskiego.

nował im przejechać się po uniwersytetach w wiadomej misyi, ofiarując im zwrot kosztów podróży. Młodzi ludzie z ochotą przyjęli zrobioną im propozycyę, i natychmiast wyruszyli w różnych kierunkach. Cała rzecz nader szybko została przeprowadzoną; uniwersytety: petersburski, moskiewski i dorpacki wybrały po dwóch delegatów; kijowski przysłał ich trzech, którzy też swoją zagorzałością psuli nieco ogólną harmonię.

Za przybyciem do Warszawy wysłańcy uniwersyteccy naprzód się zeszli z Jurgensem w mieszkaniu Adolfa Pieńkowskiego, nauczyciela gimnazyalnego. Umówiono się zwołać ogólne zebranie dla rozważenia kwestyi, w jakim duchu ma być spisany adres pełnomocników młodzieży do obywateli miasta Warszawy. Na zebraniu tem, na które, oprócz wysłanników z cesarstwa, przybyli przedstawiciele warszawskiej medycznej akademii, instytutu rolniczego w Marymoncie, szkoły sztuk pięknych i gimnazyum realnego, jeden z kijowskich studentów podjął się ułożenia adresu zaraz, na poczekaniu. Rzecz wszakże wypadła tak dziecinnie górnolotna i gorączkowa, że zebranie wysłuchawszy w milczeniu ten elaborat, nie wypowiedziało żadnego zdania, a milczenie to było wymowną odpowiedzią. Wówczas Jurgens wezwał jednego z delegatów do odczytania zawczasu już przygotowanego projektu. Wszyscy od razu spostrzegli szaloną różnicę tej obmyślanej pracy w porównaniu z frazesami swego współkolegi. Adres Jurgensa jednomyślnie przyjęto i zebrani zaraz go przepisali w kilkudziesięciu egzemplarzach. Poczem delegaci podzielili się na trzy partye, z których każda, nie tracąc czasu, miała obejść wyznaczone sobie znakomitsze osobistości w Warszawie: Andrzeja hr. Zamoyskiego, Tomasza hr. Potockiego, Ludwika Górskiego, generała byłego wojska polskiego: Józefa Lewińskiego, Leopolda Kronenberga, Mathiasa Rosena, Ksawerego Szlenkiera, I. J. Kraszewskiego, winiarza Fukiera, szewca Hiszpańskiego

i jeszcze kilkunastu innych.—(Było to w końcu stycznia 1861 roku).

Andrzej hr. Zamoyski deputacyi nie przyjął. (Przez swych agentów, których miał wszędzie, był uprzedzony, co to za deputacya i z czem przychodzi). Tomasz hr. Potocki, chociaż niechętnie zgodził się na przyjęcie deputacyi, lecz członków jej powitał grzecznie i oświadczył, że „podziela w zupełności zdania, wyrażone w adresie, a nawet sądzi, że w danej chwili rzecz byłaby możliwą do przeprowadzenia, byle tylko nie zbaczać z drogi legalnej. Osobiście będzie wszelkiemi siłami popierał myśl podania adresu do cesarza, i głośno to oświadczy gdzie potrzeba—zobowiązań wszakże żadnych naprzód nie przyjmuje.

Generał Lewiński [1] powiedział deputacyi, że nie rozumie dobrze celu, w jakim do niego przychodzą, gdyż on obecnie jest już tylko ruiną, przypuśćmy nawet, że poważną, ale zawsze tylko ruiną—bez wpływów i znaczenia. Zresztą podziela opinie, wypowiedziane w adresie młodzieży, pochwala je i rad jest bardzo z obranego kierunku.

Ludwikowi Górskiemu przyjście młodzieży widocznie było nie na rękę i długo nie umiał znaleźć stosownej odpowiedzi. Lecz, gdy się nieco uspokoił i rozmowa na dobre się ożywiła, zapytał: „A teraz, powiedzcie mi, panowie, otwarcie, czyście już wszystkie wasze żądania wypowiedzieli w tym adresie? czy na tem poprzestaniecie, czy też raz to otrzymawszy, posuniecie się dalej?"

Przewodniczący tej cząstkowej deputacyi oświadczył, że „w tem się zawierają wszystkie ich żąda-

---

[1]) Józef Lewiński, pułkownik wojsk polskich za czasów wielkiego księcia Konstantego, po wybuchu powstania 1830 roku został generałem i pełnił obowiązki szefa sztabu przy *Małachowskim. Ruskij Archiw* z 1879 roku ks. XII, str 459, *mówiąc o generale* Krukowieckim, podaje i o Lewińskim *kilka szczegółów.*

nia i oni na tem poprzestaną", lecz przerwał mu jakiś marymontczyk, podobno nawet nie delegowany, który na własną rękę poszedł z deputacyą — a mownem uniesieniem: „Poprzestaniemy, ale tylko do czasu, gdyż Polacy nie mogą ostatecznie zadowolnić się takiemi drobnostkami! Nie byłbyś pan Polakiem, gdybyś nie czuł, co u każdego z nas leży na dnie duszy. Polska w granicach 1772 roku jest kresem naszych usiłowań, jeśli mamy mówić szczerze i otwarcie!"

— O tem właśnie chciałem wiedzieć moi panowie — odparł na to Górski. — Uzyskać polski uniwersytet w Warszawie, nie sądzę, żeby było rzeczą bardzo trudną, wobec usposobienia panującego w Rosyi, gdy rząd sam przez się skłania się do licznych ustępstw. Lecz chcąc iść dalej, odbierać Polskę od morza do morza, na to potrzeba przedewszystkiem licznej armii i ogromnych pieniędzy, na czem nam najzupełniej zbywa Nie równa to walka — karła z olbrzymem. Powiedzieliście, że jestem Polakiem i to jest najzupełniejszą prawdą; myśli i dążenia nasze nie w jednem są wspólne; nie mniej od was pragnę dla Polski szczęścia i pomyślności, lecz dla odzyskania bytu politycznego nie pójdę drogami, które, według mego najgłębszego przeświadczenia, nietylko, że są nadzwyczaj ryzykowne i w skutkach swych problematyczne, lecz wprost prowadzą do zguby ojczyzny. I ja wam szczerze i otwarcie powiem: dla sprawy, którą przedsiebierzecie, palcem nawet nie ruszę!" — I tem ich pożegnał.

Kronenberg przyjął wysłaną młodzież w swem pysznem biurze przy ulicy Marszałkowskiej, jak to mówią, z otwartemi rękami i rozpromienionem obli czem. Dla człowieka, jak on ambitnego i chorują cego na popularność, nadzwyczaj było pochlebne, ż został zaliczony do rzędu znakomitości warszawskic W *tym* uprzejmym bankierze, który w tej chw *przyjmował* deputacyę młodzieży polskiej, niktb

poznał tego niedawnego, zaciętego, zgrzytającego zębami i płaczącego ze złości przewódcę żydowstwa, któregośmy przed paru laty spotykali w Warszawie i Petersburgu. W tej chwili był to zapalony polski patryota, myślący tylko o Polsce i gotowy na wszelkie dla niej ofiary; nagadał deputacyi mnóstwo najprzesadniejszych uprzejmości i przyobiecał ze swej strony uczynić wszystko dla poparcia ich zamiarów.

Szlenkier również uprzejmie przyjął deputacyę, oświadczając, że dzieli ich zasady i popierać będzie ich zamiary wśród tych kół kupieckich, w których pewien wpływ posiada.

Za to bankier Rosen — przyjął wysłanników jak najgorzej, nawet nie uznał za potrzebne przywdziać do nich surduta, spotkał ich, jak był, w szlafroku, i nie poprosił usiąść. — „Co za adres? co zamyślacie panowie? — przemówił szybko. — Wiem, czem to pachnie. Idźcie do innych i śpiewajcie im piosnki o adresach; ja do takich ryzykownych i niebezpiecznych rzeczy się nie mieszam!"

Powiadają, że Kronenberg, dowiedziawszy się o tak nieprzyzwoitem przyjęciu młodzieży przez Rosena, pojechał do niego i usposobił inaczej...

Fukier przyjął młodzież, jak rodzonych braci... Najbardziej mu się podobał ustęp adresu, w którym wypowiedziano, że rozszerzenie przez polski uniwersytet oświaty w kraju, przyczyni się do zrównania stanów: szlachty z kupcami, mieszczan z rzemieślnikami... „Wiecie co, panowie! wy wprowadzacie przewrót warunków naszego społecznego ustroju! wy tworzycie epokę! Ale czy macie przyobiecane poparcie od kogokolwiek z wpływowych osobistości z naszego kupieckiego świata?"

Gdy mu odpowiedziano, że Szlenker, Kronenberg i inni przyobiecali deputacyi wszelką pomoc — *zawołał:*

„No, kiedy ci obiecali, to nie troszczcie się *o innych.* Ja panowie, jestem człowieczek mały, bez

znaczenia i wpływu — ale mam coś, czego inni nie mają. Proszę was do mojej piwniczki, którą zaszczycali odwiedzinami bardzo i bardzo wysokie figury; należy się nam parę buteleczek na powodzenie waszych zamiarów" [1]). Nie potrzeba zapewniać, że żaden z deputatów nie odmówił zaproszeniu!

Bytność u Kraszewskiego delegaci odkładali na sam koniec, niby na ukoronowanie swych zachodów. Każdy dobijał się o zaszczyt przedstawienia się ówczesnemu największemu luminarzowi na polu piśmiennictwa polskiego. Do cichego i ustronnego domku przy ulicy Mokotowskiej zebrało się bez porównania więcej delegatów, niż u któregobądź innego z potentatów, gdyż w zebraniu tem delegaci stanowili bardzo mały procent, większość zaś składała się z różnorodnej młodzieży. Kraszewski przyjął ich przyjaźnie, szczerze i serdecznie; oświadczył największe swe współczucie dla podjętej myśli i dodał: „wierzę w powodzenie obecnych zachodów, gdyż... Żydzi w to wierzą, a oni na pewno coś przewąchali! Oni wszystko wiedzą, wszystko przeczują!" [2])

Wspomnieliśmy, że deputacye miały odwiedzić wiele innych, jeszcze wybitniejszych osobistości. Prawie wszędzie spotkane zostały słowami współczucia i obietnicami poparcia. Lecz na tem wszystko się skończyło i słowa nigdzie się w czyn nie zamieniły.

Partya czerwona, widząc i wiedząc wszystko, kpiła z deputatów i nikt z prawdziwie czerwonych nie brał na seryo tej uniwersyteckiej ekspedycyi,

---

[1]) Sławna winiarnia Fukiera na Starem Mieście, jeszcze do dziś dnia posiada kilkaset butelek bardzo starych i kosztownych win węgierskich. Niektóre pochodzą jeszcze z XVI wieku, z piwnicy jakiegoś Potockiego. Cesarz Franciszek Józef na swoje wesele kazał sprowadzić kilka butelek tego wina, za które zapłacono po 100 złr. za butelkę. W 1880 roku miało być jeszcze coś około pięćdziesiąt butelek tego wina.

[2]) Dosłownie słyszane z ust jednego z deputatów, którzy byli u *Kraszewskiego.*

nikt się nie powstrzymał w swych działaniach manifestacyjnych. Owszem, jeszcze bardziej utwierdzili się w przekonaniu, że tylko zapomocą nieustających manifestacyi można się będzie dobić jakiegoś skutku. Nawet Jurgens i ci z jego zwolenników, którzy się najbardziej przyczynili do wywołania tego uniwersyteckiego poselstwa, teraz się przekonali, że przy panującem rozbiciu stronnictw, oraz wobec ospałości i zupełnej apatyi najwyższych warstw społeczeństwa, niema co marzyć nawet o urzeczywistnieniu myśli adresu do cesarza, podać się mającego w imieniu całego kraju. Widocznie dziarska młodzież intuicyjnie nie myli się i w swej nienawiści do arystokratów i w swych porywach, dążących do wywołania ogólnego wstrząśnienia, któreby rozbudziło i otrzeźwiło wszystkich bez wyjątku... Odtąd Jurgens, rozmyślając nad wyborem dalszego sposobu postępowania, z coraz większem rozrzewnieniem, z jakąś nieokreśloną lubością przypatrywał się robotom Nowakowskich, Cieleckich, Frankowskich... ci zaś na wyścigi szyli chorągwie, przygotowywali rozmaite manifestacyjne emblematy, obrazy, portrety bohaterów dawnej Polski; drukowali patryotyczne pieśni i wiersze...

Drobne manifestacye, w których przeważnie brała udział niedorosła młodzież, nie ustawały. W wigilią nowego roku wybito okna w mieszkaniu marszałka szlachty, hrabiego Uruskiego, za wydanie balu; za toż samo wybito okna u marszałkowej Kuczyńskiej. Głośno zaś powtarzano, że za parę tygodni odbędzie się manifestacya w wielkim stylu.

W tym czasie jeden z deputatów spotkał na ulicy młodego chłopaka, swego znajomego z Petersburga, należącego do ultra-czerwonych, i wstąpili dla rozmówienia się do winiarni.

— Słyszałem że jesteś członkiem deputacyi — *zaczął młodzieniaszek* — nie macie co lepszego *robić....*

— *Pobądź* no z nami jeszcze z parę tygodni

a zobaczysz co będzie! Przejdziemy całą Warszawę z chorągwiami! Wszystko już przygotowane, jak się należy! Urządzimy niebywałe widowisko.

Ten, do którego to mówiono, chciał pozostać dla przypatrzenia się tej niebywałej rzeczy; lecz jeszcze tego samego dnia został uwięziony wraz z innymi deputatami i wydalony za granice Królestwa, gdzie ich wszystkich z polecenia namiestnika uwolniono, zalecając, by każdy wracał zkąd przybył, nie chwaląc się ze swej warszawskiej wyprawy. Nikt nie został pociągnięty do dalszej odpowiedzialności.

Na parę dni przed uwięzieniem i wywiezieniem deputatów z Warszawy, zaprosił ich pewien bogaty obywatel ziemski na ucztę w hotelu Saskim. Ludzi zebrało się ogrom, pod koniec wszyscy byli w nieco podnieconych humorach i, jak w takich wypadkach zwykle bywa, stali się bardziej szczerymi i otwartymi. Wypowiadano niezliczone kombinacye i wnioski co do rozpoczynających się manifestacyi i ruchu rewolucyjnego. Większość szermierzyła językiem na nutę patryotycznych, lecz nieziszczalnych mrzonek. Jeden tylko stary szlachcic siedział milcząc w fotelu, popijał zwolna węgrzyna i mruczał pod nosem, ale tak, aby go inni mogli słyszeć: „Ej! ej, panowie, nasza pora minęła i nie wróci. Jam nie gorszy patryota od was, zarówno niecierpię Moskali i życzę, żeby ich dyabli wzięli — lecz niestety — oni nas pobiją! Pamiętajcie moje słowa, pobiją. Musimy ustąpić im miejsca na widowni politycznej. Niech oni działają, my zaś pozostaniemy widzami. Myśmy już swoją rolę skończyli dawno, a skończyliśmy dlatego, żeśmy się pozbyli zasobów wiary, która u Moskali żywa jest i pełna. Do nich niestety, należy przyszłość, gdyż, wierzcie mnie, staremu, wiara nie rozum zwycięża!" Niektórzy, słysząc to, pozwieszali smutnie głowy, lecz poważna większość mówiła: „At, podpił stary i plecie od rzeczy!"

I w rzeczy samej, skrajnie-czerwone stronnictwo wszystko przygotowało dla wywołania tłumnej manifestacyi; umiarkowańszy zaś odcień, podrażniony lekceważącym zachowaniem się białych i biernem odrzuceniem projektu, jaki obmyślili właśnie dla uspokojenia gorętszych wśród siebie żywiołów; napastowany ciągle wymówkami o obojętność dla sprawy narodowej; nie wiedząc ostatecznie co począć, połączył się z manifestantami, wychodząc z tej błędnej zasady, że lepiej, chociażby napróżno, zginąć za sprawę ogólną, niż nosić na sobie podejrzenie odstępstwa, braku uczuć patryotycznych i tchórzostwa, niż być potępionym przez wszystko, co nie śpi i jeszcze żyje w kraju. Jurgens, jak było do przewidzenia, znalazł się także w ich liczbie i wspólnie z wczorajszymi przeciwnikami zaczął obmyślać i przygotowywać wszelkie szczegóły niebezpiecznego przedsiewzięcia, i zwolna wyszedł na głównego wodza całej awantury. On rozliczał, że przy pomocy swych stronników potrafi zebrać na danym punkcie miasta do dwóch tysięcy osób; inne kółka obiecywały przyprowadzić co najmniej drugie parę tysięcy; miasto zaś samo, choćby przez ciekawość, coś dorzuci, tak, że zbierze się tłum, który cały zaaresztować nie da się. To nie Asnyk z malcami u św. Krzyża. Gdyby zaś zaszło jakie starcie z wojskiem, tem lepiej; wówczas bez żadnych adresów Petersburg się dowie, jak rzeczy właściwie stoją. (Motywa podane przez Aweydę).

Gdy już rzecz cała była przygotowana, umiarkowańsi zaproponowali, ażeby raz jeszcze popróbować układów z białymi. Wysłano więc ponownie deputacyę do komitetu Towarzystwa rolniczego, z szczegółowem wyjaśnieniem stanu rzeczy i z prośbą, ażeby dla zapobieżenia łatwo wyniknąć mogącej katastrofie zdecydowano się na wysłanie do cesarza *adresu z wyrażeniem* ogólnych żądań kraju, a mianowicie: *polskiego* uniwersytetu w Warszawie, lep-

szego sądownictwa i chociażby już tylko wprowadzenia statutu organicznego.

Komitet Towarzystwa rolniczego oświadczył, jak przedtem, że wszystkie te postulaty przedstawi na zebrać się mającem ogólnem zgromadzeniu Towarzystwa i dołoży ze swej strony wszelkich usiłowań, ażeby uczynić zadosyć wyrażonym tu żądaniom.

Po otrzymaniu takich zapewnień, przewódcy partyi czerwonych zdecydowali się oczekiwać w spokoju na zwołane już ogólne zebranie członków Towarzystwa.

W tem dnia 8 lutego uwięziono Majewskiego, a w kilka dni potem Denela. Wzburzyło to i zaalarmowało czerwonych. Skrajni wyłamali się z karności i krzyczeli, że gdyby biała zaraza nie przeniknęła do ich grona, gdyby nie zmarnowano Bóg wie na czem tyle drogiego czasu, i manifestacya projektowana, ów niewidziany koncert nad koncertami, jużby się odbyła, rząd musiałby robić ustępstwa, a Majewski i Denel byliby wśród swoich! Gdyby zaś nawet przyszło do otwartego starcia i rząd zwyciężył, to wówczas Polacy wiedzieliby przynajmniej, czego się trzymać i jaką drogą nadal mają postępować. Tak zaś, jak jest obecnie, we wszystkiem panuje niepewność, wahanie, bezmyślna cisza i spokój bezcelowy. Trudno nawet wystawić sobie głupsze położenie.

Wśród takiego rozdrażnienia czerwonych i młodzieży zwołane zostało przyobiecane ogólne zebranie członków Towarzystwa na dzień 21 lutego 1861 [1]) roku. Towarzystwo, rozpatrzywszy się w sytuacyi, nie uznało za stosowne podawanie już teraz adresu do cesarza, owszem, sądziło, że krok taki mógłby raczej powstrzymać rozwijające się wypadki. Re-

[1]) *Podług* Spasowicza miało się zjechać do 1500 *członków.*

formy i bez adresu przygotowują się i zostaną wprowadzone; do tego popycha rząd siła zbiegu różnych okoliczności, sympatya dla Polaków samego cesarza i rosyjskiej inteligencyi. Fal, poruszających umysły w całej Rosyi powstrzymać się nie da, ale też nikt o to się nie kusi... Daleko więc roztropniej zachować się spokojnie, oczekiwać biegu naturalnego wypadków i nie drażnić ani cesarza, ani opinii w Rosyi.

Mogliby byli Zamoyski i komitet odezwać się inaczej, gdzieś prywatnie, w domu u którego z zaufanych, lecz nie na publicznych zebraniach, w pałacu Namiestnikowskim, pod okiem komisarza rządowego, nieodstępnie obecnego na wszystkich posiedzeniach Towarzystwa rolniczego.

Muchanow, główny sprawca, że zezwolono na zawiązanie Towarzystwa rolniczego, czuł się moralnie wobec rządu za nie odpowiedzialnym i tem baczniej śledził za wszystkiem, co się w łonie jego dzieje, szczególniej od czasu, gdy się rozpoczęły manifestacye. Wiedział on i widział doskonale, kto się narzuca na doradcę i kierownika jego ulubionego dziecięcia. (*Giller* otwarcie powiada, że czerwoni starali się wciągnąć Towarzystwo rolnicze do swoich zamiarów, skłonić je do założenia protestu przeciw wszelkim obostrzeniom ze strony rządu, i w końcu doprowadzić do podania adresu do cesarza).

Odpowiedziano więc czerwonym, że towarzystwo nie może narażać swego istnienia i do pewnego stopnia powierzonych sobie interesów kraju. Ono zajmuje się przeważnie sprawami ekonomicznemi i rolniczemi, a wszelkie inne sprawy nie wchodzą w zakres działania Towarzystwa.

Odpowiedź ta, a szczególniej ton, w którym była dana, wywołała oburzenie czerwonych, natychmiast więc postanowiono przekonać szlachtę, że oni „czerwoni” nie są żywiołem tak nieznaczącym w kraju, jak sądzą ci „urodzeni wodzowie i kierownicy

społeczeństwa, którym jakoby powierzone zostały jego interesy!" że oni, chociaż młodzi i niedoświadczeni, jednak przedstawiają siłę, z którą koniecznie liczyć się potrzebują nietylko „zmartwiałe męty, osad i pleśń narodu", lecz nawet i rząd, dzierżący w ręku władzę.

Uchwalono więc zerwanie stosunków z białymi wszelkich odcieni i wywołanie wielkiej jakiejś manifestacyi. Omówiono jej plan ostateczny i gorączkowo przystąpiono do jego wykonania.

Stan średni, burżuazya warszawska, wiedząc o zamysłach młodzieży i widząc całe ich niebezpieczeństwo i cel chybiony, głośno się odzywali, że obowiązkiem jest starszych zapobiedz i niedopuścić do wykonania tego, co uważają za szkodliwe dla kraju. Należy więc przedewszystkiem uspokoić zapalonych, a to się nie da uskutecznić inaczej, jak tylko przez wystosowanie adresu do cesarza; a więc napisać adres i wysłać go do Petersburga bez względu, co powiedzą na to hr. Zamoyski, Towarzystwo rolnicze, oraz ich satelici, zebrani w Warszawie.

Gdy jednak przyszło do zredagowania adresu, nie umiano dać sobie rady; zbierano się bez przerwy rozprawiano i radzono hałaśliwie, jednak do żadnego praktycznego rezultatu nie doprowadzono. Wybrano komitet, lecz i ten adresu nie zredagował.

Wśród tych daremnych usiłowań różnych kół, a po części i Towarzystwa rolniczego, pewnego dnia przybył do Kraszewskiego Zygmunt hr. Wielopolski, najstarszy syn margrabiego, z oświadczeniem, „że po mieście obiega pogłoska, jakoby jakieś grono osób układało adres do cesarza, i nie może się zgodzić na jego ostateczną decyzyę. Tymczasem, każda chwila jest drogą, czerwoni wszystko mogą sparaliżować przez manifestacyę, z którą zamierzają wystąpić w dniu 25 lutego; na wypracowanie tak *ważnego aktu* niema dosyć czasu i spokoju, *taka rzecz nie da* się napisać na kolanie. Otóż on, w imie-

niu ojca oświadcza, że adres taki jest, od dawna spokojnie obmyślany i napisany, że gdyby ten adres zyskał uznanie i został przyjęty, margrabia gotów z nim jechać do Petersburga i ręczy wszystkim za pomyślny skutek."

Kraszewski przyrzekł zwołać w tym celu swoich znajomych.

Jak to urządził, czy zaraz, czy nazajutrz, dokładnie nie wiadomo; w każdym razie nie zwłóczył, gdyż czasu nie było do stracenia.

Adres margrabiego, była to obszerna praca, w której wiersz każdy, niemal frazes i słowo każde, było obmyślane i rozważone. Praca nie dnia jednego ani miesiąca, ale praca lat całych, rozpoczęta jeszcze w 1856 roku, a ukończona w dopiero co opisane chwile burzliwe. Adres zaczynał się od wyrażenia monarsze głębokiej wdzięczności za wszystko, nadane Polakom od czasu jego pierwszej bytności w kraju. Następnie upraszał o puszczenie w niepamięć przeszłości, o zaufanie szczerym intencyom ludności, a tylko z daleka i delikatnie wspominał, że miejscowe władze Królestwa nie w zupełności zastosowały się do wspaniałomyślnych obietnic, wypowiedzianych przez cesarza dnia 27 maja 1856 r. w Łazienkach, i dlatego dotychczas kraj nie posiada właściwego organu, za pośrednictwem którego mógłby przedstawić monarsze swe żywotne potrzeby, i który mógłby być tych potrzeb orędownikiem u tronu. — (*Lisicki* tom II, str. 24—37).

Zebrani u Kraszewskiego zauważyli, że mimo wielu znakomitych zalet, w adresie margrabiego jest potępienie 1830 roku, jakkolwiek, nie bardzo surowe ale stanowcze; zawsze potępienie, na które Polakowi trudno się zgodzić i to jeszcze w jakiej chwili? gdy w kraju gotują się do powstania stokroć nieoględniejszego i nieroztropniejszego, a jednak znajdują szerokie i gorące poparcie... tak, że należy się spodziewać, że powstanie prędzej do skutku przyjdzie, jak nie... Chyba, żeby to jakoś zmienić, zła-

godzić, albo najlepiej zupełnie opuścić te wszystkie niedogodne ustępy?...

— Ani zmienić, ani wyrzucić nic się nie da, gdyż cała praca stanowi organiczną całość, którą w całości przyjąć, albo też odrzucić można — oświadczył obecny na zebraniu syn margrabiego.

— A więc próżna dalsza dyskusya, gdyż to nie doprowadzi do żadnego rezultatu — odezwał się ktoś z obecnych.

Hr. Zygmunt odebrał adres i wrócił do domu. Wszakże dumny i uparty margrabia, przyzwyczajony od dawna iść na przebój w życiu, nie opuścił rąk po tem pierwszem niepowodzeniu i spróbował szczęścia u białych. Łączyły go dosyć ścisłe stosunki z Tomaszem hr. Potockim, więc poprosił go o toż samo o co prosił Kraszewskiego, to jest by zebrał kółko swych poważniejszych znajomych i odczytał im przygotowany adres. Potocki zaprosił, kogo uznał za stosowne i posłał do margrabiego po adres, lecz ten osobiście przybył do hr. Tomasza. Gospodarz nie wprowadził go jednak na zebranie, lecz sam przedstawił tę pracę zgromadzonym. Rozpoczęła się dyskusya; uwagi przeważnie były niechętne; gdy jednak projekt znalazł także zwolenników, gorące rozprawy trwały do 4 rano. Ostatecznie większość oświadczyła się przeciw adresowi.

Margrabia oczekiwał wyniku w gabinecie gospodarza.

— Robiłem, co mogłem, bracie! i wszystko na próżno! — rzekł gospodarz, wchodząc o piątej rano do dobrowolnego więźnia. Na twarzy Wielopolskiego nie drgnął żaden muskuł, nie przemknął nawet cień jakiegoś niezadowolenia lub wzruszenia. Milcząc, włożył papier do kieszeni i, uścisnąwszy rękę gospodarza, odjechał [1]. W myśli atoli dodał:

---

[1]) W *Wiestniku Europy* za luty 1881 r. i dziele swem o *Wielopolskim*, Spasowicz na podstawie opowiadań Jurgen-

„stało się; w domu, między swoimi wszystkich dróg próbowałem, napróżno; teraz nie pozostaje nic innego, jak pomówić z Moskalami."

Tymczasem generał Jołszyn, naczelnik trzeciego okręgu żandarmskiego, uwiadomiony przez żonę swą Polkę o wielu rzeczach, które się działy, lub które się przygotowywały w mieście, ostrzegł namiestnika, że na 25 lutego przygotowuje się jakaś demonstracya na polach Grochowa, jakiś obchód żałobny na ogromną skalę, i doradzał, by zawczasu obmyśleć kroki w celu niedopuszczenia do tej demonstracyi.

Gorczakow zaraz posłał po szefa tajnej policyi, i zapytał o co tylko otrzymaną, wiadomość. Generał Paulucci, od pewnego czasu zachowujący się nader dwuznacznie, niewiadomo, czy wiedział co, lub czy też zupełnie nie wiedział o tem, co się przygotowywało, upewnił wszakże Gorczakowa, „że wszystko jest spokojne, a strachy są wytworem bujnej imaginacyi Jołszyna [1]).

---

sa podaje: że u Tomasza Potockiego na długo przedtem zbierali się mężowie zaufania w liczbie 16, wybrani z Towarzystwa rolniczego, dla rozpatrywania i decydowania wszystkiego, co się odnosiło do działalności partyi czerwonych w kraju. Ciż sami mężowie zaufania rozpatrywali i adres Wielopolskiego, wszakże na zebraniu tem było kilka innych, wybitniejszych osób zaproszonych przez Potockiego. —*Lisicki*, „Le marquis Wielopolski", tom II, str. 129—140 i *Jeziorański*, „Pamiętniki", tom I, str. 42—44, mówią, że Potocki przedstawił i bronił projektu adresu w mieszkaniu hrabiego Andrzeja dnia 27 lutego 1861 roku. *Jeziorański* dalej przytacza, że Wielopolski, gdy mu powiedziano, że projekt jego nie został przyjęty, miał się odezwać: „postąpili głupio i niepraktycznie. Adres jakiego im się zachciewa, obrazi cesarza... w żaden sposób nie chcą zrozumieć, że panowanie ich chwilowe, a zwycięstwo ich to tylko pozorna wygrana i nic więcej!" *Lisicki* dodaje, że Wielopolski przytem powiedział: „Towarzystwa rolniczego nie ocalą i kraj zgubią!"

[1]) Margrabia Amilkar Paulucci, rodem z Włoch i katolik, po ukończeniu nauk na uniwersytecie w Modenie

Na takie zaręczenie Paulucciego, Gorczakow oświadczył Jołszynowi, że obowiązkiem żandarmeryi jest zapobieganie rzeczywistości, a bynajmniej nie wymyślanie płonnych strachów.

Po wysłuchaniu takiej wymówki, Jołszyn podał się do dymisyi i został uwolniony dnia 20 lutego 1861 roku z pozostawieniem w polowym audytorya-

---

i następnie w tamtejszej wojennej akademii, zaciągnął się do wojska Modeńskiego, z którego przeszedł do służby rosyjskiej, wszakże poddaństwa rosyjskiego nie przyjął. Zamianowany oficerem w 21-szym roku życia, brał udział w wojnie polskiej, i za odznaczenie się w boju został przeniesiony do gwardyi. We wrześniu 1832 roku zostaje adjutantem generał-adjutanta hr. Kreutza, dowódzcy drugiego korpusu armii, z przeniesieniem do linii. W 1836 roku, za wyszczególnienie się w służbie, ponownie zaliczony do gwardyi, z pozostawieniem na tem samem stanowisku, na którem w 1844 roku dosłużył się stopnia kapitana gwardyi.

W tym czasie zawakowała posada szefa tajnej policyi w Warszawie. Paskiewicz, wiedząc już z doświadczenia, jak dobre usługi na takich stanowiskach oddają cudzoziemcy, zaproponował Paulucciemu objęcie tej posady. Paulucci oświadczył, że najchętniej przyjąłby ten obowiązek, lecz wzgląd na żyjącą jeszcze we Włoszech staruszkę matkę, zmusza go na razie do nieprzyjęcia propozycyi. — Przecież wiecznie żyć nie będzie — powiedział feldmarszałek i nie obsadzał opróżnionej posady. Gdy w 1845 r. sztab drugiego korpusu opuszczał Warszawę, Paskiewicz przeniósł Paulucciego do głównego sztabu czynnej armii. W miesiąc potem Paulucci zameldował namiestnikowi, że właśnie otrzymał wiadomość o śmierci matki, i że od tej chwili jest na rozkazy księcia feldmarszałka; wskutek czego tegoż samego dnia został zamianowany urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy głównodowodzącym (5 czerwca 1845 r.). W tym charakterze odbył przy boku Paskiewicza kampanię węgierską, i następnie wrócił do Warszawy, spełniając wszelkie dawane mu poruczenia gorliwie, pomysłowo i oględnie, za co, oprócz stopnia pułkownika, otrzymywał liczne ordery od wszystkich trzech dworów rozbiorowych.

Gdy ks. Gorczakow został namiestnikiem i naczelnym wodzem pierwszej armii (w marcu 1856 roku), Paulucci pozostał na dawnem stanowisku, lecz znacznie osłabł w gorliwości. Mimo to miał zaufanie swego nowego przełożonego, w sierpniu 1856 r. awansował na generała.

cie (*Gazeta Rządowa Królestwa Polskiego* 1861 rok, nr 61, str. 378) [1]).

Jednakże Kotzebuemu, Muchanowowi i oberpolicmajstrowi miasta Warszawy udało się przekonać księcia Gorczakowa, że w mieście przygotowuje się żałobna manifestacya na dzień 25 lutego. Gorczakow zapytał Petersburg, jak się ma zachować w razie, gdyby projektowane na polach Grochowa nabożeństwo miało przyjść do skutku? — Podobno odpowiedź miała brzmieć: „Niech się modlą za swoich, a wy odprawcie nabożeństwo za naszych poległych".

O odpowiedzi tej, prawdziwej czy zmyślonej, wnet wieść rozbiegła się po mieście. Rosyanie zastanawiali się, w jaki to sposób uda sie w jednem miejscu urządzić jednocześnie nabożeństwo dwóch różnych wyznań i w imieniu dwóch różnych narodo-

---

Po pierwszych manifestacyach 1859 roku zaczął okazywać szczególniejszą opieszałość a nawet wprost kokietowanie z Polakami, gdy jednocześnie jego właściwa ojczyzna, nowe Włochy, podawały rękę wszelkim rewolucyonistom świata, a zatem i polskim.

Raz w rozmowie z generałem Sawinem odezwał się: „A co? jacy Polacy! ciekawym, co teraz z nimi zrobicie?" — Dlaczego nie powiadasz „zrobimy" — zauważył Sawin. — Bo jestem Włochem, złożyłem waszą służbową przysięgę, lecz nie przyjąłem waszego poddaństwa!

W końcu Paulucci tak się stał opieszałym w służbie, że rząd był zmuszony dodać mu pomocnika w osobie pewnego Podwysockiego, który w 1853 i 1854 służył w armii południowej, lecz, wskutek podejrzeń wydalony z wojska, dostał się do komisyi wyznań i oświaty w Warszawie, gdzie rozkazem namiestnika z dnia 24 maja 1861 roku powołany został na to nowe stanowisko.

[1]) Następnie generał Jołszyn został komendantem Dynaburga, lecz i tam mu się nie wiodło. W kwietniu 1863 wysłał z nieliczną eskortą transport broni i amunicyi który pod wsią Krzesławką został zabrany przez powstańców. Murawiew nieoględnego komendanta oddał pod sąd wojenny, czem Jołszyn tak się zirytował, że ze wzruszenia śmiertelnie zachorował i już z tej choroby nie wyszedł.

wości? Rozprawiano o tem i w rosyjskim klubie. Lecz sama przyroda przyszła w pomoc rozwiązaniu tego trudnego zadania. Wskutek silnej odwilży, lód na Wiśle w wielu miejscach ruszył, z czego korzystając policya nakazała sprowadzenie mostu łyżwowego. W istocie 23 lutego Wisła ruszyła i komunikacya między Warszawą a Pragą została przerwaną. Wówczas to Jurgens przeniósł pole działania na Stare Miasto, owo tradycyjne „serce Warszawy“, jak się wyraża Aweyde.

Jest jakaś powaga w tem Starem Mieście miasta Warszawy. Tutaj początki dawnej, starożytnej Warszawy, stolicy książąt mazowieckich. Lubownik starożytności przepędzić tam może niejedną godzinę na rozglądaniu się po tych oryginalnych, wysokich a wązkich domach, po tych szczególnych przyczółkach, bogatych w różne starożytne ozdoby i postacie świętych. Domy te ścieśniają się w cztery ściany równoległoboku, na którym skupiały się przed laty—główne życie i ruch stolicy. Wejścia do tych domów o dwóch, a nawet o jednem oknie, przypominają raczej furtki forteczne niż drzwi nowoczesne, tak są zamczysto a zarazem sztucznie i ozdobnie okute. Nad każdem wejściem umieszczone jakieś godło: okręt, lew, krzyż... wszystko to niegdyś bywało świadkiem lepszej, świetniejszej przeszłości, niepowrotnych, sławnych czasów Polski. Nic więc dziwnego, że każdy Polak, biały czy czerwony, pogodzony lub oporny Rosyi, jeśli w piersi nosi serce a nie kawał drzewa, gdy się znajdzie na rynku Starego Miasta, doznaje dziwnego uczucia; z martwych powstaje przeszłość jego, w oczach się roją, Bóg wie, jakie widziadła i marzenia, a łza wilży powieki.

Rosyanie zaś mogą przypomnieć, że na tym placu rozległo się właśnie sławne „słyszę“ Tarasa Bulby. (Z powieści małoruskiej M. Gogola).

Obecnie Stare Miasto jest sobie zwykłym rynkiem, zapełnionym osobliwszymi sklepikami i stra-

ganami przekupek i tandeciarzy. Gwar i krzyki przekupniów i drobnych handlarzy wszystko zagłuszają. Ruch tam wre ciągły od rana do nocy. Na środku placu wznosi się statua Syreny z szablą w ręku, herb miasta Warszawy, godło, zdobiące wszelkie miejskie studnie i fontanny. I tu Syrena chroni wodotrysku.

Warszawianie prawdziwie kochają się w swem Starem Mieście; mieszkańcy tej części miasta, tak już przywykli do swych mieszkań, że prawie się z niemi nie rozstają. Gdy o św. Janie, lub św. Michale, zwykłych terminach wynajmowania mieszkań, ulice Warszawy roją się od wozów, przewożących meble i ruchomości — Stare Miasto wcale nie odczuwa tej gorączki, w niem niezamącony spokój panuje.

Zrozumiemy więc dlaczego, gdy wyprawa na pola Grochowa napotkała na niezwalczone przeszkody, Jurgens się zwrócił do Starego Miasta.

Gdy wreszcie do grona przywódców przyłączył się wypuszczony dnia 20 lutego z cytadeli Karol Majewski, cały ruch jeszcze się bardziej ożywił. W całej Warszawie mówiono o przygotowującej się manifestacyi, jakby o jakim balu publicznym. Z rąk do rąk przechodziło następujące drukowane wezwanie:

„Wzywamy was, bracia, do jak najliczniejszego zebrania się dnia 25 lutego, w poniedziałek o godzinie pół do szóstej wieczorem na rynku Starego Miasta, w celu uroczystego obchodu trzydziestoletniej rocznicy zwycięstwa Polaków na polach Grochowa"!

Odezwę tę nietylko rozdawano przechodniom, lecz i rozlepiano po rogach ulic tak jawnie, że policya przyłapała na gorącym uczynku ucznia szkoły sztuk pięknych, z pędzlem, klajstrem i odezwami.

Zdawałoby się więc, że rząd z wszelką łatwością mógł przeszkodzić manifestacyi. Wszak najdokładniej było wiadomem, gdzie, kiedy i co ma nastąpić.

Lecz książę Gorczakow dla jakichś wyższych względów nie kazał zaczepiać nikogo, ani dochodzić źródła odezw, oczekując biernie rozwoju dalszych wydarzeń[1]).

Policya już i bez tego silnie zdemoralizowana, widząc takie folgowanie rządu opuściła zupełnie ręce i dozwoliła wysłańcom Jurgensa i Majewskiego uprzątnąć z rynku wszystkie żydowskie budki, jatki i stragany, wszystkie stoły, ławy i koszyki. Oberpolicmajster, nauczony świeżym przykładem generała Jołszyna, machnął na wszystko ręką i ani troszczył się o to, co się działo na Starem Mieście.

Ku wieczorowi tłumy ludu ze wszech stron popłynęły na rynek, i gdy wkrótce w natłoku ruszyć się prawie nie można było, wówczas wystąpiła policya, wzywając przybyłych do rozejścia się. Ma się rozumieć, że nikt nie myślał o usłuchaniu wezwania. Łobuzy wdawali się z policyantami w dysputy. Gdy zapytywał którego: „Czego tu stoisz"? odbierał odpowiedź. „A sam czego stoisz"?—„Ruszaj, nie wolno się zatrzymywać"—„Cóż to? niewolno stać na ulicy! a gdzież to napisano"?

Podobne przekomarzania toczyły się na różnych punktach, często wśród żartów i poufałej rozmowy samychże policyantów z publicznością, którzy także byli radzi, że się coś „na złość Moskalom" urządza, jak wtedy powszechnie mówiono.

Zresztą należy dodać, że w tych warunkach, nawet przy najlepszych chęciach, policya była za słabą, by coś poradzić mogła. Na kilkotysięczne, ciągle wzrastające tłumy, cóż znaczyła setka poli-

---

[1]) Hrabia Kotzebue mówił autorowi, że na to postanowienie namiestnika głównie wpływały wskazówki jego stryjecznego brata, księcia kanclerza, który prawie w każdym swym liście powtarzał: *ne faites pas de ces petits désordres une question politique et diplomatique*.

cyantów; oni formalnie zniknęli w tem zbiegowisku [1]).

Podczas tego na Zamku naradzano się: „co robić“?

Oberpolicmajster radził wysłać stojące na placu zamkowym wojsko i rozpędzić zbiegowisko siłą. (Od ulicy Świętojańskiej do Zjazdu stał batalion piechoty, sotnia kozaków i dwa plutony żandarmów). Książe Gorczakow polecił wszakże oberpolicmajstrowi, by przedewszystkiem osobiście sprawdził, co się dzieje na Starem Mieście, i czy koniecznie potrzeba będzie uciec się do tak energicznych zarządzeń.

Pułkownik Trepow pojechał powozem, lecz znalazłszy się wśród zbiegowiska, wysiadł i śmiało wszedł w tłum. Powiadają, że spotkała go tam niemiła przygoda... czy naprawdę, na pewne twierdzić trudno — lecz zaraz po mieście przyśpiewywano, że:

Na Starem Mieście, przy wodotrysku,
Pan policmajster dostał po pysku!

Ma się rozumieć, że pułkownik wrócił pośpiesznie na Zamek i doniósł namiestnikowi, że bez użycia siły porządek nie da się przywrócić.

Wówczas dopiero książę Gorczakow upoważnił go do rozpędzenia tłumów przy pomocy żandarmów.

W tym samym czasie kierownicy manifestacyi: bracia Frankowscy, Szachowski, Nowakowski, Wasilewski (naczelni przywódcy, jak: Jurgens, Majewski, Godlewski nie pokazywali się wśród tłumów), w otoczeniu co najrezolutniejszych i roztropniejszych rzemieślników i czeladzi, wyruszyli procesyą

---

[1]) W początkach 1861 r. skład policyi wynosił: stójkowych 500; podoficerów 27; wachmistrzów 6; naczelnik, oficer sztabowy 1; rewirowych 120; komisarzy 11 — razem 665 ludzi. (Ze źródeł urzędowych).

z kościoła księży Paulinów (róg Freta i Długiej) ku rynkowi, poprzedzani chorągwią narodową (którą niósł szewc Poradowski) i drugą z wyobrażeniem Matki Boskiej Częstochowskiej, oraz innemi chorągwiami o barwach narodowych. Śpiew patryotyczny i po raz pierwszy rozwinięty sztandar z białym orłem, wywołały entuzyazm nie do opisania. Wszystko rzuciło się ku chorągwi. Policyanci, którzy w tej chwili poczuli się takimiż Polakami, jako zebrane tłumy, dali pokój ulicznikom i zespolili się uczuciami, a nawet okrzykami z ludem, który zwolna, poprzedzany sztandarem, ruszył w kierunku ulicy Świętojańskiej, ku Zamkowi. U Zapiecka, na początku ulicy Świętojańskiej, tłum spotkał się z żandarmami Trepowa. Nastąpiło krwawe starcie. Chorągiew, wyrwaną Poradowskiemu, podjął student Przesmycki, od którego ją ostatecznie odebrano. W końcu tłum ustąpił, pozostawiając na placu, jako trofea, połamane chorągwie i niedopalone pochodnie. U ośmiu uwięzionych, między którymi nie było nikogo z wybitniejszych osobistości, znaleziono proklamacye Mierosławskiego i portrety Kilińskiego, szewca i pułkownika Kościuszkowskiego, ofiarowane „braciom rzemieślnikom i braciom chłopkom na pamiątkę uroczystego obchodu zwycięstwa, odniesionego przed 30-stu laty nad Rosyanami, przez ojców ich na polach Grochowa".

Niepomyślny rezultat wystąpienia nie zniechęcił wcale manifestantów. Postanowili powtórzyć widowisko dnia 27-go lutego, urządzając procesyę z Leszna przez Stare Miasto, ulicę Świętojańską ku Zamkowi, dalsze działanie pozostawiając okolicznościom.

Nie drukowano ani też nie rozlepiano żadnych wezwań, tylko ustnie wydano hasła, gdzie należało. Tymczasem zaś z oburzeniem powtarzano o barbarzyństwie Rosyan, napadających i mordujących bezbronnych ludzi. Na wzór Węgrów z 1848 roku, nastrzępiono cylindry na znak żałoby.

Policya dowiedziała się jednak, że się coś przygotowuje u Karmelitów na Lesznie. Postawiono tam straże, a gdy lud zaczął się gromadzić, oberpolicmajster udał się osobiście na Zamek i zażądał od namiestnika rozkazów.

Polecono mu, by z plutonem piechoty i z oddziałem policyi stanął przy kościele Karmelitów na Lesznie. Jeśli się tam będzie odprawiać tylko żałobne nabożeństwo, chociażby z towarzyszeniem hymnów patryotycznych, to nie przeszkadzać i nikogo nie zaczepiać. W razie wyruszenia procesyi, postępować za nią spokojnie.

Gdy się to działo na mieście, Towarzystwo rolnicze odbywało swe obrady w pałacu Namiestnikowskim. Prezes Towarzystwa, uważając, że położenie nie jest zupełnie bezpieczne, a przytem chcąc okazać, że się Towarzystwo nie łączy z ulicznemi zajściami, zażądał [1]) od namiestnika ochrony wojskowej, na wypadek najścia Towarzystwa z ulicy, czego się obawiano. Namiestnik polecił oberpolicmajstrowi uczynić zadosyć temu żądaniu.

Trepow wysłał do pałacu Namiestnikowskiego batalion piechoty i kilku żandarmów z ordonanshauzu, sam zaś udał się na Leszno, jak miał polecone.

Gdy przybył na miejsce, kościół był już natłoczony publicznością: studenci, akademicy, uczniowie różnych szkół, rzemieślnicy i młodzież cywilna w żałobie. Odprawiało się nabożeństwo za poległych w 1831 roku Nie zaszło nic podburzającego. Jedynie zaczęto śpiewać bez księży suplikacye, potem jakąś antyfonę do Matki Boskiej. Po skończonem nabożeństwie, kilkanaście głosów krzyknęło: „Obywatele miejscy i wiejscy, wiwat! Dziękujemy wam!“ Zaraz jednak ktoś stłumił okrzyki uwagą, że to kościół. Hymnów zupełnie nie śpiewano.

---

[1]) *Fałsz.—Przypisek tłómacza*

Po nabożeństwie, koło godziny jedenastej, lud wyruszył z kościoła w procesyi z kościelnemi chorągwiami, kierując się przez Przejazd na ulicę Długą. Kierownicy (także nie główni) wołali na przechodniów: „Panowie! prosimy na środek!" Spotykanych w powozach proszono, by wysiedli i szli za procesyą; wielu zastosowywało się do żądania. W ten sposób tłum postępujący wciąż wzrastał. Na Lesznie nie było więcej jak tysiąc osób; gdy się zbliżali do Długiej, już się zebrało do trzech tysięcy, w końcu obliczano tłum na sześć tysięcy ludzi.

Za procesyą, podług polecenia namiestnika, postępował pluton piechoty.

Z ulicy Długiej procesya skręciła na Gołębią i tu, uszykowawszy się przed kościołem księży Paulinów, zaintonowała *Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny!* Wszyscy obecni odkryli głowy. Toż samo zrobili żołnierze eskortujący procesyę [1]. Ze śpiewem tym ruszono na Stare Miasto, gdzie z któregoś okna podano duży obraz Matki Boskiej. W ulicy Świętojańskiej rozdawano z okien krzyżyki i obrazki świętych; młodzież zawieszała je na laskach i niosła potem na ramieniu.

W zamku wiedziano o zbliżającej się procesyi i nakazano na placu zamkowym ustawić się wojsku, w sile batalionu piechoty i sotni kozaków, którymi dowodził Asauł Zawarow [2]).

---

[1]) Zeznanie Boguckiego, adjunkta z drugiego cyrkułu, złożone w sprawie „o zajściach z dnia 27 lutego 1861 roku w Warszawie". Dalszy opis przeważnie zaczerpnięty jest z tychże aktów, zawierających zeznania i sprawozdania różnych osób.

[2]) Pułkownik Krywonosow zapisuje w swym dzienniku, że Gorczakow nie otrzymał z Petersburga ścisłych instrukcyi, jak ma postąpić w razie ponownych zbiegowisk. Podobno na depeszę, donoszącą o zajściach z dn. 25 lutego, *otrzymał* odpowiedź: „Dobrze. Wydaj zarządzenia, jakie *uznasz* za konieczne. Oczekuję dalszych wiadomości". Trudno wszakże powstrzymać się od uwagi i zapytania: Po co

Gdy procecya znalazła się u wylotu ulicy św. Jana, zagrodził jej drogę Asauł Zawarow z pół sotnią kozaków i wezwał lud do rozejścia się. Zawarow przemawiał po polsku jak umiał, lecz nie chciano go słuchać i pchano się naprzód. Manifestacya zmieniła charakter; procesya znikła bez śladu, pozostał lud, tłoczący się ku kolumnie Zygmunta i Krakowskiemu Przedmieściu, gdzie chciano zapytać obradujące w pałacu Namiestnikowskim Towarzystwo rolnicze, czy to prawda, że zażądało ono ochrony wojskowej w obawie napaści własnych swych współrodaków?

Zawarow widząc, że upomnienia skutku nie odnoszą, wydał rozkaz przypuścić na lud atak nahajkami (*udarit' w nagajki*). Tłum jednak tak był w ulicy stłoczony, że nahajki nic poradzić nie mogły. Lud nieco się cofnął i stał nieruchomy. Na przodzie stało trzech jegomościów z obrazami, między którymi i ów obraz Matki Boskiej ze Starego Miasta Zawarow nakazał kozakom odebrać te obrazy. Przy starciu, jakie nastąpiło, jeden ołtarzyk upadł i rozbił się na kawałki, dwa drugie gdzieś zniknęły, i znów wobec kozaków stał tłum ludu ścianą nieruchomą.

Może po kwadransie oddzieliła się z tłumu gromadka młodych ludzi, z powierzchowności wyglądających na wiejskich obywateli, i zbliżywszy się do Zawarowa, prosili o przepuszczenie ich na Krakowskie Przedmieście, gdyż podążają na posiedzenie Towarzystwa rolniczego, jako członkowie tegoż. Zawarow ich puścił, zą nimi przeskoczyło kilkunastu innych, nie żądając już pozwolenia, i podążyło do tłumów, zebranych po drugiej stronie placu Zamkowego, przed kościołem księży Bernardynów, i śpiewających *Boże coś Polskę!*

---

te instrukcye na każdym kroku? Paskiewicz nikogo nie *pytał o takie* drobnostki, ale, i tylko w razie zajść ważniejszych, *donosił* cesarzowi, jak i dlaczego co zarządził.

Dla rozpędzenia tego drugiego zbiegowiska, Zawarow posłał drugą pół-sotnię swych kozaków z uriadnikiem Czernobrowym.

Zaraz za kościołem OO. Bernardynów wznoszono wówczas gmach Resursy obywetelskiej. Na ulicy leżały stosy cegły i kamieni, przygotowane do budowy. Kozaków przywitał tłum tymi materyałami przy głośnym okrzyku „hura!” Czernobrow nadto zdał raport, że ktoś na kozaków rzucił butelką, podaną sobie z kościoła.

Po siedmiokrotnem uderzeniu na tłumy, kozacy przyszli do przekonania, że są za słabi, nietylko do rozpędzenia coraz to liczniej napływające go ludu, ale nawet do utrzymania go na wodzy.

Tego dnia w kościele OO. Bernardynów odbywał się pogrzeb urzędnika Łempickiego. Przed głównem wejściem do kościoła stał przygotowany karawan. Gdy wyniesiono trumnę z ciałem nieboszczyka i ustawiono na marach, wysunął się przed karawan dziadek kościelny z krzyżem i ksiądz, prowadzący kondukt. Kierownicy zaburzeń skorzystali z tego i przyłączyli się do pogrzebu, który ruszył przy śpiewie hymnów przez kościół przepisanych.

Lecz kozacy Czernobrowa i przysłani im z pomocą w pół sotni Reutowa mieli wyraźny rozkaz nie przepuszczania żadnej procesyi. Zabiegli więc drogę konduktowi, przyczem i ksiądz i dziadek z krzyżem oberwali po plecach. Artyści manifestacyjni natychmiast skorzystali z tego i wnet rozległy się krzyki, pełne zgrozy i oburzenia: „Krzyże nam łamią, bezczeszczą świętość!“ Słowa te w jednej chwili przebiegły ulicę i rozeszły się dalej, a krzyż złamany figuruje jako godło na medalach, broszurach i chorągwiach powstańczych.

W istocie zaś, w tym dniu nie połamano nigdzie krzyża. Na dowód cytujemy z powyżej już przytoczonych aktów zeznania tych, którzy nieśli *krzyże. Prawda i szczerość malują się w każdem ich słowie.* I tak: dziadek kościelny, dymisyonowa-

ny żołnierz byłych wojsk polskich, 70-letni Franciszek Rosiński zeznaje: „Skropił mnie (kozak) parę razy przez plecy nahajką, w krzyż atoli nie uderzył i nic z niego nie utrącił". Braciszek kapucyn, Roger Zawistowski, oświadcza: „Na krzyżu, który ja niosłem, odbito dwa ciernie z korony Pana Jezusa i palec wielki u prawej ręki Pana Jezusa, czego wprzódy nigdy nie dostrzegłem". Na dowód, że tak się stało, jak mówił, okazał komisyi krzyż z świeżo ułamanemi częściami.

Obaj zeznający towarzyszyli pogrzebowi na Powązki, niosąc w ręku krzyże też same, z którymi wyszli z kościoła, a które wrzekomo miały być połamane.

Dano znać namiestnikowi o położeniu kozaków przed kościołem OO. Bernardynów. Ten kazał wysłać jeszcze jeden pluton kozaków z sztabskapitanem Dołhijewem, a gdy to nie pomogło, polecił dowódcy muromskiego pułku, pułkownikowi Hartoungowi, by z dwoma kompaniami piechoty oczyścił ulicę. Była godzina druga po południu.

Hartoung poprowadził wojsko obydwoma chodnikami, lecz zaledwie zrównało się ono z kościołem OO. Bernardynów, kolumna, idąca lewym chodnikiem, została osypana kamieniami i błotem z za sztachet żelaznych, otaczających dzwonnicę, i z samej dzwonnicy—w końcu zaś od tłumu, skupionego przed głównym odwachem. Mimo to piechota oczyściła ulicę aż do miejsca, gdzie się ulica zwężała, a gdzie obecnie znajduje się skwer, na miejscu zburzonych domów Malcza i innych. Wówczas pogrzeb mógł się ruszyć i, postępując tuż za wojskiem, doszedł do figury Matki Boskiej.

O jakie dwadzieścia kroków dalej wznosił się, występując na ulicę, trzypiętrowy dom Orgelbranda, znany powszechnie pod imieniem domu Malcza, za którym aż do kościoła księży Karmelitów ciągnął się szereg domów, formujący z domami po *drugiej stronie*, gdzie się mieściły: apteka Hakebeila,

hotel Saski i cukiernia Clotin'a, owo sławne wązkie Krakowskie Przedmieście, miejsce zgonu jeszcze sławniejszych pięciu ofiar.

Tu atoli musimy na chwilę przerwać ciąg opowiadania i sprawdzić, co się jednocześnie działo w Towarzystwie rolniczem, które od kilku dni było zebrane na walne ogólne zgromadzenie.

Jako pierwszy przedmiot obrad, narzucało się z samej natury rzeczy naprężone położenie miasta, wynikłe wskutek dziwnej i niewytłomaczonej pobłażliwości władzy wobec czerwonego warcholstwa. Należało jaknajprędzej zdecydować się „co robić?" jakie stanowisko wobec manifestacyi zająć? Gorętsza część zgromadzonych odzywała się, „że jeśli i teraz, według zwyczaju, zaczną rozprawiać bez końca i nie powezmą jakich stanowczych postanowień i to natychmiast, na tem jeszcze posiedzeniu, to rzeczy mogą wziąć zły obrót. Rząd widocznie unika wszelkiego energicznego wystąpienia; igra z ogniem; lud, z trudem dziś rozpędzony przez kozaków, zbierze się jutro, zbierze się pojutrze jeszcze w większych tłumach, i w końcu doprowadzi do starcia z wojskiem. Warszawa, a za nią kraj cały stanie wrogo wobec rządu; łagodnego i podatnego Gorczakowa zastąpi jaki inny, energiczniejszy generał, i wówczas wszystko dotychczas uzyskane, napowrót zostanie stracone, reformy powstrzymane i mogą wrócić czasy Mikołaja i Paskiewicza. Po przegranej kampani biali albo będą musieli na długo wyrzec się wszelkiego dodatniego działania dla kraju, albo też zmienić barwę i zbliżyć się do czerwonych i wraz z Szachowskimi [1]), Nowakowskimi i Frankowskimi zejść na ulicę i po kościołach śpiewać *Boże coś Polskę!* złączyć się z tymi, prze-

---

[1]) Obecnie profesor lwowskiego Uniwersytetu. (*Przyp. tłómacza*).

ciw którym na parę godzin przed tem zażądano [1]) od namiestnika wojskowej ochrony.

Bądź co bądź, należy temu zapobiedz; chociażby wysłać na zamek deputacyę z przedstawieniem, czego mianowicie domagają się czerwoni. W żądaniach tych zresztą niemasz nic strasznego, a sama próba poparcia tych żądań może najzbawienniejszy wpływ wywrzeć na wszystkie więcej umiarkowane żywioły w ich stronnictwie, na wielu z ich przewódców, którzy do niedawna byli prawie biali, a zwrócili się ku czerwonym jedynie dlatego, że widzieli brak zgody i harmonii w narodzie, wskutek lekceważenia przez białych usposobienia kraju.

Prezes, hr. Andrzej, zaczął oponować, wychodząc głównie z tej zasady, że „siła czerwonych tak długo jest siłą, dopóki rząd się nie ocknie; niepodobna zaś przypuszczać, by takie odrętwienie trwać miało wiecznie. Przypuszczając nawet, że Gorczakow się nie zmieni, to pozostaje jeszcze Petersburg; ztamtąd gdy nadejdą stanowcze rozkazy, w jednej chwili w całym kraju wszystko przybierze inną postać; znikną gdzieś te orły i chorągwie, te portrety Kilińskiego i Kościuszki, i odezwy Mierosławskiego.

— Ładnie się to wszystko mówi—odparł któryś z gorętszych—ale czyż nie widoczne, że Petersburg tak samo postępuje jak Gorczakow? [2]).

Wtem drzwi się otwierają i na saię wprowadzają członka Towarzystwa, Józefa Narzymskiego, znanego w Warszawie obywatela ziemskiego, hulakę, a dla swych zdolności i skrajnych przekonań mającego mir i wpływy w mieście. Narzymski brał czynny udział we wszystkich manifestacyach, znalazł się więc i wśród ostatniej, i pod kolumną Zy-

---

[1]) Nieprawda.—(*Przypisek tłómacza*)

[2]) Spisane z opowiadań pewnego Polaka, który brał udział osobiście w tem właśnie posiedzeniu Towarzystwa rolniczego.

gmuntowską oberwał od któregoś kozaka. Przyjaciele „artyści” wsadzili go do dorożki i przywieźli wprost na posiedzenie Towarzystwa. Tu go, zbroczonego krwią i jęczącego, posadzono na fotelu, i zaczęły się opowiadania o zajściach, które w czasie tym działy się na ulicach.

Dosyć było spojrzeć na całą tę scenę, by spostrzedz, co się po za nią ukrywa. Dostrzegł też tego wykwintny i dobrze wychowany hrabia Andrzej, i gdy opowiedziano z wszelkiemi szczegółami odyseę skrwawionego bohatera, smętnym głosem zapytał: „Czegoż chcecie panowie?”

— Żądamy—odpowiedzieli otaczający ofiarę—wysłania deputacyi do Zamku, którąby przedstawiła namiestnikowi w należytem świetle stan naszej sprawy; napad wojsk na lud bezbronny; znieważenie świętości; poranienie licznych, niewinnych i spokojnych przechodniów, i zażądała ochrony od podobnych napaści.

Na to hrabia odpowiedział tymże smutnym, przytłumionym głosem: że Towarzystwo rolnicze nie ma prawa mieszać się do zarządu miasta, że dla podobnych spraw ustanowione są inne instytucye, np Ratusz, dokąd właściwie należałoby zawieźć rannego a nie tutaj, do Towarzystwa rolniczego [1]).

— Przecież to obywatel ziemski i członek Towarzystwa— zakrzyczały liczne głosy z opozycyi — to nasz brat, czyż nie mamy ująć się za nim?

— Jeśli to nasz członek, to powinien był tu być z nami, a nie leźć wraz z młokosami w awanturę z wojskiem. Gdyby tu był, nicby mu się nie stało [2]).

---

[1]) W Warszawie nazywają zwykle ratuszem zarząd oberpolicmajstra, umieszczony w gmachu ratuszowym. Ztąd: „Odstawić na ratusz;“ wzięli do ratusza,“ znaczy to samo, co gdzieindziej do „policyi.“

[2]) Niedokładne. — (*Przypisek tłómacza*).

Słowo „młokosy," wypowiedziane do tego w rozdrażnieniu, dotknęło do żywego agitatorów, którzy wraz z Narzymskim dostali się na salę. Odpowiedzieli też hrabiemu bardzo ostro, do nich przyłączyły się dosyć liczne głosy czerwonych członków Towarzystwa. Hrabia usłyszał wyraźne przytyki: że przyjaźń i stosunki z Rosyanami muszą dla każdego porządnego Polaka mieć pewne, ściśle określone granice, i że są pewne obowiązki, które winne być wyższe nad obawę skompromitowania się wobec kogokolwiek; że są czasy, wymagające od każdego, który się czuje Polakiem, ofiar, bez względu na obóz, do którego należy!...

Hrabia, pozwoliwszy się wygadać wszystkim „patryotom" Towarzystwa, oświadczył zgromadzonym spokojnie ale stanowczo: że nie obawa przed kompromitacyą wobec władz rosyjskich, lecz wprost poczucie przyzwoitości zmusza go do odmówienia żądaniu tych panów jakiegokolwiek wdania się w ich sprawy. Gotów jest każdej chwili udać się do namiestnika, gdy tego będą wymagały okoliczności, lecz deputacyi za nic nie wyszle, gdyż nie widzi dostatecznych ku temu powodów. Co zaś do jego patryotyzmu, to sądzi, że o nim nie wątpią ci, co go znają.

Powiadają (?), że wówczas miały się mu wyrwać słowa: „chcecie, żebym przewodniczył burdzie? Nigdy!"

Na to powstał hałas, większy niż przedtem. Jedni popierali hrabiego, inni dowodzili, że potrzeba koniecznie wysłać do Zamku deputacyę; że bez tego rzeczy muszą się koniecznie skończyć katastrofą, po której wszelkie deputacye będą już nie na czasie, a nawet dziwne.

Hrabia chciał coś jeszcze przemówić i wzywał dzwonkiem do porządku, lecz widząc, że nie może uspokoić krzykaczy, zamknął obrady i z częścią obecnych opuścił pałac Namiestnikowski, udając się z bramy na lewo, ku swojemu domowi. Inni zwró-

cili na prawo — zobaczyć, co się też rzeczywiście dzieje przed Bernardynami. Między tymi, główną osobą, koło której grupowały się czerwieńsze żywioły Towarzystwa, był Marceli Karczewski, obywatel, dochodzący siedemdziesiątki, lecz gwałtowniejszy i burzliwszy od niejednego młodzika. Garstka ta poszła, bardzo być może, bez najmniejszego zamiaru brania czynnego udziału w zajściu. Lecz niezwykły ruch na ulicy, widok kozaków i żołnierzy ucierających się z ludem, posłyszane głosy o znieważeniu świątyni, podziałały podniecająco na gorączkowo usposobionych: Karczewskiego i jego towarzyszy. Zaczęli pomagać manifestantom — czem kto mógł, Karczewski zaś mianowicie miał urządzić z dorożek barykadę naprzeciw gmachu poczty.

Gdy się to działo w Towarzystwie rolniczem i na ulicach, wyszedł z Zamku człowiek, który miał się stać historyczną postacią dnia tego; był to dyżurny generał głównego sztabu pierwszej armii, generał Zabłockij. Wyszedł, pomieszany i wzburzony. Panujący na Zamku rozgardyasz, to niezrozumiałe pomieszanie namiestnika i całego jego otoczenia, te ustawiczne *ordre'y* i *contre-Ordre'y* — tak nań wpłynęły, że zupełnie nie pojmował, co się wokoło niego dzieje i co właściwie należałoby robić. To, co spostrzegł na mieście: Plac Zamkowy i Krakowskie-Przedmieście zapełnione wzburzonym ludem; zatrwożone oblicza oficerów, uganiających kozaków, wogóle zamieszanie, jakie bywa tylko przed wkroczeniem nieprzyjaciela do miasta—wszystko to jeszcze bardziej zawróciło głowę generałowi: stracił wszelkie poczucie — zapomniał kim jest i gdzie się znajduje; zapomniał, że w głównym sztabie leżą zapieczętowane rozkazy z najdokładniejszą i stanowczą dla każdego naczelnika instrukcyą, co ma robić

na wypadek alarmu. — Wprawdzie alarmu jeszcze nie było, lecz można się było każdej chwili go spodziewać, tembardziej, że słyszał, jak na Zamku rozprawiano, że najskuteczniejby było zaalarmować miasto i załogę, lecz namiestnik na to się nie zgodził... Generałowi zdało się — niewiedzieć zkąd i dlaczego — że on potrzebny głównie tu, na ulicy, dla wydania zarządzeń, objęcia dowództwa; że dla przywrócenia porządku za mało jest wojska, że wahanie się z jego strony i opuszczenie stosownej do działania chwili sprowadzi jeszcze większe zaburzenia i nieporządki. Pod wpływem takich rozumowań, generał bezwiednie znalazł się w maneżu pałacu Prymasowskiego, gdzie na wszelki wypadek była skonsygnowana kompania piechoty. Zabołockij, zabrawszy tę kompanię, ruszył z nią Kozią ulicą na Krakowskie Przedmieście. Tam uszykował ją na placyku przed starą pocztą, (gdzie obecnie wznosi się dom Szajblera), lecz wnet spostrzegł, że w tym punkcie niema nic do czynienia. Na ulicy gdzieniegdzie stały kupki ludu, kozacy snuli się tam i na powrót, niebezpieczeństwo nikomu nie zagrażało. Wyprowadziwszy wszakże raz wojsko, należało mu znaleźć jakieś zajęcie. Na Zamku jeszcze generał słyszał, że manifestanci starają się dostać do Towarzystwa rolniczego, i że to zażądało od namiestnika ochrony wojskowej; gdy spostrzegł w stronie Namiestnikowskiego pałacu jakieś poruszenie na ulicy, przypomniał to sobie, poprowadził więc tam swoją kompanię wojska, lecz i tu spostrzegł, że jest niepotrzebny: na dziedzińcu za kratami stał uszykowany cały batalion piechoty i o napadaniu nań nikt nie myślał.

Generał zawrócił napowrót i dla zoryentowawania zatrzymał się na rogu ulicy Czystej, gdzie przestał blizko pół godziny. Tutaj podeszli do niego jacyś oficerowie i opowiedzieli mu o starciu ludu z kozakami przy głównej strażnicy. Generał machinalnie poprowadził swą kompanię w tę stronę.

Naprzeciw ulicy Bednarskiej stał w poprzek ulicy wóz bez koni, naładowany cegłą, oraz kilka zestawionych dorożek, coś w rodzaju barykady, o której potem mówiono, że ją urządził Karczewski. Nie mogąc postępować środkiem ulicy, generał skierował swych żołnierzy na chodnik, koło cukierni Clotin'a i dalej. Gdy wyszli na szerokie Krakowskie Przedmieście, Zabołockij spostrzegł przed sobą kolumnę wojska a za nią postępujący karawan. Był to już powyżej opisany pogrzeb Łempickiego. Iść dalej nie było poco; generał więc uszykował swą kompanię wzdłuż chodnika od apteki Hakebeila do przejścia na uliczkę Kozią, dziś już nieistniejącego. Przez cały czas, gdy żołnierze Zabołockiego postępowali gęsiego chodnikiem, z przeciwnej strony ulicy sypał się na nich grad kamieni, a jeszcze więcej, gdy żołnierze się uszykowali. Głównie sypały się kamienie z pośród tłumu ludu, skupionego przy domu Malcza. Kilka kamieni rzucono z drugiego piętra tegoż domu.

Tymczasem kolumna Hartounga i Fenchav'a, wraz z postępującym za nią karawanem, dotarła do wązkiego Krakowskiego-Przedmieścia. Dla oczyszczenia jej drogi, generał posłał dwóch kozaków, by rozpędzili dorożki, tworzące barykadę. Kozacy wszakże nic nie mogli poradzić, gdyż tłum niedopuszczał ich do dorożek. Jeden kozak został ciężko raniony kamieniem i sam Zabołockij dostał kamieniem w plecy. To go wzburzyło, nakazał żołnierzom oczyścić ulicę bagnetami, a gdy lud nie ustępował i z każdą chwilą stawał się śmielszy i groźniejszy, generał ostrzegł, że każe strzelać. Odpowiedziano mu śmiechem i drwinami, krzyczano: „Niemasz prawa! Napoleon nie pozwolił!"

Na to Zabołockij zakomenderował, by broń nabito, lecz nie pozwolił nakładać kapsli i ponownie oświadczył, „że każe strzelać", jeśli nie oczyszczą ulicy. Posłyszano ponownie tęż samą odpowiedź.

i sypnięto kamieniami. Naraz któryś z żołnierzy zawołał: „strzelają, strzelają!”

Wystrzału tego na pewno, stanowczo, nikt nie słyszał i, jak się zdaje, wcale go nie było. Mimo to okrzyk „strzelają, strzelają” rozległ się wśród wojska i rozstrzygnął sprawę. Generał zakomenderował „ognia.” Kapsle jakoś same się znalazły na kominkach i strzały huknęły, skierowane częścią w dom Malcza, częścią zaś wzdłuż ulicy. Wojsko do tego stopnia było rozdrażnione, że kolumna Fenchav'a, gdy usłyszała strzały, bez rozkazu zaczęła broń nabijać.

Strzelał jeden pluton, postawiony naprzeciw domu Malcza. Strzały do domu poprostu były zemstą żołnierzy za rzucane ztamtąd kamienie, nikt wszakże w domu tym nie zginął, a nawet na 23 strzały zaledwie pięć szyb wybito. Lecz na ulicy, naprzeciw poczty i dalej padło pięciu ludzi i drugie tyle było rannych. Ulica w jednej chwili opustoszała; świadkowie tej sceny opowiadają, że to się stało jakby za dotknięciem laseczki czarnoksięskiej. Jedni kryli się do bramy i na dziedziniec, inni uciekali do otwartych sklepów i magazynów lub w boczną ulicę Kozią i Trembacką. Dorożkarze zacięli konie — i barykada znikła. Wtedy kolumna Hartounga i Fenshave'a przeszły swobodnie i, dotarłszy do ulicy Czystej, wróciły do Zamku, gdyż nie miały już co robić na ulicach. Karawan z nieboszczykiem pędem skręcił na ulicę Trębacką, i dopiero na Bielańskiej połączył się z księżmi i procesyą pogrzebową.

Według źródeł oficyalnych—zamieszanie w tej chwili było tak wielkie, że na razie nie spostrzeżono, gdzie się podział karawan. To spowodowało późniejsze gawędy, że cały pogrzeb był udany i że manifestanci urządzali pogrzeb rosyjskiemu rządowi. Generał Ratez, wydrukował to nawet jako fakt stwierdzony. My wszakże zapewniamy czytelników, że to był najprawdziwszy pogrzeb urzędnika Józefa

Łempickiego, o którym zawczasu było ogłoszenie w numerze 54 *Kuryera Warszawskiego*, a w oktawę, w numerze 62 *Kuryera*, zaproszenie na nabożeństwo żałobne.

Na Zamku, gdy usłyszano wystrzały, namiestnik wyszedł do sali audyencyonalnej, zapełnionej od rana do późnej nocy tłumem wojskowych różnych stopni i broni, oczekujących na rozkazy księcia. — „Kto i gdzie strzela?" — Ktoś odpowiedział, że strzelają przy domu Malcza, na Krakowskiem Przedmieściu. Namiestnik wysłał natychmiast generała Weselickiego, by się dowiedział szczegółowo o wszystkiem, co zaszło, i zaraz go uwiadomił. Weselicki, przypędziwszy konno do domu Malcza i dowiedziawszy się o wszystkiem, zaczął robić Zabołockiemu wyrzuty za takie samowolne postępowanie. Zabołockij na to ofuknął się gniewnie: „Nie panu będę zdawać sprawę!"

Weselickij uznał za stosowne przerwać dalsze wyjaśnienia.

Tymczasem na Zamku rozeszła się pogłoska, że buntownicy z domu Malcza strzelali do wojska, i wojsko tylko odpowiedziało. Gorczakow przywołał generał-kwatermistrza Siemekę, kazał mu wziąć kompanię piechoty z dziedzińca zamkowego i jeżeli sprawdzi się wieść, że w istocie strzelano z domu Malcza, otoczyć ten dom i uwięzić wszystkich, których tam znajdzie. Siemeka natychmiast wyruszył z wojskiem, lecz, nie doszedłszy do kościoła Bernardynów, spotkał Zabołockiego, prowadzącego z obnażoną szablą swą kompanię. Ten dowiedziawszy się, z czem Siemeka został wysłany, powiedział: „Uspokój się, to nie z domu Malcza, to ja strzelałem." (Autorowi opowiadał o tem sam generał Siemeka). Poczem obaj wrócili do Zamku, kompanię zaś swoją Zabołockij odesłał do pałacu Prymasowskiego, gdzie zaraz obliczono wystrzelone ładunki.—*Padło* 55 strzałów.

Obaj generałowie weszli do salonu, polo-

żonego między salą audyencyonalną a gabinetem namiestnika, i tam spotkali księcia Gorczakowa. Siemeka pozostawił Zabołockiemu przedstawienie namiestnikowi przebiegu całej sprawy, w której tak czynny i poważny wziął udział. Zabołockij opowiedział wszystko, co zaszło: krzyki i pogróżki manifestantów, drwiny i obelgi skierowane do wojska, wreszcie rzucanie kamieniami. „Spróbowawszy wszystkich środków perswazyi i uspokojenia, dodał generał, i przekonawszy się, że one żadnego skutku nie odnoszą, kazałem strzelać!"

— *Parfaitement fait!* — mruknął namiestnik i wrócił do swego gabinetu. (Z opowiadania generała Siemeki, który stał obok księcia Gorczakowa). Zabołockij zaś wrócił do sali audyencyonalnej, gdzie ponownie opowiedział zebranym całe zajście i uskarżał się na ból w krzyżach od uderzenia. Radzono mu, by wracał do domu i przywołał zaraz lekarza. On wyszedł zupełnie spokojny i pewny siebie, ani domyślając się, jakie znaczenie mogą mieć u księcia Gorczakowa, słowa: *parfaitement fait.*

Tymczasem lud znów się zaczął gromadzić koło poczty. Inni rzucili się podejmować zabitych i rannych. Na rogu ulicy Bernardyńskiej podniesiono Karczewskiego, dającego jeszcze oznaki życia. Wsadzono go do dorożki i powieziono do jego mieszkania w hotelu Smoleńskim; tam go jednak nie chciano przyjąć, komuś więc przyszło na myśl zawieźć go do sióstr Kunke, mieszkających w domu Malcza, które utrzymywały tam magazyn mód i znane były z gorących swych uczuć patryotycznych. U nich też, mimo natychmiast danego ratunku z apteki Hakebeila, Karczewski wyzionął ducha.

Tam też przywieziono jeszcze dwa trupy: Rutkowskiego, obywatela ziemskiego, i Brendla, robotnika z jakiejś fabryki żelaza. Czwartego zabitego, *Arcichiewicza*, ucznia gimnazyum realnego, odwieziono do domu rodziców, mieszkających w pałacu hrabiego Andrzeja Zamoyskiego. Piątego trupa

nie zdołano dnia tego rozpoznać, później sprawdzono, że to był Adamkiewicz, robotnik przy budującym się moście na Wiśle.

Tego ostatniego trupa zamierzano zawieźć do Zamku dla pokazania go namiestnikowi i zaniesienia zarazem skargi na oburzające postępowanie wojska, lecz kozacy zawrócili dorożkę z trupem przy kolumnie Zygmunta, nie dopuszczając do Zamku. Udano się i z tym trupem do sióstr Kunke, lecz te oświadczyły, że mają już dosyć trzech zabitych i więcej u siebie nie przyjmą. Wiozący więc trupa, w otoczeniu już znacznego zbiegowiska ludu, po krótkiej naradzie skierowali się do hotelu Europejskiego. Tłum wynosił już do tysiąca osób, wykrzykiwano do spotykanych: „Czapki z głowy, cześć ofiarom" — wszyscy szli z odkrytemi głowami. Zabołockiego głośno łajano i przeklinano. Później przezwano go duc d'Orgelbrand od domu Orgelbranda czyli Malcza, przy którym się wsławił.

Wówczas zarządzał hotelem Europejskim Niemiec Knoll. Ten na razie chciał się sprzeciwić złożeniu trupa, lecz nikt go nie usłuchał. Wniesiono ciało na korytarz i zażądano odpowiedniego lokalu. Jeden ze współwłaścicieli hotelu, Wambach, podówczas obecny na miejscu, rozkazał dać salon narożny na II piętrze, oznaczony numerem 64 (obecnie 82) i przeznaczony dla koncertów i innych zebrań, a więc zwykle niezajęty. Tam tedy, około godziny czwartej po południu, złożono na materacu, przykrytym czystą bielizną, ciało Adamkiewicza czy Brendla.

Komuś przyszła myśl, ażeby tam przenieść trupy innych. Stało się to w nader prosty sposób: zbito na prędce po kilka desek i z niemi udano się do domu Malcza, do sióstr Kunke. Trupy umieszczono na zaimprowizowanych noszach i uroczyście przeniesiono do hotelu Europejskiego. Tłum, złożony z paru tysięcy osób, był już widocznie kierowany przez praktyków paryskich z 1848 roku.

którzy doskonale oceniali wrażenie takiego wystąpienia.

Przyniesionych, z wyjątkiem Arcichiewicza, który pozostał u rodziców w domu Andrzeja hr. Zamoyskiego, ułożono w tymże 64-tym numerze rzędem na materacach, przykrytych białemi prześcieradłami. Hotel Europejski stawał się jednym z historycznych gmachów miasta Warszawy.

Od tej chwili zapanowało w mieście coś zupełnie niezwykłego.

Naprzód, z rozporządzenia jakiejś tajemniczej władzy, obito czarnym kirem ściany salonu, w którym ciała były złożone. W pałacu hrabiego Zamoyskiego okryto czarnym suknem drzwi, prowadzące z dziedzińca do mieszkania Arcichiewiczów, na co właściciel zezwolić musiał [1]).

U wejścia do numeru, w którym złożono zabitych, ustawiono straż honorową, złożoną ze studentów akademii medycznej, którzy pilnowali porządku, wojskowych zaś wpuszczali z pewną trudnością i po dosyć długich parlamentowaniach [2]). Wojskowi zresztą, przejęci duchem i nastrojem Zamku, spokornieli i pozwalali na wszystko; nic nie słyszeli, niczego nie dostrzegli i nic należycie nie rozumieli. Jeśli się zdarzały wyjątki od tego ogólnego prawidła, to bardzo i bardzo nieliczne.

Ktoś dostarczył do hotelu kilka skrzyń czarnej krepy, pociętej już na kawałki, ile potrzeba do zrobienia przepaski na ramieniu. Wszystkim Polakom przewiązywano krepę na lewem ramieniu. Toż samo wnet powtórzyło się na ulicach. Jacyś ludzie zapytywali przechodniów: „Czyś pan Polak?" Na potwierdzającą odpowiedź mówiono: „Daj pan lewe ramię." Ręka się przeciągała i znak żałoby został

---

[1]) *Notatki* pułkownika Dobrodiejewa, dyrektora de*partamentu* w zarządzie oberpolicmajstra miasta Warszawy.

[2]) *Tamże.*

nawiązany. Do wieczora cała Warszawa nosiła już tę odznakę.

Mimowoli nasuwa się pytanie, co robił rząd? policya? Jak się to stało, że ciała zabitych w starciu ludu z wojskiem, pozostawiono w rękach tłumu? Czego rząd się uląkł? Na te pytania zapewne i sam Gorczakow gdyby wstał z martwych, nie potrafiłby dać odpowiedzi. Zdarzyło się tu, jak bywa wszędzie; szczególniej jednak podobne objawy właściwe są rosyjskim, bezmyślnym i chaotycznym rządom, u których za nic nie można ręczyć i za nic brać odpowiedzialności.

W kronice Warszawy i jej polsko-rosyjskich dziejów zanosiło się na coś niesłychanie dziwnego i niewytłomaczonego. Waryaci i smarkacze, których niedawno starsi, w ostateczności, chcieli (?) wydać w ręce władzy, jako ludzi zaburzających publiczny spokój i porządek, jako przeszkodę w powodzeniu sprawy, naraz przemienili się w bohaterów, wodzów i kierowników miasta i kraju całego! Nieoczekiwany i nieprawdopodobny sukces ich manifestacyi; niesłychane zwycięstwo nad władzą; jakiś cud nadprzyrodzony przez nich zdziałany — dowiodły najlepiej, że oni jedynie pojmowali charakter rządzących i nastrój chwili; że oni jedynie wiedzą, „jak i co robić;" ich więc jedynie słuchać należy. „Jak rzymskie gęsi obnoszono ich w tryumfie po mieście, przy odgłosie trąb i okrzyków"—powiada Aweyde.

Zapewne, że w smutnym tym objawie nie małą rolę odegrała i znana lekkomyślność warszawskiej ludności. Nigdzie bowiem niema tylu waryatów co w Polsce i nigdzie obłęd nie jest tak łatwo zaraźliwym, ogarniając w jednej chwili wszystko i wszystkich. Przeraził się i stracił głowę Zamek, nastąpił chaos w zarządzeniach władz i urzędów drugo i trzeciorzędnych, straciło głowę i miasto, niepomne, że w jednej chwili wszystko mogło przybrać *zupełnie* inną postać. Nie dziś, to jutro, jeśli nie Gorczakow, to kto inny z tych „rzymskich gęsi" może

przyrządzić najzwyczajniejsze rosyjskie pieczyste... nad tem nikt się nie zastanowił, nikt ani pomyślał o położeniu tamy waryacyi. Wszyscy się tylko cieszyli jak dzieci; jak długa i szeroka Warszawa, wszyscy literalnie wyszli z równowagi. Z rana byli w niej jeszcze ludzie, zdrowo zapatrujący się na rzeczy, wieczorem—nie było już ani jednego. Hrabia Andrzej, patrząc z wysokości swego gabinetu przy Nowym Świecie na ten rozgardyasz, zrozumiał dopiero, jak był naiwny i niedomyślny, gdy, przemawiając do swych towarzyszy, wyrzekł uroczyście: „Pamiętajmy, abyśmy nic takiego nie popełnili, przez co byśmy zasłużyli, aby być nieszczęśliwymi!..." Słowa stwierdzone drukiem. (*Czas* z 1879 roku Nr. 226, str. 1, szpalta 2). Co miał teraz robić w tym wirze, porywającym wszystkich za sobą, w tym ogólnym zamęcie waryacyi i lekkomyślności? Myślał długo i ważył, w końcu stracił głowę jak wszyscy.

Jest w Warszawie, niedaleko Rymarskiego placu, niepokaźna, jednopiętrowa, popielata kamienica, wznosząca się w głębi dziedzińca a raczej placyku, i prawie niewidzialna po za innemi budynkami. Domek cichy, odosobniony; po obu stronach wznoszą się tak zwane oficyny, a w głębi sam korpus domu. Jest to zwykła postać dawnych, polskich pałaców [1]).

Opisany powyżej dom czy pałac, była to skromna Resursa Kupiecka do której schodzili się wieczorami, jak zwykle do klubu, mieszkańcy średnich warstw towarzystwa, czyli wszystko, co było najbardziej żywe, myślące i czynne z pomiędzy ludno-

---

[1]) Widok tego pałacu podał *Tygodnik illustrowany z 18,0 r.*, Nr. 151, str. 245.

ści warszawskiej. Innego klubu polskiego podówczas nie było; obywatelską, właściwie szlachecką resursę, dopiero budowano.

Do rewolucyi 1830 r. uczęszczali tam wszyscy. Szary domek, który zresztą był wcale wygodnie urządzony i posiadał obszerną balową salę, cichy był tylko zdaleka i powierzchownie, wewnątrz widział on i słyszał o wiele więcej, niż inne świetne i wspaniałe pałace.

Tu między innemi, zadziwił i zastanowił pułkownika Kickiego niezwykły jakiś wyraz, malujący się na obliczach podchorążych, którzy zjawili się na balu, dawanym dnia 27 listopada 1830 r. (*Mochnacki.* „Powstanie narodu polskiego 1830 — 31", tom II, str. 316, edycya poznańska z 1865 r).

Jakieżby teraz nasunęły się myśli pułkownikowi Kickiemu, gdyby podobnie jak wtedy, znalazł się w znanej mu resursie dnia 27 lutego 1861 r.? Ileż to nienaturalnego, niezwykłego i nieodgadnionego dostrzegłby na obliczach ludzi, krążących tam, nie garstkami, jak ci, którzy weszli z Nabielakiem, lecz tak zwartemi tłumami, że się zdawało, jakoby resursa dawała przyjęcie dla całej Warszawy.

Podwoje na oścież stały otworem. Tłum wchodził i wychodził. Lica jaśniały. Rozmowa i gwar były nie do pojęcia. Dzierżawca monopolu tytuniowego, bankier Kronenberg, kazał podawać bezpłatnie najrozmaitsze trunki, cygara i papierosy; jego też głos wszędzie było słychać.

W jednej starej, zakopconej i pamiętającej Bóg wie jakie czasy sali zebrało się dla omówienia kwestyi, niecierpiącej zwłoki, wszystko, co się tylko w stronnictwie ruchu uważało za starsze i bardziej wpływowe [1]). Było tam i całe mieszczaństwo, któ-

---

[1]) *Gazeta Narodowa* z 1878 r. Nr. 83, str. 2, szp. 5, pisze: „W Nicei dnia 5 kwietnia umarł najbogatszy z bankierów warszawskich Leopold Kronenberg. Zmarły liczył 66

re słuchało Jurgensa i Denela, i różni inni, którzy w ostatnich dniach z nimi się połączyli, a którzy właściwie do żadnej partyi nie należeli; przyszło też wielu innych menerów i oratorów z różnych kół i kółeczek. Wszystkim chciało się odgrywać historyczną rolę, ukazać się na widowni w chwili... tak wielkiej. Wszystkim się zdawało, że chwila ta w rzeczy samej nadeszła.

Gdy chaotyczny zgiełk i wrzawa, nieuniknione przy podobnych zebraniach, nieco ucichły, uchwalono wysłanie deputacyi do Zamku, któraby przedstawiła namiestnikowi we właściwem świetle smutny fakt napaści wojska na lud bezbronny i prosiła go o wysadzenie śledztwa dla zbadania czynności generała Zabłockiego. Deputacya, czyli, jak mówią Polacy, delegacya składała się z następujących osób: ze stanu duchownego kanonicy: ksiądz Józef Wyszyński i ksiądz Józef Stecki; z obywatelstwa: Jakób Piotrowski; z kółka literatów: Ignacy Józef Kraszewski i Józef Kenig; ze stanu wojskowego: Józef Lewiński, generał b. w. p.; ze świata finansowego, bankierowie: Leopold Kronenberg i Mathias Rosen; dr. Tytus Chałubiński; prezes kongregacyi kupieckiej Ksawery Szlenkier; fotograf Karol Bajer; adwokat August Trzetrzewiński; starszy cechu szewckiego Stanisław Hiszpański i znany już z rewolucyi 1848 r. w Krakowie, jako zwolennik zbliżenia Żydów z Polakami, starszy rabin Beer Majzels [1]).

---

lat wieku, a przez całe życie zajmował nadzwyczaj wpływowe stanowisko. W r. 1861, po wypadkach lutowych, gdy obywatele zebrali się w resursie Kupieckiej, on pierwszy wpadł na pomysł wysłania deputacyi do ks Gorczakowa na rzecz reform instytucyi Królestwa Polskiego. On także pierwszy dał pomysł do utworzenia delegacyi miejskiej i straży bezpieczeństwa i był jednym z przewodców ruchu narodowego w 1861 r.

[1]) O wyborze delegacyi: *Giller* tom IV, str. 175. Spasowicz opowiada nieco inaczej o wyborze miejskiej delegacyi. *Patrz Życie i polityka margrabiego Wielopolskiego str. 115.*

Ale nim jeszcze złożono tę delegacyę, najpoważniejsze osoby z miasta zdołały się już dostać do zamku, a między niemi w pierwszym rzędzie: ksiądz arcybiskup Fijałkowski, Tomasz hr. Potocki i Andrzej hr. Zamoyski, którzy przybyli do księcia Gorczakowa około godziny 8-ej wieczorem. Opowiadano, że gdy w rozmowie książę Gorczakow zagroził, że każe dać ognia ze wszystkich dział cytadeli, ksiądz arcybiskup miał odpowiedzieć: „A ja każę uderzyć we wszystkie dzwony".

Na Zamku wszystko się zmieniło od czasu, gdyśmy go opuścili. Księcia Gorczakowa, który tak lekko i spokojnie oświadczył Zabołockiemu: *parfaitement fait*, niktby nie poznał. Biegał po salonach przerażony i przybity jak nigdy, i zdawało się, że szuka tylko kogoś, na kim z ufnością mógłby się oprzeć, a chociażby spotkać się z jakiemś sympatycznem i wlewającem otuchę spojrzeniem. Nic takiego i nikogo nie spotykał koło siebie, jak gdyby wszystko, co było obdarzone zdrowym rozsądkiem, charakterem i cywilną odwagą, wymarło i zniknęło. Czuł się coraz bardziej opuszczonym i osamotnionym, bez wszelkiej pomocy i pociechy. Były to może najstraszniejsze chwile w życiu tego człowieka. Cierpiał, cierpiał straszliwie, straciwszy bezmyślnie w bitwie nad Czarną dziesięć tysięcy godnych podziwu, walecznych, żądnych walki, jak jakiej zabawy, bohaterów; rwał się sam naprzód, chcąc razem z nimi zginąć. Jeszcze bardziej cierpiał, oddając wrogowi Sewastopol; łzy nieraz zawisły na jego starych powiekach... lecz tam przynajmniej miał tę pocieszającą wymówkę, że ustępował przed przewagą czterech państw sprzymierzonych. Lecz teraz, ustępstwo, przed kim? Komu oddawano, nieoblegany przez nikogo „Sewastopol"? I jak się to wszystko spełniło w jednej chwili, nagle — a zarazem nie do darowania głupio? Biedny, godny pożałowania staruszek, chwytał się co chwila za głowę, powtarza-

jąc machinalnie: *donnez moi reflechir!* (Od jego adjutanta pułkownika Fenshave'a).

Parfaitement fait Zabłocki przedstawiał się i teraz księciu w zupełnie innem świetle: to był burzyciel porządku, nadużywający swej władzy; człowiek, którego należałoby przykładnie ukarać. Podzielało to usposobienie księcia Gorczakowa i całe jego otoczenie — ciż sami ludzie, którzy przed kilkoma godzinami z taką ciekawością słuchali jego opowiadania o strzałach, potakując mu i wysyłając go z taką przyjacielską troskliwością do doktora. Teraz to wszystko oburzyło się i rzuciło się na starego generała. I co mówili o nim na burzliwem zebraniu w Kupieckiej resursie polscy zapaleńcy, podnieceni i tłumem i roznoszonym kronenbergowskim węgrzynem, to samo powtarzali na Zamku zupełnie nie zagorzali Rosyanie, którzy od rana i kropli wina nie pokosztowali.

W taką chwilę przybyła do Zamku pierwsza, arystokratyczna deputacya. Członkowie jej w jednej chwili z wyrazu twarzy uprzejmie spotykającej ją świty namiestnika, spostrzegli, jaka zmiana musiała zajść w usposobieniu przedstawiciela najwyższej władzy w kraju; przybrali też natychmiast ton wojowniczy i poufały. Książę Gorczakow usłyszał od nich tyle i takich rzeczy, jakich od nikogo nie słyszał żaden namiestnik na świecie! Dziwnie zwłaszcza zachowywał się hrabia Tomasz Potocki, jak zgodnie zapewniają naoczni świadkowie tej sceny.

Gdyby jedno takie słowo, jakich dziesiątki nagadał wtedy nieostrożny i uniesiony magnat, zostało wyrzeczone w Zamku w przytomności zmarłego feldmarszałka; gdyby jedno tylko... mój Boże! Ale za feldmarszałka nicby się podobnego nie stało; i manifestacyi nie byłoby, i niebyłoby do kogo strzelać, i delegacyi by nie obierano. Hrabia Skarbek (*Dzieje Polski* t. III, str. 187) zapewnia, że Gorczakow, jak wszyscy ludzie słabego charakteru, spotkał tych panów ostremi wyrazami: „Dam się raczej

na kawałki posiekać, a nie ustąpię przed buntownikami." Nie upłynęło wszakże paru godzin, a porobił Bóg wie ile i jakich ustępstw. *Lisicki* (tom I, str. 145) powiada, że na zapytanie księcia „cóż mam teraz robić?" hrabia Zamoyski miał odpowiedzieć: „Wynosić się ztąd."

O godzinie 10-ej w nocy przybyła deputacya z resursy w strojach, jak kto był ubrany na zgromadzeniu. Przyjęta, jak i pierwsza, w mniejszej sali przed gabinetem namiestnika Na lewo u okna stanął Szlenkier, z nim w jednym rzędzie na prawo Kronenberg, następnie księża: Wyszyński i Stecki. Za nimi ugrupowali się inni. Szewc Hiszpański stanął zupełnie z tyłu, przy drzwiach wchodowych. (Opowiadanie generała Siemeki).

Książę Gorczakow wszedł w towarzystwie Muchanowa i przemówił dosyć surowym głosem: *Un malheur est arrivé! — Un grand malheur"* — powtórzył Szlenkier, podnosząc głos. Zmieszało to księcia, zmienił więc ton i prosił o wyłuszczenie celu przybycia deputacyi. Kilku członków przemawiało jeden po drugim. Treść tych przemówień zawierała krótki rys rannych wypadków, zaszłych na Krakowskiem-Przedmieściu, poczem mówiono o nadzwyczajnem rozdrażnieniu umysłów w mieście, o konieczności użycia najenergiczniejszych środków celem uniknięcia smutnych następstw.. Dr. Chałubiński w gorączkowem przemówieniu między innemi rzeczami, powiedział: *la corporation des bouchers est prête à marcher contre vos canons et demain si les corps des saintes victimes ne sont pas rendus à la ville pour y être solennellement ensevelis, vous marcherez dans notre sang jusq'aux genoux!* (Siemeka i Fenshave). Fotograf Bajer w prywatnym jednym liście tak opisuje delegacyę resursy: „Byliśmy rozdrażnieni w najwyższym stopniu i nikomu nawet na myśl nie przyszło, że to właśnie wywoływało największe wrażenie. Audyencya trwała blizko godzinę i wszyscyśmy, albo razem, albo z osobna wypowiadali, cośmy mieli na

sercu, bez żadnych ogródek. Nikt z nas mieszczuchów, nie mówi dobrze po francusku. Wystąpił Szlenkier i wystąpił energicznie, za nimi inni, jak kto umiał, bądź po polsku, bądź po francusku lub wreszcie po niemiecku. Aleśmy wyszli z niczem. Nieco później, poświęcono nam Trepowa, dalej już wszystko poszło jak po maśle... przedstawiciele władzy stracili głowę, nie wiedząc co począć; wszyscy byli jacyś chwiejni i niezdecydowani; co dzisiaj było dobre, już jutro okazywało się do niczego; kto dziś był górą, jutro leciał na dół, na łeb na szyję!" (*Lisicki* I, str. 145—146).

Poczem Gorczakow zaczął wypowiadać takie urywkowe zdania, że żaden stenograf nie potrafiłby ich spisać i odszukać w nich myśli i wzajemnego związku. Muchanow starał się być słodkim jak cukierek. Potem nastąpiła zwyczajna rozmowa. Deputacya zapomniała prawie, że jest wysłanniczką, jeśli nie całego miasta, to przynajmniej znacznej części jego mieszkańców do przedstawiciela najwyższej władzy w kraju. Niestosowne stroje, te klubowe, domowe paltociki i katanki, a do tego niezwykły i niewłaściwy u wszelkiej władzy ton jakiejś obawy i wstydu; ten miły i uprzejmy Muchanow, jakim go nikt jeszcze i nigdzie nie widział; nocna pora—wszystko to nastrajało członków deputacyi dziwnie, bezceremonialnie, jak ich paltociki i katanki. Nic więc dziwnego, że człowiek prosty, bez salonowego ułożenia i wyższego wychowania, szewc Hiszpański, stracił niejako przytomność i świadomość siebie, widząc przed sobą władzę, wcale nie taką, jaką sobie z poza ubogiego swego warsztatu wyobrażał. On jeden wszelako z pomiędzy wszystkich miał słuszność i, mówiąc z namiestnikiem śmiało i poufale, nic niedorzecznego nie powiedział.

Kiedy książę, żegnając deputacyę po raz setny, *powtórzył*, że „wszystko się stało przez omyłkę, *wskutek* źle zrozumianego rozkazu; że ustano-

wiona w tym celu komisya wykryje, kto winien a kto nie winien, Hiszpański miał na to odpowiedzieć:

— Oto ja, mości książę, szewc jestem i mam kilkunastu czeladzi, ale jeśli z mego warsztatu wyjdą złe buty, nikt nie zapyta, który to niezręczny czeladnik towar zepsuł, ale powie: partacz Hiszpański!

— A zatem, według ciebie, ja jestem winien? —uśmiechając się, zapytał książę.

— Z przeproszeniem, nikt inny.

Ta odpowiedź, a może i co innego wówczas wypowiedzianego, zrobiła Hiszpańskiego popularnym. Nazwisko jego zaczęto powtarzać i każdy pragnął mieć jego fotografię. Do 1863 r. można było widzieć na Krakowskiem-Przedmieściu ogromny jego portret fotograficzny, gdy on sam już był w Wiatce. Powiadano, że książę Gorczakow nazywał go małym Cavour'em i zapraszał do siebie na jakieś poufne rozmowy.

„Co stare, to i dzielne"...

Delegacya żegnając namiestnika, podała na piśmie, czy też wypowiedziała (dokładnie niewiadomo) prośbę, zawartą w następujących sześciu punktach:

1) Dozwolić pochować zabitych z odpowiednią uroczystością.

2) Na czas pogrzebu usunąć wojsko i policyę.

3. Uznać do ukończenia pogrzebu wybraną przez miasto delegacyę.

4) W miejsce pułkownika Trepowa mianować oberpolicmajstrem generała Paulucciego.

5) Uwolnić zaraz wszystkich uwięzionych z d. 27 lutego.

6) Dozwolić wysłania do Petersburga przez wybraną w tym celu deputacyę, adresu do cesarza.

Z wyjątkiem 4-go i 6-go, inne punkta natychmiast zostały przyjęte i namiestnik, żegnając delegacyę, przyrzekł, że do pierwszego zbiegowiska na

ulicy sam wyjdzie dla wysłuchania niezadowolonych [1]. Czyż nie było to też sąmo, co wzywać ponownie lud przed Zamek?

W resursie, gdzie wszyscy oczekiwali niecierpliwie powrotu delegatów, spotkano ich z krzykiem uniesienia. Wszystkie oblicza jeszcze się bardziej rozpłomieniły, gdy delegaci powtórzyli to wszystko, co słyszeli i widzieli na Zamku, o tem co uzyskali na razie. Od tej chwili delegaci nie opuszczali resursy, nie rozbierali się i nie spali aż do pogrzebu pięciu ofiar, t. j. przeszło dwie doby z rzędu. W resursie wrzało; wszyscy naraz mówili; każdy wypowiadał swe zdanie i rady, co i jak działać na przyszłość, każdy podnosił niezwykłą doniosłość obecnej chwili, niewytłomaczoną bojaźń Rosyan. Najwięcej dowodził Chałubiński, nie spoczywający ani chwili.

W zamku po wyjściu delegacyi nastąpiła narada namiestnika z kilku wyższymi w hierarchii rządowej osobistościami, nad temi dwoma, postawionemi w zawieszeniu, punktami prośby, czy też żądania, tylko co pożegnanych gości. Zdecydowano się jeszcze na dalsze ustępstwa, przyjęto punkt czwarty. Namiestnik usunął Trepowa, lecz na jego miejsce naznaczył nie Paulucciego, jak tego żądała delegacya, lecz pułkownika Demoncal'a, który był przedtem naczelnikiem Warszawskiej straży pożarnej. Licząc na zamiłowanie warszawiaków do swej „straży ognio-

---

[1]) Zapiski pułkownika Dobrodiejowa. Aweyde tak opowiada o tej delegacyi i jej przyjęciu przez księcia Gorczakowa: „Namiestnik przyjął deputatów wahająco, był naprzemian to groźnym, to ustępujęcym, wszelako ciągle mu niedostawało stanowczego postanowienia. Na przedstawione mu żądania odpowiadał raz groźnie i odrzucał je, to znowu pochwalał i przyjmował Tak tedy, zmieniając wciąż ton i zachowanie, skończył na tem, jeśli się nie mylę, że na wszystko się zgodził i tem uznał się przez tłum zwyciężonym". Aweyde przytacza to z opowiadania drugich, gdyż w czasie tych wypadków nie był w Warszawie. *Spasowicz, str. 116* powiada, że „przyjęcie przeciągnęło się do godziny *wpół do 2-iej* w nocy".

wej", spodziewano się, że jej naczelnik, Polak rodowity, a przynajmniej zupełnie spolszczały Francuz, będzie równie miły miastu, jak nieco zruszczały Włoch, Paulucci. Nadzieja ta wszakże zawiodła. Gdy prezydent miasta Andrau z polecenia namiestnika o godzinie 2-ej w nocy zawiadomił o tej nominacyi delegatów, stara dziatwa, straciwszy wszelką miarę w swych wymaganiach, zaczęła jeszcze bardziej domagać się Paulucciego, dowodząc, że on jako oddawna zamieszkały w Warszawie, jest dobrze wszystkim znany, a Demoncal, człek nowy, którego naprawdę nikt nie zna.

Dzieci były jak ta rybaczka, której mąż dostał nowe koryto — „Wróć i pokłoń się rybie"! — (Bajka rosyjska).

Nie było rady: Andrau udał się do Zamku i... rzecz nie do uwierzenia, książe jeszcze ustąpił. Ponieważ zaś rozkaz, tyczący się Demoncala, był już oddany i zmieniać go nie wypadało, wymyślano więc dla Paulucciego osobny tytuł: głównego naczelnika policyi z podporządkowaniem jego władzy oberpolicmajstra miasta Warszawy. Rozkaz był wydany jeszcze tej samej nocy. (Patrz numer 56 *Gazety Warszawskiej* z 1861 roku). Paulucci nazwany tam: Zawiadującym naczelnie warszawską policyą. Ogłoszono o tem w numerze 48 *Gazety urzędowej* Królestwa Polskiego z 1861 r. Dziwne, że oprócz tej nominacyi, żadnych innych opisów w gazecie nie było, ani o niepokojach w mieście, ani o strzałach Zabołockiego, ani o zatwierdzeniu przez namiestnika miejskiej delegacyi, ani o wysłaniu do cesarza adresu z osiemnastu tysiącami podpisów. Literalnie nie wspomniano o niczem, co wszakże przedewszystkiem powinno było służyć za materyał dla oficyalnej gazety. W epoce tej jeszcze w całem państwie panował wschodni system zatajania wszelkich niemiłych rzeczy przed czytającą publicznością, przed historyą, przed Europą, system, który niczego ukryć nie potrafił.

Uwolniony tedy Trepow, poobwijał się bandażami i położył do łóżka, jako ranny w dniu 25 lutego. Odwiedził go zaraz nazajutrz namiestnik ze swym szefem sztabu, generałem Kotzebue. Ten ostatni, opowiadając o tych odwiedzinach, dodawał zawsze, że sądząc z tego, co wówczas jemu i namiestnikowi nagadał Trepow, należałoby przypuszczać, że nie był zupełnie przytomnym.

Po kilku dniach Trepow zaczął wyjeżdżać, lecz zawsze obandażowany i tak nawet dał się fotografować u Bajera. Potem dostał się do Petersburga, odgrywał tam rolę pokrzywdzonego. Dnia 2 kwietnia 1861 roku cesarz awansował go na generała, zaliczył do wojsk zapasowych i udzielił całorocznego urlopu do wód zagranicznych. Nadto otrzymał dożywotnej pensyi 3,750 rubli srebrnych rocznie.

Na Paulucciego książę Gorczakow był zagniewany i gdy ostrzeżenia Jołszyna się sprawdziły, namiestnik chciał go nawet usunąć. Nie otrzymywał odtąd literalnie żadnych poleceń i gdyby go sobie nie przypomnieli Polacy, musiałby chcąc nie chcąc ustąpić.

Inni znów Polacy, a między nimi i późniejszy prezydent miasta Warszawy, generał-porucznik Witkowski, mówili potem: „Zmiłujcie się, jak nie mieliśmy stracić głowy, kiedyście wy władza rządowa, a straciliście ją zupełnie? Trudno nam było walczyć z samymi sobą; patrzym—dają, dają bez miary. Zaczęliśmy więc brać, co się dało i żądać jeszcze więcej.

Ostatni punkt prośby delegacyi, z małą tylko zmianą w szczegółach, został także uwzględniony. Namiestnik zezwalał na wysłanie adresu do cesarza, lecz pocztą, nie zaś przez osobną deputacyę.

Zaczęto więc pośpiesznie układać adres... ale o tem później będzie mowa. Czas spuścić zasłonę nocy po tym dniu burzliwym i nieprawdopodobnym, chociaż nader nieliczni i wyjątkowi Warszawianie

potrafili zasnąć tej nocy. Wszędzie czuwano... i rozprawiano... każdy po swojemu i o tem, co się stało i o tem, co ma być jutro, pojutrze...

Czerwoni wysłali kuryerów do kraju dla rozgłoszenia odniesionych zwycięstw nad rządem i z wezwaniem wszystkich stanów do jaknajliczniejszego zjazdu na uroczysty pogrzeb pięciu ofiar. Na kuryerów zgłosili się dobrowolnie studenci medycznej akademii i innych naukowych zakładów, a między nimi i młodzi dwaj bracia Frankowscy: Jan i Leon. Ma się rozumieć, że tacyż kuryerzy zostali wysłani i do Europy.

DODATEK.

Wymiana depesz między namiestnikami Królestwa a cesarzem Aleksandrem II.

Do księgi I. — od 26 do 27 lutego 1861 roku.

Warszawa—Petersburg. 26 lutego 1861 roku.

Dnia 25 lutego szajka wichrzycieli zamierzała urządzić uliczną demonstracyę, połączoną z nabożeństwem za poległych pod Grochowem i w tym celu zwołała lud na Stare Miasto.

O 6-ej wieczorem zebrało się do 5,000 ludzi na rynku Starego Miasta. Policya, zawczasu uprzedzona, rozproszyła zbiegowisko bez rozlewu krwi. Procesyę, postępującą z kościoła księży Paulinów z chorągiewkami, pochodniami, przy śpiewie hymnów, rozpędzili konni żandarmi. Kilku ludzi uwięziono. Obecnie panuje spokój.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 28 lutego 1861 roku.

Dnia 27 lutego liczne zbiegowiska ludu wystąpiły na różnych ulicach. W niektórych miejscach rzucano kamieniami na wojsko, stojące w pogoto-

wiu. Jedną kompanię piechoty, stojącą na Krakowskiem Przeemieściu, zarzucano kamieniami tak dalece, że dla utorowania sobie drogi pierwszy pluton musiał dać ognia. O ile na razie dało się skonstatować, zabito sześciu ludzi i tyluż raniono. Wkrótce potem tłum ustąpił, a z nastaniem nocy spokój został przywrócony. W mieście panuje wielkie rozdrażnienie umysłów i bardzo być może, że niepokoje dziś się powtórzą. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 28 lutego 1861 roku.

Gubernialni marszałkowie szlachty, widząc, że nie mają żadnego wpływu na obywateli, wczoraj rano złożyli dymisyę. Wzburzenie w mieście wzmogło się, szczególniej po strzałach wojska. które obrzucano kamieniami. Strzelać rozkazał Zabołockij wbrew memu wyraźnemu zarządzeniu, aby broni nie nabijano. Z tego powodu zarządziłem śledztwo. Poleciłem Trepowowi, by się podał za chorego, gdyż taką nienawiść wywołał, że życiu jego grozi niebezpieczeństwo. W tej chwili spokojnie, lecz obawiam się groźnych zaburzeń. Proszę o zezwolenie na ogłoszenie w razie potrzeby stanu oblężenia.
Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 28 lutego 1861 roku.

Niecierpliwie oczekuję wiadomości, jak upłynie dzień dzisiejszy. Jestem pewny, że zarządzicie wszystko, co potrzeba wskaże dla przywrócenia należnego porządku. Czy są ranni wśród wojska? i czy zauważono uzbrojonych w tłumach.—W razie potrzeby proszę mnie uwiadamiać rano i wieczorem.
Aleksander.

Petersburg.—Warszawa. 28 lutego 1861 roku.

Uważam dymisyę marszałków zupełnie nie na czasie i dowodzącą z ich strony braku charakteru. Nie mogę też pochwalić zarządzenia co do Trepowa. W obecnych okolicznościach każdy powinien

się znajdować na wskazanem stanowisku. Ogłoszenie stanu oblężenia pozostawiam zupełnie waszemu uznaniu. *Aleksander.*

Warszawa—Petersburg. 28 lutego 1861 roku.

W tej chwili arcybiskup Fijałkowski z pięcioma najznakomitszemi osobistościami w kraju, przedstawili mi prośbę, podaną na imię Waszej Imperatorskiej Mości. W ogólnikowych i nader liberalnych wyrażeniach żądają nadania Królestwu Polskiemu różnych praw. Proszący oświadczyli, że przedłożenie tej prośby do stóp W. C. Mości wielce się przyczyni do uspokojenia umysłów. Wyszlę ją dzisiejszej jeszcze nocy ze szczegółowemi wyjaśnieniami. Obecnie w mieście panuje spokój.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 28 lutego 1861 roku.

Jeżeli prośba Fijałkowskiego w istocie zawiera to, o czem mi wspominasz, to nie należało jej przyjmować. Czekam waszych wyjaśnień. W każdym razie teraz nie czas na ustępstwa i na nie nie zezwolę. *Aleksander.*

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

WYCIĄG Z KATALOGU

„Biblioteki Dzieł Wyborowych".

Do nabycia w Administracyi *„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH"* (Warszawa, Warecka № 14, w Filii Kantoru *„GAZETY POLSKIEJ"* (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1905.

Tom.		CENA w opr. kop.	CENA brosz. kop.
357.	**Guy de Maupassant.** NA WODZIE. Przekład Ireny Łopuszańskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
358.	**Emil Tardieu.** ZNUDZENIE. Studyum psychologiczne w przekładzie z francuskiego i z przedmową Maryana Massoniusa	1.35	1.20
359.	**M. A. Szimaczek.** OBRAZKI Z ŻYCIA. Z czeskiego przetłómaczyła J. Kietlińska-Rudzka	40	25
360, 361.	**Deotyma.** POLSKA W PIEŚNI. SOBIESKI POD WIEDNIEM	80	50
362, 363, 364.	**Gabryela Zapolska.** SEZONOWA MIŁOŚĆ. Powieść współczesna. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1,80	1,50

Tom		CENA w opr. kop.	brosz. kop.
365.	**Helena Keller.** HISTORYA MEGO ŻYCIA. (Autobiografia głuchoniemej). Tłómaczyła M. Pankiewiczówna	40	25
366, 367.	**G. Flaubert.** SALAMBO. Powieść z przedmową W. Jabłonowskiego	80	50
368, 369.	**T. Jaroszyński.** CHIMERA. Z przedmową Z. Dębickiego	80	50
370.	**H. Lichtenberger.** FR. NIETZSCHE I JEGO FILOZOFIA. Tł. i Marcinkowskiej z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
371, 372, 373.	**M. Rodziewiczówna.** KLEJNOT. Z przedmową H. Gallego	1.20	75
374.	**W. Marrené Morzkowska.** CYGANERYA WARSZAWSKA, z przedmową H. Gallego	40	25
375, 376.	**Kenijro Tokutomi.** NAMI-KO. Z japońskiego tłómaczyli Sakae Shioya i E. F. Edgett. Z angielskiego przełożyła Emilia Węsławska	80	50
377.	**Cr. Th. Zell.** CZY ZWIERZĘ NIEMA ROZSĄDKU? Spolszczone przez M. S.	40	25
378, 379, 380, 381.	**Teodor Jeske-Choiński.** GASNĄCE SŁOŃCE. Powieść z czasów Marka Aureliusza	2.60	2.00
382.	**Booker T. Washington.** AUTOBIOGRAFIA MURZYNA. Przekład M. G.	40	25
373, 384, 385, 386.	**Z. Kaczkowski.** ROZBITEK. Powieść z przedm. Wł. Jabłonowskiego	2.60	2.00
387, 288.	**F. de Roberto.** ZŁUDZENIA. Przekład z włoskiego oryginału, przez W. E. Z przedmową Wł. Jabłonowskiego	80	50
389, 390.	**Alexander Kraushar.** DWA SZKICE HISTORYCZNE z czasów Stanisława Augusta	80	50
391, 392	**M. Rodziewiczówna.** JERYCHONKA. Powieść	80	50
393.	**K. Wagner.** PROSTOTA W ŻXCIU.	40	25
394.	**Vincente Biasco Ibanez** RUDERA. Powieść, przełożyła z hiszpańskiego Alina Świderska	40	25
395.	**Villiam Blake-Odgers.** ANGIELSKI SAMORZĄD MIEJSCOWY. Spolszczył Wojciech Szukiewicz	40	25
396.	**W. Gomulicki.** BRYLANTOWA STRZAŁA i inne nowele	40	25
397, 398.	**Piotr Loti.** INDYE. W przekładzie *Józefa* Jankowskiego	80	50

Tom.	CENA w opr. kop.	brosz. op.
399, 400. **H. Taine.** ŻYWOT I MYŚLI p. F. T. GRAINDORGE, Przełożyli z francuskiego A. K. M., z przedmową Wł. Jabłonowskiego.	80	50
401, 402. **M. Rodziewiczówna.** NA FALI, powieść	80	50
403. **Roman Pienkiewicz.** MIKOŁAJA REYA Z NAGŁOWIC ETYKA. 1505—1905.	40	25
404, 405. **M. Czerny.** ODŁOGIEM.	80	50
406, 407, 408. **Selma Lagerlöf.** GÖSTA BERLING ze szwedzkiego przełożyła Józefa Klemensiewiczowa	120	75
409, 410, 411, 412. **Bennet Burleigh.** Korespondent wojenny „London Daille Telegraph". PAŃSTWO WSCHODU CZYLI WOJNA JAPOŃSKO ROSYJSKA 1904—1905 r. Przekład Emilii Węsławskiej.	160	100

Rok 1906.

413. **Gen. Roman Sołtyk.** KAMPANIA 1809 r.	40	25
414, 415. **Berta bar. Suttner.** DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80	50
416. **Generał kwatermistrz de Pistor.** PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794.	40	25
417, 418, 419 **Sir Edward Bulwer Lytton.** ZANONI Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120	75
420, 421 **Juliusz Falkowski.** KSIĘSTWO WARSZAWSKIE. Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń. 2 tomy	80	50
422. **W. Doroszewicz.** RODZINA I SZKOŁA z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	40	25
423, 424, 425. DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników **Sieversa**	80	50
426, 427 OPOWIADANIA CZECHOWA, tłom. T. K.	80	50
428. LARIK. **J. Gadomski.**	40	25
429. WŁÓCZĘGA W TRÓJKĘ. **Jerome Jerome,** przeł. z ang. K. Paprocki.	40	25
430, 431, 432. **Z. Morawska.** ZMIERZCH I ŚWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
433. **Ludwik Proal.** ZBRODNIE POLITYCZNE. Przekł. Maryi Wentzlowej	40	25

Tom.		CENA w opr. kop.	brosz. kop.
434.	**Maurycy Barrès.** POD PIKIELHAUBĄ. Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435.	NEWROZA REWOLUCYJNA, według **Drw Cabanès i L. Nassa** opracowała K. Płońska	40	25
436.	**Antoni Gawiński.** SEN ŻYCIA. Opowiadanie.	40	25
437.	**Kazimierz Bartoszewicz.** KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791).	40	25

DATE DUE			

